



Anne Herries



Na przekór złu

Londyński sezon 03

Rozdział pierwszy

Amelia Royston stała przez chwilę na stopniach swego domu na Hanover Square, spoglądając na położoną po przeciwnej stronie londyńską rezydencję hrabiego Ravensheada. Oczywiście wiedziała, że nie ma go w domu. Doszły ją słuchy, że bawi w wiejskiej posiadłości. Sama przybyła do Londynu tylko na kilka dni, by zrobić zakupy na Boże Narodzenie i dostarczyć kilka prezentów. Miała również nadzieję, że uda jej się spotkać hrabiego czy to w teatrze, czy przy innej okazji, tak się jednak nie stało.

- Coś nie tak? - zapytała Emily Barton.

Amelia spojrzała na nią ze zdumieniem, zaraz jednak pojęła, w czym rzecz. Otóż z jej ust musiało się wyrwać mimowolne westchnienie, wyrażające prawdziwy stan ducha. Emily Barton, formalnie jej dama do towarzystwa, a tak naprawdę przyjaciółka, była nie tylko bystra, ale i wrażliwa, dlatego po drobnych oznakach zawsze wiedziała, kiedy Amelia jest w kiepskim humorze, nawet gdy próbowała to ukryć przed innymi.

- Nie, zastanawiałam się tylko, czy czegoś nie zapomniałam. Byłabym zła na siebie, gdyby po przyjeździe do Pendleton okazało się, że czegoś jednak nie zabrałam - wyjaśniła.

- Na pewno niczego nie zostawiłaś - zapewniła ją Emily z uśmiechem. - Pomagałam Marcie pakować twoje kufry, więc jestem tego pewna.

- Dziękuję ci, kochana. Wiem, że zawsze mogę na tobie polegać.

- Mam nadzieję, że wizyta twego brata nie wprawiła cię w przygnębienie.

Amelia spochmurniała na moment. Niedawno zjawił się u niej brat, sir Michael Royston. Wizyta była krótka, lecz nieprzyjemna, jako że Michael bardzo narzekał na różne sprawy. Ostatnimi czasy wciąż był w złym humorze, dlatego Amelia zaczęła się obawiać jego odwiedzin.

- Nie, kochanie. Sama wiesz, że Michael ma, jak to się mówi, trudny charakter, niemniej nie jestem przygnębiona. - Ujęła Emily pod rękę. - Chodź, nie każmy koniom czekać. Trzeba się śpieszyć, bo spójrz tylko na niebo! Widomy znak, że niedługo pogoda się pogorszy, a wolałabym dojechać do Pendleton, zanim zaczną padać śnieg.

- Cieszę się, że spędzimy święta z przyjaciółmi - powiedziała z uśmiechem Emily. Wydobyły się już z zatłoczonego Londynu, wielkomijski kamienny krajobraz ustąpił miejsca sielskim widokom. - Zanim zamieszkałam u ciebie, święta zawsze były dla mnie czasem smutku i żalu.

- Och, doprawdy, kochanie? - Amelia spojrzała z troską na Emily. Wiedziała, że przyjaciółka ukrywa smutny sekret, o którym jednak prawie nigdy nie napomyka. - Jesteś u mnie już od ponad roku. Czy pod moim dachem czujesz się bardziej szczęśliwa?

- Och, to oczywiste. Gdyby tylko... - Emily urwała i pokręciła głową. - Nie, nie powinniśmy myśleć o smutkach. Jak sądzisz, czy spotkamy w Pendleton hrabiego Ravensheada?

- W liście, w którym zapraszała nas do siebie, Susannah nic mi o tym nie wspominała - odparła zarumieniona Amelia. Miała wrażenie, że Emily czyta w jej myślach. - A dlaczego pytasz?

- Może nie powinnam tego mówić, ale wydawało mi się, że latem, a nawet wcześniej, na ślubie Helene... No cóż, myślałam, że coś jest na rzeczy. - Emily nagle się speszyła. - Wybacz, nie mam prawa się wtrącać...

- Emily, kochanie, powtarzałam ci już tyle razy, że możesz mówić, co ci tylko leży na sercu. Przecież się przyjaźnimy, nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. - Przerwała na moment. - A skoro już pytasz, to jakiś czas temu naprawdę myślałam, że Gerard zdeklaruje się z małżeńską intencją, nie doszło jednak do tego, bo wezwano go pilnie do Francji w sprawach rodzinnych. I wszystko uległo radykalnej zmianie, bo kiedy spotkałyśmy go w tym roku w Londynie, wprawdzie poświęcił mi trochę uwagi, ale... - Amelia westchnęła. - Myślę, że żywi wobec mnie już tylko przyjazne uczucia, nic więcej. Był taki czas, kiedy mogliśmy się pobrać, ale mój brat nie dopuścił do tego, odesłał Gerarda ze stanowczą odmową. Zniknął więc, a po paru miesiącach ożenił się z inną, co tylko dowodzi, że nie cierpiał po naszym rozstaniu tak bardzo jak ja.

- Tego nie możesz być pewna, Amelio. Hrabia mógł się ożenić z wielu powodów, choćby po to, by wymazać z pamięci miłosny zawód. - Emily zasepiła się. - O ile pamiętam, mówiłaś mi, że szybko owdowiał.

- Wiem to od Gerarda. Jego żona rozchorowała się po urodzeniu córeczki i już nie wróciła do zdrowia. Myślę, że wciąż ją opłakuje.

- Z pewnością zamierza się znowu ożenić, choćby ze względu na dziecko.

- Tak, być może... Chociaż nie sędzę, abym chciała zostać czyjąś żoną z takich powodów.

- Źle się wyraziłam, przepraszam... - sumitowała się Emily. - Wcale nie uważam, że hrabia byłby gotów ożenić się z tobą tylko dla dobra córki. Moim zdaniem on bardzo cię lubi, Amelio.

- Tak, temu zaprzeczyć nie mogę. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi... - Oparła głowę o miękkie poduszki i zamknęła oczy.

Poddawanie się emocjom nie byłoby szczególnie rozsądne. Zbyt wiele łez wylała, kiedy Gerard odszedł po raz pierwszy. Przysięgał, że ją kocha całym sercem, prosił, aby została jego żoną, a potem zniknął bez słowa. Kiedy rozeszła się wieść, że wstąpił do wojska, Amelii omal nie pękło serce. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że to jej brat groźbą i przemocą zmusił Gerarda do tego kroku. Po odejściu ukochanego poczuła się kompletnie opuszczona i pograżyła się w rozpacz. Gdy po czterech latach ponownie spotkała Gerarda w towarzystwie, doznała dużego wstrząsu. Wiele ją kosztowało, by przed innymi nie okazać swoich prawdziwych uczuć.

Gerard zachowywał się wobec niej uprzejmie i życzliwie, lecz to wszystko. Jednak kiedy latem poprzedniego roku ktoś próbował uprowadzić Amelię z Pendleton, bardzo przeżywał całe zajście. Uwierzyła wówczas, że mu nadal na niej zależy, w sercu zrodziła się nadzieja, że jej to wyzna... ale wtedy odwołano go do Francji.

Po raz kolejny spotkali się tego lata. Gerard był dla niej tak samo uprzejmy i życzliwy jak zawsze, ale ani słowem nie wspomniał o małżeństwie. Prawdę mówiąc, było to całkiem zrozumiałe, jako że zbyt długo już trwała ich burzliwa, lecz jakże bezowocna znajomość. Aż pięć lat z okładem! Nawet jeśli kiedyś Gerard żywił do Amelii głębsze uczucia, to wygasły już całkowicie lub aż tak radykalnie ochłodziły, że przerodziły się w zwyczajną sympatię. Jak mogła być tak niemądra, by robić sobie nadzieję, że obdarza ją czymś więcej niż tylko przyjaźnią?

Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą stropioną Emily.

- Nie sprawiłaś mi przykrości, kochanie - zapewniła ją z uśmiechem, wyglądając przez okno powozu. - Jesteśmy prawie na miejscu. Już nie mogę się doczekać, kiedy zobaczą Susannah i Harry'ego.

- Nie chciałabym być przyczyną twego smutku, Amelio. Tyle dla mnie zrobiłaś, przyjechałaś pod swój dach, gdy inni z powodu mojej hańby zatrzaskiwali przede mną drzwi...

- Nie patrz na to w ten sposób, Emily. Owszem, pomogłam ci w trudnej chwili, ale wynagrodziłaś mi to z nawiązką swoją przyjaźnią. A co do twojej hańby... Nie chcę więcej słyszeć, żebyś mówiła tak o sobie. No, uśmiechnij się i pomyśl raczej o atrakcjach, które nas czekają podczas świąt w Pendleton.

- Kochana Amelio, jak się cieszę, że wreszcie cię widzę! - Susannah serdecznie ucałowała ją w policzki. - Wyglądasz cudownie. W zielonym zawsze było ci do twarzy... Witam cię, Emily. Och, jaka jesteś ładna!

- Nie, nie... - zaprzeczyła Emily, oblewając się rumieńcem. - To tylko ten czepek. Zobaczyłam go w witrynie modystki i zachwyciłam się, a Amelia kupiła go dla mnie, nic mi o tym nie mówiąc. Powiedziała, że to jest właśnie to, co ożywi moją zimową garderobę, i oczywiście miała rację. Ma zachwycający gust.

- Owszem, to prawda. - Susannah spojrzała ciepło na Amelię. - Może i jestem stronnicza, ale uważam cię za chodzącą doskonałość.

- Przewracacie mi tylko w głowie, moje miłe. Róbcie tak dalej, a zacznę się zachowywać jak rozkapryszona udzielna księżna i będę się od was domagać stosownego traktowania.

- Zaslugujesz na to, aby zostać księżną - ze śmiechem odparła Susannah. - Musicie koniecznie przyjść na górę i zobaczyć małego Harry'ego. Mój synek jest naprawdę rozkoszny, a już ojciec uważa go za ósmy cud świata. Nie macie pojęcia, jak ambitne plany żywi wobec niego, gdy tylko dorośnie na tyle, by zacząć szkolną edukację.

- Zawsze wiedziałam, że Harry Pendleton będzie oddanym ojcem - stwierdziła rozbawiona Amelia.

- Strasznie mnie rozpieszcza - przyznała Susannah, prowadząc przyjaciółki do pokojów. - Dałam wam apartamenty, w których mieszkaliśmy, kiedy bawiłam tu po raz

pierwszy. Tak bardzo się bałam krewnych Harry'ego i tego olbrzymiego domu. Byłam święcie przekonana, że sobie z tym nie poradzę, a tymczasem wszystko idzie jak w zegarku. Nie muszę prawie nic robić, jak to mi mówiła matka Harry'ego. A ponieważ zawsze mamy gości, bo ludzie uwielbiają tu przyjeżdżać, więc ten dom nie wydaje się ani za duży, ani opuszczony. Na te święta zaprosiliśmy około trzydziestu osób, całkiem jednak możliwe, że drugie tyle pojawi się bez zaproszenia. Moim zdaniem to zasługa Harry'ego, który jest wyjątkowo gościnnym i hojnym panem domu, choć on z kolei uważa, że moja, bo wszyscy się we mnie kochają.

- Śmiem stwierdzić, że jedno i drugie - powiedziała Amelia z uśmiechem.

Była szczęśliwa, że przyjaciółka nie zmieniła się ani trochę, odkąd została lady Pendleton. No, może nie była aż tak impulsywna jak wtedy, gdy po raz pierwszy złożyła jej wizytę w mieście, za to stała się bardziej pewna siebie.

Susannah zaprowadziła je do pokoju dzieciennego, gdzie niańka kładła właśnie do łóżeczka małego dziedzica. Po kwadransie jak najbardziej szczerych ochów i achów Amelia i Emily udały się do apartamentu, który miały dzielić podczas świąt. Składał się z trzech sypialni oraz saloniku, co nie tylko zapewniało wszelkie wygody, ale było również bardzo stosowne dla kogoś, kto lubił czasami uciec od towarzystwa. Amelia wiedziała też, że w tym apartamencie goszczono szczególnie uprzywilejowane osoby.

Pozwoliła Emily wybrać sypialnię, i ucieszyła się, kiedy wskazała tę, w której mieszkała Susannah podczas pierwszej wizyty w Pendleton. Znaczyło to, że sama będzie mogła zająć swój ulubiony pokój, w którym czuła się najlepiej.

Susannah zostawiła je, by mogły spokojnie się rozgościć. Amelia podeszła do okna i wyrzała na dwór. Z okien roztaczał się widok na park i jezioro. Po chwili zobaczyła trzech jeźdźców, którzy zatrzymali się i zsiadli z koni. Wyglądało na to, że wrócili z towarzyskiej przejażdżki i byli w świetnych humorach. A gdy usłyszała znajomy śmiech i zobaczyła znajomą twarz, po prostu dech jej zapało. A więc Gerard także został zaproszony na święta!

Rozgorączkowana uświadomiła sobie, że w skrytości ducha cały czas bardzo na to liczyła.

Boże, ależ ze mnie głupia gąska! - sumitowała się. Owszem, Gerard się tu zjawił, wcale to jednak jeszcze nie znaczy, że mi się oświadczy. Przecież gdyby nosił się z takimi zamiarami, miał już wcześniej aż nadto okazji.

Krytycznym okiem przejrzała się w lustrze. Nadal była atrakcyjną kobietą, lecz do młodych panien nawet najbardziej bezkrytyczny adorator już by jej nie zaliczył. I miałby całkowitą rację... Czyż to zatem nie śmieszne, że wciąż marzyła o miłości, skoro jej czas już dawno minął? Najlepsze, na co mogła liczyć, to małżeństwo z rozsądku, jak to zasugerowała Emily w drodze do Pendleton. Gdyby Gerard szukał matki dla swojej córeczki, rzeczywiście mógłby wziąć ją pod uwagę jako odpowiednią kandydatkę.

Potrząsnęła głową, odpędzając tę myśl niczym przelotną mrzonkę. Jest przecież tyle pięknych młodych panien, spośród których Gerard może wybrać sobie żonę. Dlaczego miałby bodaj spoglądać na kobietę w jej wieku? Toż niedawno skończyła dwadzieścia osiem lat! Poza tym pewnie nadal opłakiwał zgasłą przedwcześnie żonę. A swoją drogą, dlaczego się ożenił zaledwie parę miesięcy po ich rozstaniu? To prawda, jej brat Michael zachował się wobec niego haniebnie, dlaczego jednak Gerard nie powiedział jej o prawdziwych przyczynach nagłego wyjazdu? Uciekłyby z nim, gdyby tylko ją o to poprosił.

Sprawa była oczywista. Nawet jeśli kiedyś ją kochał, to uczucie bardzo zbladło, a najpewniej całkiem umarło.

Dlatego nie powinna teraz tracić czasu na płonne marzenia.

Zwróciła myśli ku swojej damie do towarzystwa. Nikt poza nią nie wiedział, że Emily ukrywa jakąś tajemnicę, bo prawdę wyznała tylko jej podczas pierwszego spotkania. Wiele przy tym ryzykowała, gdyż mogła stracić szansę na dobrą posadę, lecz Amelia doceniła jej szczerłość i zrobiła wszystko, co tylko mogła, by pomóc Emily zapomnieć o bolesnej przeszłości. Nie mogła jednak uleczyć bólu serca.

Pogrążona w zadumie, szykowała się do zejścia na dół. Była prawie pewna, że Toby Sinclair spędzi święta w Pendleton. Już wcześniej wydawał się zainteresowany Emily, jednak do niczego nie doszło. Gdyby teraz przyjechał z zamiarem oświadczyn... ale to jeszcze nic pewnego. Amelia wołała nie podsuwać takich myśli przyjaciółce, jednak gdyby tak się stało, jej radość nie znałaby granic.

A jeśli nie, może będzie mogła w jakiś inny sposób pomóc pannie Emily Barton, kobiecie z tajemniczą przeszłością, którą pokochała jak rodzoną siostrę.

Amelia była rada, że zobaczyła Gerarda przez okno, bo dzięki temu mogła psychicznie przygotować się do spotkania. I tak oto na wygląd pełna godnego spokoju, powitała go wieczorem w salonie, doskonale ukrywając fakt, jak bardzo jest rozemocjonowana.

- Miło mi znów pana widzieć. - Podała mu rękę. - Myślę, że Susannah będzie miała podczas świąt tłum gości.

- Z całą pewnością, bo tak jest zawsze. - Gerard ujął jej dłoń. - Jak się pani miewa, panno Royston? Ufam, że nie miała już pani więcej kłopotów po tym, jak panią ostatnio widziałem?

- Nie, żadnych, poza atakiem lisów na nasze kurniki, ale przecież nie to miał pan na myśli, jak mniemam - odparła z delikatnym uśmieszkiem. - Chodzi panu pewnie o tę próbę porwania, kiedy poprzedniego lata wszyscy byliśmy tu razem.

- Tak, i cieszę się, że nikt już nie próbował zakłócić pani spokoju. - Gerard spojrzał na nią w zadumie. - Równie mocno się cieszę, że spędzi pani te święta w Pendleton. Liczę na to, że będę mógł w dyskrecji porozmawiać z panią o mojej córce. A mówiąc konkretniej, chciałbym prosić o radę.

- Z największą przyjemnością panu pomogę, o ile tylko będę w stanie. - Kiedy się uśmiechnął, poczuła, że coś dziwnego z nią się dzieje. Mogła kryć się za uprzejmymi manierami, mogła udawać, że łączy ich tylko przyjaźń, ale... - Oczywiście, moje doświadczenia w tej kwestii ograniczają się do sierot, które umieszczam w moim zakładzie, oraz do dzieci przyjaciół, ale generalnie temat jest mi bardzo bliski.

- Potrzebuję porady od osoby tak współczującej jak pani... - zaczął, lecz widząc jedną z panien zmierzającą w ich stronę, dodał szybko: - No, ale teraz nie czas ku temu. Może jutro pospacerujemy po parku, jeśli taka pani wola?

- Tak, oczywiście - zgodziła się z uśmiechem, choć wołałaby w skrytości ducha, gdyby za prośbą o przechadzkę we dwoje kryły się inne motywy, jako że bliskość Gerarda rozbudziła w niej uczucia absolutnie niestosowne dla kobiety pozbawionej już raczej szansy na zamążpójście. Dlatego odepchnęła kuszące, a zarazem skandaliczne wizje. Nie

dopuści do tego, by Gerard po raz kolejny złamał jej serce. Gdy była znacznie młodsza, nie wahała się wyznać swoich uczuć, ale teraz sprawy przedstawiały się inaczej. Musi pamiętać o swojej godności. - Dla pana zawsze mam czas, milordzie.

- Nie uważasz, że moglibyśmy mówić sobie po imieniu? Przecież już od tak dawna jesteśmy przyjaciółmi - przypomniał.

- Tak, rzeczywiście... - Głos się jej lekko załamał, bo to spojrzenie Gerarda... Jeżeli nie oczekiwał od niej niczego więcej prócz przyjaźni, nie powinien tak na nią patrzeć.

I to był koniec prywatnej rozmowy, jako że zostali wciągnięci w krąg towarzystwa. Goście Susannah stanowili barwną mieszankę zarówno pod względem wieku, jak i osobowości, dlatego wieczór okazał się bardzo interesujący. Najmłodszy w stosownym czasie zostali odesłani do łóżek, natomiast dorośli skończyli się bawić grubo po północy.

Gerard powtórnie zagadnął Amelię dopiero wtedy, gdy postanowiła wycofać się na górę.

- Możemy się umówić na spacer o dziesiątej? - zapytał, kiedy już była na schodach.

- O ile to dla ciebie nie za wcześnie?

- Przywykłam do wczesnego wstawania - odparła zgodnie z prawdą.

- Musisz się dobrze opatulić, bo rano może być zimno - poradził troskliwie.

- Lubię spacerować w każdą pogodę, no, chyba że leje jak z cebra. - Znow ruszyła w górę.

Gdy weszła do apartamentu, Emily już tam była. Siedziała głęboko zamyślona, musiała się aż otrząsnąć na widok Amelii, która spytała:

- Kochanie, tak bardzo zmęczyło cię młodociane towarzystwo?

- Nie, to był cudowny wieczór - zapewniła żywo. - Razem z panem Sinclairem wzięliśmy udział w zgadywankach. Nie pamiętam, kiedy tak dobrze się bawiłam. - Nagle posmutniała. - Jestem jedynaczką i nigdy nie miałam... - Zamrugła powiekami, jakby chciała powstrzymać łzy. - Mam absolutną pewność, że pan Sinclair zamierza mi się oświadczyć. Co powinnam zrobić, Amelio?

- Uważam, że powinnaś powiedzieć mu prawdę. Toby Sinclair to prawdziwy dżentelmen, z pewnością nie zawiedzie twojego zaufania. Nie zdradzi twojej tajemnicy, a jeśli nadal będzie pragnął cię poślubić, powie ci to wprost.

- A jeśli mnie odrzuci? - Emily spojrzała na przyjaciółkę, jakby czekała na jej radę, a potem sama sobie odpowiedziała: - Cóż, będę musiała z tym żyć... - Na moment przy-
mknęła oczy. - Masz absolutną rację, Amelio. Muszę zdobyć się na szczerść, nawet
gdyby miało to nas postawić w niezręcznej sytuacji do końca pobytu.

- Może więc powstrzymaj go na jakiś czas przed złożeniem deklaracji, a prawdę
wyznaj dopiero tuż przed naszym wyjazdem? Jeżeli Toby potrzebuje czasu, żeby zasta-
nowić się nad swoimi uczuciami, będzie miał na to szansę, zanim pojedzie za nami do
Coleridge.

- Jakaś ty mądra, Amelio. - Emily odetchnęła z ulgą. - Będę unikała przebywania
sam na sam z panem Sinclairem aż do dnia wyjazdu, dopiero wtedy wszystko mu po-
wiem.

- I nie zamartwiaj się z góry wynikiem. - Amelia pocałowała ją w policzek. - Ufam,
że wszystko zakończy się lepiej, niż przypuszczasz, moja droga. - Uspokoiwszy przyja-
ciółkę, udała się do sypialni.

Pokojówkę odesłała, gdy tylko rozpięła jej haftki z tyłu sukni, gdyż chciała zostać
sama ze swoimi myślami. O ileż łatwiej było rozwiązać wątpliwości Emily, bo Toby Sinc-
lair z całą pewnością był w niej zakochany. Natomiast znacznie trudniej było zrozumieć
uczucia Gerarda Ravensheada.

Czasami jego spojrzenie zdawało się sugerować, że darzy ją głębokim uczuciem,
ale równie często bywał smutny i jakby nieobecny. To prawda, że się przyjaźnili, ale czy
to wszystko? Odnosiła wrażenie, że Gerard ostatnimi czasy traktuje ją jak dojrzałą
matronę, której może powierzyć troski związane z córeczką. Na pewno nie zdaje sobie
przy tym sprawy, jak namiętne i niestosowne pragnienia rozbudza w niej samą swoją bli-
skością. Powinna zatem starannie ukrywać swoje uczucia, jeśli nie chce się znaleźć w
żenującej sytuacji.

- Nie! Nie, Lisette... błagam... nie rób tego... wybac mi... - Gerard Ravenshead
zdrzemnął się w głębokim fotelu w bibliotece, i znów, dopadł go ten sam senny koszmar.
- Nie, przestań! Krew... tyle krwi...

Obudził go jego własny krzyk. Gerard przytomniejącym wzrokiem rozejrzał się wokół i spostrzegł, że ogień na kominku dawno już wygasł, świece też się wypaliły.

Tej nocy, nie mogąc zasnąć, jak to miał w zwyczaju, zszedł do biblioteki, aby poczytać. W swoim domu na Hanover Square zwykł przesiadywać nad lekturą do późnej nocy, gdyż często cierpiał na bezsenność. W Pendleton zgromadzono znakomity księgozbiór, a Gerard wypatrzył na jednej z półek prawdziwy bibliofilski skarb, lecz mimo to nad ranem zmorzył go sen. Miał tylko nadzieję, że nikogo nie obudził swoim krzykiem. Choć wciąż nawiedzała go bezsenność, jednak koszmary przestały go dręczyć parę miesięcy temu. Sądził, że opuściły go na zawsze, a jednak z jakiejś przyczyny znów go dopadły.

Wstał z fotela i podszedł do okna. Świtało, minęła kolejna noc. Z westchnieniem pomyślał, że nie pamięta już, kiedy po raz ostatni przespał spokojnie aż do rana.

Był przystojnym, postawnym mężczyzną o szerokich ramionach i długich, muskularnych nogach, prezentujących się najlepiej w bryczesach. Włosy miał ciemne, ale nie czarne, i szare oczy, które potrafiły rzucać zimne, stalowe błyski. Bywał często zadumany, a nawet posepny, jako że nachodziły go smutne myśli. Teraz miał na sobie beżowe bryczesy, buty z cholewami i płócienną koszulę rozpiętą do pasa. Na stoliku stał kieliszek z winem, ale prawie go nie tknął, bo dawno już odkrył, że alkohol daje tylko złudne zapomnienie.

Tej nocy, zanim zapadł w niespokojny sen, intensywnie dumął o swoich problemach. Jego córeczce potrzebne było damskie towarzystwo, i to nie tylko nianiek czy guwernantki. A i jemu także potrzebna była towarzyszka, z którą mógłby dzielić swoje marzenia i nadzieje, i którą mógłby darzyć podziwem i szacunkiem. Krótko mówiąc, potrzebował żony. Prawdziwej żony, a nie... Już raz popełnił błąd, poślubiając z litości pewną młodą Francuzkę, i nie chciał powtarzać dawnego błędu. Oczywiście bez trudu mógłby znaleźć atrakcyjną kochankę, już nie mówiąc o tym, że wiele panien marzyło o tym, by zostać hrabiną Ravenshead, on jednak od zawsze pragnął pojąć za żonę tylko jedną kobietę, którą szaleńczo pokochał przed laty, ale mu jej odmówiono.

Dotknął blizny na prawej skroni, stanowiącej jedyny defekt na jego męskiej, urodziwej twarzy, i oczy mu pociemniały. Brat Amelii nasłał na niego siepaczy, kiedy od-

ważył się poprosić o jej rękę. Dumny sir Michael Royston uznał go za nie dość dobrą partię. Teraz jednak to nie strach przed gniewem sir Michaela sprawiał, że zwlekał z zadaniem Amelii Royston pytania, czy mimo upływu lat zechce zostać jego żoną. Ciężko mu sumienie, gdyż nikomu nie powiedział całej prawdy o śmierci swojej żony. To właśnie było źródłem nocnych koszmarów.

Z pociemniałymi oczyma wspominał swój niedawny senny koszmar:

- Niech cię, Lisette. Przestań! Pozwól mi żyć! Tyle krwi... tyle krwi...

To prawda, długo chorowała po urodzeniu dziecka, ale nie to było przyczyną śmierci. Lisette zadała ją sobie własną ręką.

Znalazł ją w gorącej kąpieli, z podciętymi żyłami. Żyła jeszcze, kiedy ją wyciągał z wanny, ale już ledwie oddychała. Posłał natychmiast po pomoc, lecz mimo jego rozpaczliwych wysiłków, zmarła przed przybyciem doktora. Cóż więcej? Wyprawił jej pogrzeb, opłakiwał przedwczesny koniec młodego życia...

Nie kochał jej, ale prześladowała go w snach, bo czuł się winny jej śmierci. Ożenił się z nią z litości, gdyż była młoda, samotna i brzemienna. Jej kochanek, angielski oficer, którego nazwiska nigdy nie wymieniła, porzucił ją w kraju, który nie był jej ojczyzną. On zaś, gdy rozwiały się jego marzenia, zrobił to, co uważał za słuszne, tyle że nie potrafił pokochać Lisette. Kiedy wreszcie to zrozumiała, odebrała sobie życie.

- Przepraszam... tak strasznie mi przykro...

Gerard nie był w stanie wyznać nikomu tej tajemnicy. Nosił ją w sobie, a ona zatruwała mu duszę. Zaczynał się nawet obawiać, że wyrzuty sumienia zrujną mu życie. Nie miał pojęcia, czy Amelia przyjęłaby jego oświadczenia. Co by sobie pomyślała, gdyby poznała prawdę o śmierci jego żony?

Już raz był bliski oświadczenia, ale wezwano go pilnie do córeczki, do Francji. Mała Lisa była wymagającym dzieckiem i nie lubiła, gdy papa zbyt długo zostawiał ją samą. Kiedy Gerard zrozumiał, że dziewczynka potrzebuje czegoś więcej niż tylko pielęgniarzek, przywiózł ją do Anglii i oddał pod opiekę angielskiej niańki, ale nie było to w pełni satysfakcjonujące rozwiązanie ani dla Lisy, ani dla niego.

W końcu doszedł do wniosku, że nie zazna prawdziwego szczęścia, dopóki nie poprosi o rękę Amelii Royston. By jednak poprowadzić ją do ołtarza, wprzód musiał wy-

znać jej swój sekret, i właśnie to było przyczyną długotrwałych wahań Gerarda. Bał się, że kiedy Amelia usłyszy prawdę, odwróci się od niego ze wstrętem. Kiedy ją po raz pierwszy utracił, pragnął zginąć na polu bitwy. Gdyby jego nadzieje znów okazały się płonne i powtórnie utraciłby pannę Royston, zapewne by tego nie przeżył.

Czy to nie śmieszne? Miał już lat trzydzieści sześć, więc czemu lękał się spojrzeć prawdzie w oczy z obawy przed odtrąceniem? Może lepiej byłoby raz na zawsze zapomnieć o małżeństwie? Złamał już przecież serce Lisette, doprowadzając ją do samobójstwa. Może więc powinien do końca życia pozostać w bezzennym stanie?

Gdy następnego ranka Amelia zeszła do holu, Gerard już tam na nią czekał. Miał na sobie długi płaszcz z pelerynką, wełniany szalik i futrzaną czapkę. Kiedy zobaczył, że i ona włożyła grubą pelerynę, ciepły szal i futrzaną mufkę, uśmiechnął się z aprobatą.

- Widzę, że ubrałaś się odpowiednio do pogody, Amelio. Na dworze jest mróz.

- Tak powinno być na Wigilię. Myślę, że temperatura jest w sam raz na energiczny spacer po ogrodach.

- Moja córka by się z tobą nie zgodziła. - Gerard westchnął ze smutkiem. - Źle zrobiłem, zostawiając ją na tak długi czas we Francji. Angielska pogoda wydaje jej się zbyt zimna i wilgotna, i wciąż się dopytuje, kiedy wrócimy do Paryża.

- Myślisz o tym, aby na zawsze opuścić Anglię? - Amelia miała nadzieję, że w jej głosie nie słyhać nuty gorzkiego zawodu.

- Zastanawiałem się nad takim rozwiązaniem, ostatecznie uznałem jednak, że zdecydowanie wolę mieszkać w Anglii, gdzie mam prawdziwych przyjaciół, a nie tylko znajomych. Lisa musi się z tym pogodzić. Mam nadzieję, że poczuje się lepiej, kiedy przyjdzie lato.

Amelia spojrzała na niego z ukosa.

- Pewnie pozwalałeś jej na wszystko?

- Owszem, kompletnie ją rozpuściłem - przyznał się z uśmiechem. - Jest naprawdę urocza, dlatego też zbyt często ulegałem jej zachciankom. Pewnie dlatego niania wciąż narzeka, bo ma z moją córką ciężkie życie. Twierdzi, że Lisa często się dąsa i brak z nią kontaktu. Dziwne, bo wobec mnie jest całkiem inna.

- Czy niania ma dobre papiery? - spytała Amelia po chwili namysłu.

- Dostarczyła świetne referencje, inaczej bym jej nie przyjął. U poprzednich chlebodawców pracowała ponad sześć lat. Zastanawiam się jednak, czy nie stosuje zbyt surowych metod wychowawczych. Owszem, można mi zarzucić nadmierną pobłażliwość, lecz bierze się to stąd, że zależy mi bardzo, aby Lisa była szczęśliwa. Czy jednak nie popełniam poważnego błędu? Cóż, nie jest łatwo samotnemu mężczyźnie... - Bezradnie spojrział na Amelię. - Potrzebuję mądrej kobiecej rady. Wiem, że niektóre damy niezbyt interesują się swoimi dziećmi. Uważają, że wydając potomka na świat, w całości wypełniły swój obowiązek, ale ty z powołania zajęłaś się opieką nad nieszczęsnymi sierotami i szykujesz je do dorosłego życia. Może więc potrafisz mi doradzić, co będzie najlepsze dla mojej córki.

Amelia, choć doznała zawodu, wciąż się uśmiechała. Niestety, sprawdziły się jej najgorsze obawy. Gerard chciał tylko porozmawiać o córce, nic więcej.

- Muszę zobaczyć Lisę z niańką, tyle że powinno to wyglądać na przypadkowe spotkanie. Jeżeli niania się zorientuje, że jest obserwowana, niczego się nie dowiem.

- Wiedziałem, że od razu mnie zrozumiesz - z ulgą powiedział Gerard. - Przywiozłem Lisę do Pendleton, ale wczoraj wieczorem nie pozwoliłem jej zejść na kolację, bo moim zdaniem nie jest jeszcze na to gotowa. Mam jednak nadzieję, zjawi się już dziś po południu na przyjęciu dla dzieci. Susannah przygotowała całą furę prezentów i nagród dla maluchów. Ja też tam będę. Może... o ile to dla ciebie nie kłopot? - Spojrział na nią, unosząc brwi.

- I tak miałam zamiar się zjawić. Lubię takie okazje, a Susannah przyda się pomoc przy prowadzeniu gier i rozdawaniu prezentów. No i będzie świetna okazja, by poobserwować twoją córeczkę i niańkę.

- Jakaś ty dobra... - Urwał, gdy Amelia potrząsnęła niecierpliwie głową. - Potrzebuję opinii mądrej i wrażliwej damy, a nie mam żadnych kuzynek, które mógłbym zapytać.

- Czy twoja zmarła żona nie miała żadnej rodziny?

- Nie mam pojęcia. Spotkałem ją po krwawej bitwie między wojskami francuskimi a hiszpańskimi. Została wykorzystana, więc się nad nią ulitowałem. Ożeniłem się z nią, by zapewnić jej ochronę i dać nienarodzonemu jeszcze dziecku nazwisko. Nigdy nie

mówiła o swojej rodzinie. Pewnie straciła ją w czasie wojny... - Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. - Wiedziałem o niej tylko tyle, że jest Francuzką i z całą pewnością szlachcianką. Czyli niewiele, niemal nic...

- Bardzo kochasz to dziecko, prawda?

- Byłem przy jej narodzinach, więcej, pomogłem Lisie przyjść na świat, bo nie udało się sprowadzić lekarza, więc stała się moja. - Odwrócił się do Amelii. - Po wyjeździe z Anglii ogarnęło mnie zniechęcenie. Nie miałem po co żyć. Był taki moment, że z ulgą powitałbym śmierć na polu bitwy. Ożeniłem się z Lisette, żeby miała opiekę, ale tak naprawdę porzuciłem wszelką nadzieję na szczęście... - Przerwał na moment. - I stał się cud, bo kiedy urodziła się Lisa, natychmiast bezgranicznie ją pokochałem.

- Tak, wspominałeś o tym wcześniej - powiedziała w zadumie Amelia. - Mówiłeś, że twoja żona długo chorowała po porodzie.

- W ogóle nie zwracała uwagi na córkę, dlatego musiałem nawet zatrudnić mamkę. Sam też zajmowałem się małą, przewijałem i karmiłem, kiedy przestało wystarczać jej samo mleko. Lisette przez długi czas żyła jakby wsobnie, niczym się nie interesowała, a kiedy wreszcie doszła trochę do siebie... - Urwał na moment. - Po jej śmierci nająłem dla Lisy pielęgniarkę, a kiedy wojna się skończyła, postanowiłem, że mała zostanie ze mną we Francji. W owym czasie nie potrafiłem zdecydować, co będzie najlepsze.

- Chciałeś tam zamieszkać, ponieważ matka twojego dziecka była Francuzką?

- Amelio, naprawdę miałem w głowie chaos. Rozważałem nawet samotny powrót do Anglii i zostawienie Lisy we Francji pod opieką niańki. W końcu byłem żołnierzem i samotnym wdowcem, a moim posiadłościom groziła ruina. Na szczęście udało mi się uporządkować sprawy finansowe, ale nie jestem aż tak zamożny jak Pendleton czy Coleridge. - Spojrzał ze smutkiem na Amelię. - Kiedy się poznaliśmy, mój majątek był bardzo skromny. Przypuszczam, że właśnie to było powodem, dla którego sir Michael nie uważał mnie za godnego pretendenta do ręki jego siostry.

- Mój brat nie miał prawa cię odsyłać. - Amelia zawahała się, a potem spojrzała mu w oczy i zapytała wprost: - Dlaczego nie napisałeś bodaj słowa o tym, co zaszło? Gdybym wiedziała, Michael nie zdołałby przeszkodzić naszemu ślubowi, bo bym mu na to nie pozwoliła. Od początku podejrzewałam, że maczał w tym palce, ale kiedy mi powie-

działeś, jak cię potraktował... - Urwała, po czym dodała z westchnieniem: - On skrzywdził ciebie... nas...

- Powiniennem był wiedzieć, że byłaś gotowa uciec ze mną i wziąć potajemny ślub, a nie słuchać tego, co wtedy wygadywał... no i kazał mnie pobić. Czuję się strasznie upokorzony, byłem ponad wszelką miarę wściekły, więc górę wzięła gorycz. Nie miałem wcale pewności, czy kochasz mnie wystarczająco mocno, aby przeciwstawić się bratu, do tego moja pozycja była dość mizerna. Przecież nic nie wskazywało na to, że zostanę spadkobiercą stryja, który miał syna, prawowitego dziedzica. Gdyby mój kuzyn nie zmarł na suchoty, musiałbym pozostać w wojsku i utrzymywać się z żołdu. Może jednak twój brat miał trochę racji, Amelio.

- Nie, nie miał! - krzyknęła gniewnie. - Twoje pieniądze nie miały dla mnie najmniejszego znaczenia, Gerardzie.

- Teraz nie jestem już biedakiem. Ciężko pracowałem i moje interesy kwitną, ale i tak twój majątek znacznie przewyższa mój. A przecież pamiętam, że gdy cię prosiłem o rękę, nie miałaś nic.

- Też nie spodziewałam się korzystnej odmiany losu. Byłam zdumiona, kiedy cioteczna babka poprosiła mnie, abym z nią zamieszkała. Wspominała, że coś dostanę po jej śmierci, ale nigdy bym się nie spodziewała, że zapisze mi wszystko, no i że jej majątek był aż tak duży.

- Można powiedzieć, że los się do ciebie uśmiechnął, prawda?

- Tak... choć ma to również swoje złe strony. Mój brat i jego żona nie mogą się z tym pogodzić, że odziedziczyłam fortunę, która ich zdaniem powinna była im przyspaść w spadku. Po śmierci ciotki Michael wiele razy postąpił wobec mnie w bardzo niemiły sposób.

- Nie mieli prawa niczego się spodziewać. Przecież lady Agatha mogła zapisać swoje pieniądze, komu chciała.

- Tak, istotnie. O ile wiem, jej zmarły mąż miał jakichś krewnych, którzy także liczyli na spadek, ale oni przynajmniej nigdy nie zgłaszali do mnie pretensji w tej sprawie.

- A twój brat? - zapytał Gerard, w napięciu mrużąc oczy. - Tylko dawał do zrozumienia? Czy wyraził swoje pretensje wprost?

- Wprost, i to wiele razy. Stało się to tematem niekończących się scysji między nami. Michael uważa, że powinnam mu oddać większą część pieniędzy, a ja nie zamierzam ulegać jego żądaniom, niemniej jednak napsuło mi to krwi. - Zawahała się. - Poza Emily nikomu o tym nie mówiłam, ale po jego ostatniej wizycie poczułam się zagrożona.

- Sir Michael ma bardzo porywczy charakter...

Amelia milczała przez chwilę, a potem zapytała:

- Nadal uważasz, że to on próbował mnie porwać z Pendleton dwa lata temu? Bo wtedy tak myślałeś, prawda?

- Owszem, choć mogłem się mylić. Bo jeżeli to on, to dlaczego nie spełnił swojej groźby? Czemu poprzestał na jednej próbie?

- Nie wiem. Przez długi czas obawiałam się kolejnej napaści, ale nic takiego się nie stało.

- Dla mnie to niepojęte, chyba że... Jedyne logiczne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy, wszystko wywraca do góry nogami. Być może ofiarą miała być Susannah, jednak porywacze was pomylili. Jak wiesz, w tamtym czasie były jakieś scysje między markizem Northavenem a Harrym Pendletonem.

- Masz rację, to jedna możliwość, tyle że trudno nas pomylić, przecież bardzo się różnimy wyglądem. Poza tym Emily jest przekonana, że mój brat chce mi zrobić krzywdę. Słyszała, jak kilka miesięcy temu mówił, że byłoby dla niego korzystne, gdybym umarła.

- Czy to prawda?

- W tym momencie jest głównym, choć nie jedynym beneficjentem.

- Może należałoby to zmienić, Amelio - powiedział z powagą - i podać do publicznej wiadomości, że unieważniłaś poprzedni testament i napisałaś nowy.

- Niby tak, ale... - Przerwała na moment, marszcząc czoło w namyśle. - Wprost nie mieści mi się w głowie, że Michael dąży do mojej śmierci, by odziedziczyć mój majątek. Owszem, jest wybuchowym i aroganckim człowiekiem, ale żeby miał okazać się mordercą? I to własnej siostry?

- Mimo wszystko warto pomyśleć o pewnych środkach ostrożności. Mogę ci załatwić kogoś, kto będzie nad tobą czuwał, jak to już kiedyś zrobiłem. A jeżeli naprawdę

rozważasz zmiany w testamencie, to nie tylko popieram cię w tym pomysśle, ale i nalegam, byś z tym nie zwlekała.

- Może się tym zajmę po Nowym Roku. Zostałyśmy z Emily zaproszone przez Maksa i Helene do Coleridge na bal sylwestrowy. Też tam będziesz?

- Najpewniej tak. Jak wiesz, Harry i Max są dla mnie kimś więcej niż tylko przyjaciółmi.

- A ja pozostaję w serdecznych stosunkach z ich żonami. - Urwała na moment. - À propos naszych przyjaciół, to byłabym wdzięczna, gdybyś wynajął ochronę także dla Emily. Nie mam pojęcia, jak załatwia się takie zlecenia, ale oczywiście zapłacę za ochroniarzy. Choć mam nadzieję, że zatrudnianie ich okaże się niepotrzebne, ale strzeżonego...

- Jak sobie życzysz - powiedział Gerard. - Zerwał się zimny wiatr, pewnie z nieba zaraz sygnie śniegiem. Powinniśmy wracać, zanim zamarzniemy na śmierć, nie uważasz?

- Oczywiście... - Amelia odniosła dziwne wrażenie, jakby Gerard miał na końcu języka coś całkiem innego, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

Więcej już nic godnego uwagi nie padło między nimi. Rozstali się zaraz po powrocie do domu. Amelia udała się na poszukiwanie Susannah, ale jej myśli skupione były nad pytaniem: czego nie powiedział Gerard?

To miło z jego strony, że postanowił wynająć dla niej ochroniarza, skoro uważał, że grozi jej niebezpieczeństwo ze strony brata. O ile to Michael jest tym człowiekiem, przed którym trzeba ją chronić, rzecz jasna. Tylko któż inny mógłby to być?

W prywatnym saloniku pocztowego zajazdu dwaj dżentelmeni prowadzili poufną rozmowę.

- Na jakiej podstawie sądzi pan, że interesowałaby mnie tak oburzająca propozycja? - Markiz Northaven spojrzał na siedzącego naprzeciw niego mężczyznę, którego nigdy dotąd nie widział. Był tego pewny, choć twarz nieznanego była słabo widoczna w mroku i częściowo osłonięta grubym szalem. Markiz nie był przekonany, czy dobrze uczynił, zjawiając się tutaj. W pierwszym odruchu chciał zignorować list z propozycją

spotkania, jednak przeważała ciekawość, a także podszept intuicji. - Urowadzenie to przestępstwo karane szubienicą.

- Słyszałem, że ma pan zadawnione porachunki z pewnym dżentelmenem.

- A gdzie pan to słyszał? - Jego podejrzliwość jeszcze się wzmogła.

- Chodzą takie słuchy... Oczywiście kiedy zapłacą okup, będą pieniądze.

- Pieniądze... - Northaven wykrzywił się wzgardliwie. - Jeszcze nie zdążyłem wydać całego spadku po wuju.

- No to niech pan zapomni o mojej propozycji. Myślałem, że chce pan oglądać upadek Ravensheada, ale skoro brak panu odwagi... Nie szkodzi, są inni, i to aż nadto chętni.

- W jaki sposób miałyby to zaszkodzić Ravensheadowi? - zapytał markiz, mrużąc oczy.

- Ma nadzieję poślubić Amelię Royston, ale ja do tego nie dopuszczę. Kiedy skończę z tą panną, nikt się z nią nie ożeni!

Northaven aż wzdrygnął się w sobie. Miał na swym koncie wiele uczynków, które nie napawały go dumą, a jednak przeraził go mściwy ton, jakim ten człowiek mówił o Amelii Royston. To prawda, markiz uwiódł wiele młodych kobiet, lecz wbrew powszechnej opinii nie posiadał żadnej z nich bez jej przyzwolenia. Kobiety same padały mu w ramiona, więc dlaczego miałby im odmawiać? Nieprzyzwoicie przystojny, sprawiał wrażenie niedostępnego, co czyniło go jeszcze bardziej atrakcyjnym. A jeśli chodzi o morale, to cóż, daleko mu było do ideału, ale przecież nie był zdrajcą czy innym potworem, choć w pewnych kręgach uchodził za prawdziwe monstrum. To prawda, że w chwilach desperacji miał się szulerki, kłamał, kiedy było mu to na rękę, zdarzało się też, że balansował na granicy prawa, ale morderstwo z zimną krwią było obce jego naturze.

- Powiedzmy, że byłbym zainteresowany upadkiem Ravensheada - odezwał się po namyśle, skrywając swoje prawdziwe myśli. Owszem, znenawidził swych dawnych przyjaciół: Gerarda Ravensheada, Harry'ego Pendletona i Maksa Coleridge'a, czyli, jak ich złośliwie nazywał, Trójkę Świętą. Zapalał do nich złym uczuciem, bo nim gardzili i uważali za gorszego, niż był w istocie. Jednak po szczęśliwej odmianie losu nienawiść znacznie osłabła, dlatego w pierwszym impulsie markiz chciał odrzucić propozycję, lecz

po zastanowieniu uznał, że powinien dowiedzieć się czegoś więcej. - Ile byłby mi pan skłonny zapłacić? I jakie ma pan plany względem panny Royston?

- Myślałem o dziesięciu tysiącach gwinei, natomiast los panny Royston nie powinien pana obchodzić. Pan ma mi ją tylko dostarczyć.

Northavenowi ciarki przebiegły po plecach na myśl o losie gotowanym pannie Royston. Byłby to los gorszy od śmierci... Amelia Royston była przekonana, że uwiódł i porzucił jej przyjaciółkę. Wiedział doskonale o tych oskarżeniach, bo sam pozwolił jej w nie wierzyć, choć prawda była inna. Jeszcze parę miesięcy wcześniej byłby zostawił pannę Royston na pastwę losu, coś się w nim jednak zmieniło, gdy patrzył na ślub młodej panny z jej ukochanym, dla którego nie zawahała się zaryzykować życia.

Z goryczą pomyślał, że żadna kobieta nigdy nie kochała go tak bardzo, by zasłonić go przed kulą. Susannah Hampton miała wiele szczęścia, że nie wycelował bardziej w lewo... Miał później straszliwe wyrzuty sumienia, cieszył się, gdy doszła do zdrowia, był na weselu ślicznej panny i ostatecznie pogodził się z jej mężem.

Susannah poruszyła w jego sercu pewne struny, których istnienia nawet nie podejrzewał. Nagle sobie uświadomił, że jeśli dalej pójdzie tą drogą, skończy jako człowiek zgorzkniały i samotny. Wprawdzie jeszcze przez jakiś czas żywił zapiekłą niechęć do dawnych przyjaciół, jednak stopniowo odzyskiwał spokój ducha.

Może wreszcie trafia się mu okazja, by odkupić dawne grzechy?

- Muszę się zastanowić - powiedział. - Dziesięć tysięcy gwinei to spora suma, a ja nie darzę szczególną sympatią Ravensheada. Niedługo dam panu odpowiedź.

- Zatem spotkajmy się tu za dwa dni. Wtedy będę mógł powiedzieć więcej. Podczas świąt nic nie zdołamy zrobić, za to Nowy Rok panna Royston będzie spędzać w Coleridge, i w tym widzę naszą szansę...

Rozdział drugi

Po rozstaniu z Amelią Gerard poczuł się jak ostatni głupiec. Sam na to pozwolił, aby kolejna szansa wymknęła mu się z rąk! Jednak po rozmowie, którą odbyli podczas spaceru, uznał, że pora była niestosowna. Nie wypadało przecież jednym tchem namawiać Amelię do zmiany testamentu i prosić o rękę. Jeszcze gotowa pomyśleć, że chodzi mu wyłącznie o własny interes. Dobrze chociaż, że przedstawił szczerze swoją sytuację, by uniknąć w przyszłości niepotrzebnych nieporozumień. Nie potrzebował bogatej żony, choć Amelia rzeczywiście była bardzo zamożna. Zresztą jej majątek był kolejnym powodem, dla którego się zawahał, choć najbardziej dręczyło go pytanie, jak bardzo sobie zaszkodzi w jej oczach, kiedy wreszcie wyzna prawdę o śmierci Lisette.

Ukrywanie faktów byłoby nie tylko nieuczciwe, ale i wielce nierozsądne. Gdyby w późniejszym czasie prawda wyszła na jaw, Amelia na pewno poczułaby się oszukana i przestałaby mu ufać. A on zamierzał przygotować grunt dla oświadczyn, bo wiedział już z całą pewnością, że chce z nią spędzić życie. Była przecież taka piękna i czarująca, i pragnął jej bardziej niż kiedykolwiek. Bez niej...

Nagle w jego marzenia wdarł się głos służącego:

- Milordzie, dostarczono to dla pana dziś rano.

- Dla mnie? - Gerard spojrział na paczkę zawiniętą w gruby papier i obwiązaną sznurkiem. - Nie było żadnej wizytówki? Wiesz może, kto ją przywiózł?

- Lokaj jakiegoś dżentelmena, sir. Nie zdradził, u kogo służy, nie zdradził też swojego nazwiska, tylko tyle mi powiedział, że jego pan kazał tu dostarczyć tę przesyłkę.

- Rozumiem... dziękuję. - Zmarszczywszy brwi, Gerard wziął pakunek.

Przed wyjazdem zostawił w Londynie prezenty dla paru przyjaciół, ale nikomu, oprócz Toby'ego Sinclaira, nie powiedział, że święta spędzi w Pendleton. Paczka mogła wprawdzie pochodzić od któregoś z obecnych tu gości, ale zgodnie z przyjętym obyczajem gwiazdkowe prezenty ofiarowywano sobie dopiero po Wigilii. Potrząsnął delikatnie pakunkiem i usłyszał, jak coś zagrzecotało. Zaintrygowany, wycofał się do saloniku przylegającego do holu i rozpakował tajemniczą przesyłkę.

W środku znajdowało się drewniane pudełko. Gdy podniósł wieko, w pierwszej chwili pomyślał, że to prezent dla Lisy, tyle że uszkodzony, bo głowa lalki leżała wykręcona pod dziwnym kątem. Gdy wyjął ją z pudełka, zobaczył, że porcelanowa główka jest nie tylko pęknięta, ale i oderwana od korpusu, który został rozpruty nożem lub innym ostrym narzędziem.

- A niech to... - zachnął się wstrząśnięty. Jaki cel przyświecał sprawcy, który dokonał bezsensownego aktu zniszczenia? Była to ładna i droga lalka, służąca raczej do prezentowania drogich kreacji w luksusowych zakładach krawieckich, a nie jako dziewczęca zabawka.

Oczywiście o przypadkowym uszkodzeniu gwiazdkowego prezentu nie mogło być mowy. Ktoś zrobił to umyślnie, choć Gerard nie potrafił wskazać ani osoby, ani powodu takiego postępuku. W każdym razie wyglądało to na ostrzeżenie. Tylko przed czym? I dlaczego akurat teraz?

Najwyraźniej miał wroga. Pierwszym, a zarazem jedynym człowiekiem, który mu przyszedł do głowy, był markiz Northaven, któremu wraz z Harrym i Maksem kiedyś zarzucili zdradę podczas wojny w Hiszpanii. Northaven pojedynkował się później z Harrym, co omal nie zakończyło się tragicznie, a potem znikł bez śladu.

Z drugiej strony, to raczej mało prawdopodobne, aby to on przysłał mu tę lalkę. Northaven utrzymywał przecież, że nie jest zdrajcą, i gotów był wyzwąć każdego z nich na pojedynek w obronie dobrego imienia. Tymczasem ta lalka to było coś innego. Miała obudzić niepokój i zasiać zamęt, choć przesłanie było niejasne.

Czy ktoś groził jego córce?

Na myśl o tym, że miałyby zostać okaleczona podobnie jak ta lalka, zrobiło mu się słabo. Przecież Lisa to Bogu ducha winne dziecko, które nie uczyniło nikomu nic złego.

Może więc w takim razie chodzi o niego? Tylko w jaki sposób komuś aż tak bardzo się naraził, że wzbudził palącą nienawiść?

- Gerardzie... - usłyszał nagle za plecami głos Harry'ego. - Widziałem, jak tu wchodzisz.

- Musiałem to rozpakować... - Podał mu pudełko. - Lokaj dał mi to przed chwilą. Twierdzi, że paczkę dostarczono dziś rano.

Harry przyjrzał się lalce i wzdrygnął się, kiedy zobaczył, co z nią zrobiono.

- Dobry Boże! O co tu chodzi?

- Nie mam pojęcia, choć chciałbym wiedzieć.

- Myślisz, że to groźba? - Usta Harry'ego zacisnęły się w wąską kreskę. - Ktoś grozi twojej córce? A może to ostrzeżenie?

- Może i jedno, i drugie...

- Nie było żadnego listu?

- Nic nie znalazłem.

Harry starannie przeszukał pudełko i wśród pomiętych papierów oraz kawałków sznurka znalazł małą karteczkę, którą podał przyjacielowi.

- Jeżeli jest ci droga, trzymaj się od niej z daleka - zaczął czytać na głos Gerard. - To pierwsze i jedyne ostrzeżenie, wysłane w dobrej wierze. Jeżeli go nie posłuchasz, tę, którą kochasz, czeka taki sam koniec. - Zmarszczył brwi. - Co to może znaczyć? Jak mogę trzymać się z daleka od własnej córki?

- Jesteś pewny, że ta lalka symbolizuje Lisę? - zapytał Harry. - Przecież tylko parę osób wie o jej istnieniu. Ten ktoś, kto ci to wysłał, może nie zdawał sobie sprawy, że masz dziecko.

- Tak, oczywiście - po namyśle odparł Gerard. - O Lisie wie tylko garstka moich najlepszych przyjaciół. Więc jeżeli nie chodzi o nią... Nie myślisz chyba, że o Amelię...?

- Moim zdaniem, to bardziej logiczne. Przecież w paczce była nie zabawka dla dziecka, tylko lalka manekin, a Amelia to bardzo elegancka dama. Pamiętaj przy tym, że próbowano ją porwać z Pendleton. Na szczęście dalszych prób zaniechano, ale pewnie tylko dlatego, że zniknąłeś z pola widzenia. Tak w każdym razie przypuszczał Max.

- Owszem, wspominał mi o tym, ale uznałem to za nieprawdopodobne! - wykrzyknął wstrząśnięty do głębi Gerard. - Czyżby próbowali porwać Amelię, bo myśleli, że zamierzam poprosić ją o rękę? No i zrezygnowali, kiedy wyjechałem do Francji... A teraz wszystko zaczyna się od nowa, bo wróciłem?

- Cóż, ostrzeżenie dostałeś dopiero po powrocie, nie wcześniej... - Harry zasepił się. - Nie mamy prawa tego bagatelizować. Wiele wskazuje na to, że Amelia jest w wielkim niebezpieczeństwie.

- Dziś rano powiedziała mi, że panna Barton zapytała ją, czy jej brat odniósłby jaką korzyść w razie jej śmierci. Podobno Royston wciąż się domaga, aby przekazała mu większą część spadku po ciotecznej babce.

- Byłby aż takim łotrem? - zastanawiał się Harry. - Nie znam go zbyt dobrze, ale o coś takiego bym go nie podejrzewał. Owszem, mógł wywierać na nią presję, ale by miał się posunąć do zbrodni? Nie... A Northaven?

- Morderstwo kobiety to nie w jego stylu. Gdyby miał coś przeciwko tobie, wyzwałby cię na pojedynek.

- Też tak uważam. Moim zdaniem to musi być Royston, bo kto inny straciłby szansę na fortunę, gdyby Amelia za mnie wyszła?

- Zastanów się dobrze. Może jednak znasz kogoś, kto ma powód, by cię nienawidzić?

- Nikt nie przychodzi mi do głowy - powiedział Gerard. - Podobno każdy ma wrogów, ale nie znam nikogo, kto chciałby skrzywdzić mnie lub moich bliskich. Oczywiście wiem, że Royston mnie nie lubi. Kazał mnie przecież pobić, kiedy poprosiłem o rękę Amelii. Czy to jednak możliwe, by pielęgnował urazy aż przez tyle lat? Poza tym dlaczego miałby krzywdzić własną siostrę? A jeżeli ma coś przeciwko mnie, czemu nie każe mnie zastrzelić? Jest przecież wielu zawodowych zabójców, gotowych wpakować mi kulkę na ciemnej ulicy.

- Royston kazał cię pobić, kiedy poprosiłeś o rękę Amelii? - zdumiał się Harry. - Więc stąd ta blizna na skroni! Wiedziałem, że coś zaszło między wami, ale nigdy o tym nie mówiłeś... Nie szukałeś rewanżu?

- Jak mógłbym? Cokolwiek się zdarzyło, Royston to brat Amelii, a ja ją kocham, Harry. I nigdy bym jej nie skrzywdził... ani nikogo z jej bliskich.

Harry dumiał o czymś przez dłuższą chwilę, wreszcie powiedział:

- Myślę, że nic innego nie wchodzi w rachubę, tylko najbardziej oczywiste rozwiązanie. Po prostu Roystonowi chodzi o kontrolę nad majątkiem siostry. Gdy tylko ożenisz się z Amelią, straci przecież wszelkie szanse na spadek po jej śmierci.

- Dobry Boże! To znaczy, że jeżeli ją poproszę o rękę, podpiszę na nią wyrok!

- A jeśli się nie oświadczysz, poczuje się dotknięta i nieszczęśliwa - stanowczo zaproponował Harry. - Ta groźba to za błaży powód, żebyś zrezygnował ze swoich planów.

- I tak źle, i tak niedobrze! Niech to diabli! - zaklął Gerard. - Muszę jej załatwić ochronę. I to przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Sobie też... i nie kręć głową, Gerardzie. Niech ktoś pilnuje twoich pleców. Royston... chciwość... to taka prosta i oczywista koncepcja. - Przymknął na moment oczy. - A jeśli wcale nie dotarliśmy do sedna sprawy? Nie, Royston i tylko Royston, bo któż by inny? Ale i tak trzeba przeprowadzić śledztwo. Przepytam całą służbę. Może jednak ktoś zna tego człowieka, który dostarczył przesyłkę.

Gerard włożył lalkę do pudełka i zamknął je.

- Lokaj nic nie wie, ale masz rację, może ktoś inny ze służby rozpoznał posłańca. Każda wskazówka może być na wagę złota, bo tak naprawdę nie mam pojęcia, od czego zacząć.

- Zawsze możesz liczyć na moją pomoc.

- Wiem, oczywiście. Proszę, nie mów na razie nic swojej żonie i Amelii. Nie chcę, żeby ta sprawa popsukała im święta, a skoro już wiemy o zagrożeniu, Amelia pod tym dachem jest bezpieczna... przynajmniej na razie. - Zmarszczył brwi. - Swoją drogą, nie wydaje ci się dziwne, że zostałem ostrzeżony?

- Pewnie Royston chce cię zniechęcić do oświadczyn. Dla niego byłoby to najkorzystniejsze wyjście. Wycofasz się i po sprawie...

- Tak, to możliwe... - Gerard zamyślił się. - A jeśli lalkę przysłał ktoś inny, żeby ostrzec mnie przed niebezpieczeństwem? To bardzo dziwna sprawa. Niewykluczone, że jak sam powiedziałeś, kryje się za tym coś więcej. Kłopot w tym, że nie mam najmniejszego pojęcia, o co chodzi.

Po powrocie ze spaceru Amelia udała się na górę, żeby się przebrać. Szczera rozmowa z Gerardem kazała jej się poważnie zastanowić nad swoim położeniem. Myśl, że rodzony brat mógłby jej źle życzyć, była bolesna, nie mogła jednak zaprzeczyć, że już wcześniej odbierała słowa Michaela nie jako zwykłe rodzinne pretensje, lecz jako poważne groźby.

Może więc powinna przedsięwziąć konkretne środki ostrożności? Wprawdzie nie bardzo potrafiła uwierzyć, że jej życie wisi na włosku, lecz gdyby wyszła za mąż, Michael straciłby wszelkie szanse na przejęcie majątku siostry. Cóż, konsekwentnie dawał do zrozumienia, że nigdy się nie zgodzi na jej ślub z Gerardem, jakby nie pamiętał, że jest pełnoletnia i może bez jego pozwolenia poślubić, kogo tylko zechce.

Wyrzała przez okno i zobaczyła przyjaciółkę samotnie zmierzającą w stronę domu. Głęboko zamyślona, szła ze spuszczoną głową.

Natura obdarzyła Emily delikatną urodą. Miała włosy w odcieniu ciemnego miodu, błękitne oczy i bladą cerę. Przez to, że nosiła się skromnie i nie zwykła afiszować swojej obecności, często w ogóle jej nie dostrzegano, chyba że się uśmiechnęła, bo wtedy wyglądała oszłamiająco. Jednak w ostatnich dniach Emily wydawała się bardziej przygaszona niż zazwyczaj. Wyraźnie czymś się zadręczała.

Amelia domyślała się, w czym rzecz. Przecież Emily wyznała jej prawdę, kiedy się starała o posadę damy do towarzystwa. Do dziś dokładnie pamiętała jej słowa:

- Panno Royston, muszę pani coś wyznać, coś, co jest moją najgłębiej ukrywaną tajemnicą. - Cały czas patrzyła jej prosto w oczy. - Wiedzą o tym tylko moi rodzice i kilka osób ze służby, bo mój ojciec zrobił wszystko, aby zatuszować moją hańbę.

- Twoją hańbę? Chcesz powiedzieć, że masz nieślubne dziecko? - Amelia od razu domyśliła się prawdy.

- Ja... ja zostałam zniewolona. - Emily jeszcze bardziej poblądła, a oczy pociemniały na wspomnienie tamtych strasznych chwil. - Nie darzyłam go uczuciem, nie zachęcałam do niczego. Wziął mnie siłą, a potem okazało się, że noszę jego dziecko.

- Moje biedactwo! - wykrzyknęła wstrząśnięta Amelia. - To straszne! Och, dlaczego mężczyźni potrafią być tacy nikczemni! Proszę, opowiedz mi, co było dalej.

- Ojciec nigdy mi nie uwierzył, że nie było w tym mojej winy, ale przysięgam, że jestem niewinna. - Oczy Emily wezbrały łzami, choć starała się powstrzymać od płaczu. - Jeżeli to czyni mnie nieodpowiednią kandydatką na pani damę do towarzystwa...

- Ależ nie, nawet tak nie myśl - z ciepłym uśmiechem powiedziała Amelia. - To, co usłyszałam, sprawia, że tym bardziej pragnę przyjąć cię pod swój dach. Zamieszkasz ze mną, poznasz moich przyjaciół, a z czasem znów nauczysz się być szczęśliwa.

- Pani jest taka dobra...

- Wiem, czym jest cierpienie, uwierz mi... Nie myśl już więcej o swojej hańbie, moja droga. Postaraj się zapomnieć o przeszłości.

Niestety, łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Bywały takie dni, kiedy Emily pogrążała się w czarnej melancholii.

Amelia postanowiła więc pomóc przyjaciółce. Od jakiegoś czasu zastanawiała się nad tym, czy nie powinna odszukać jej dziecka. Wiedziała tylko tyle, że córeczkę zabrano tuż po urodzeniu, ale gdzie ją umieszczono, Emily nie miała pojęcia. Świadomość, że mała chowa się zdrowo i jest kochana przez przybranych rodziców, mogłaby ją uspokoić i złagodzić ból. Dlatego, zamiast się roztkliwiać nad sobą, Amelia postanowiła skupić się na dramatycznych problemach przyjaciółki.

Przebrała się i zeszła na dół, aby dołączyć do Emily. Postanowiła na razie nie poruszać tematu jej dziecka. Powróci do tej sprawy po świętach.

Wzburzony Gerard krążył po pokoju. Miał wrażenie, że znalazł się między młotem a kowadłem. Dla Amelii najlepszym wyjściem byłoby zamążpójście, gdyż od razu uwolniłaby się od pazernego brata, jednak jeśli przyjmie oświadczyzny, do czasu ślubu narazi się na poważne niebezpieczeństwo, oczywiście o ile Michael Royston naprawdę z chciwości planuje zabójstwo. Tak czy inaczej, Amelii potrzebna jest ochrona.

Wiedział, że musi ją otoczyć szczególną opieką. Był to głęboki wewnętrzny nakaz, przecież kochał Amelię bezgranicznie. Nie wyrzeknie się jej z powodu jakichś zawołanych pogroźek. Zrobi, co w jego mocy, aby zapewnić jej bezpieczeństwo. Swoją drogą, dobrze byłoby dać jej do zrozumienia, że powinna uważać, choć jak na razie jest bezpieczna. Polecono służbie mieć oko na obcych, a kiedy Amelia będzie wyjeżdżała z Pendleton, zdaży załatwić jej ochronę. Sprowadzi tych samych ludzi, których już kiedyś wynajął.

Tyle przynajmniej mógł zrobić dla ukochanej kobiety, natomiast nadal wahał się, czy rozmawiać z nią o małżeństwie. W ogóle czy miał takie prawo? Amelia wciąż była bardzo piękna i czarująca, a do tego bogata, stanowiła więc świetną partię. Słyszał nawet, że łączono jej imię z paroma dżentelmenami, jak jednak widać, bez dalszych konse-

kwencji. Czy miała poważne propozycje, tego Gerard nie wiedział, a nawet jeżeli tak, to odmawiała. Ciekawe dlaczego? Czyżby nie wierzyła w szczerą intencję proszących ją o rękę mężczyzn? W to, że ktoś mógłby ją pokochać dla niej samej? Chyba nie! Z drugiej strony, jeżeli rodzony brat nękał ją z powodu bogactwa, miała podstawy do obaw, że innym także chodzi głównie o majątek.

Postanowił w czasie świąt nie dzielić się z nikim swoimi podejrzeniami. Niech Boże Narodzenie będzie dla wszystkich czasem radości i spokoju. Za nic nie chciałby zakłócić świątecznej atmosfery ani Pendletonom, ani ich gościom.

- Susannah poprosiła mnie o pomoc - powiedziała rozpromieniona Emily do Amelii, kiedy po południu schodziły na dół. - Trzeba wesprzeć najmłodsze dzieci przy rozpakowywaniu prezentów, a niania właśnie dostała wychodne.

Amelia wiedziała, jak bardzo przyjaciółka kocha dzieci, zatem świadomość, że jej córka chowa się w obcej rodzinie, musiała być dla niej torturą. Amelia zaczęła się zastanawiać, czy Emily próbowała się dowiedzieć, gdzie przebywa jej dziecko. Pewnie jednak nie, bo takie poszukiwania wymagają czasu i pieniędzy, zaś Emily najpierw opiekowała się chorą matką, a po jej śmierci musiała podjąć pracę zarobkową. Jakkolwiek było, Amelia postanowiła na razie nie poruszać tego tematu.

- To duża odwaga ze strony Susannah urządzać zabawę dla dzieci bez pomocy niańki - stwierdziła. - Jestem pewna, że niektóre spośród zaproszonych dam nigdy w życiu nie zajmowały się swoimi pociechami.

- Myślę, że będzie świetna zabawa. Zawsze chciałam mieć rodzeństwo. Niestety jestem jedynaczką. - Emily znów posmutniała.

- Och, jestem przekonana, że wszystko się uda - powiedziała Amelia. - Już się nie mogę doczekać, kiedy poznam córeczkę Gerarda. Dopiero od niedawna jest w Anglii, bo przedtem mieszkała we Francji, więc może mieć kłopoty z porozumiewaniem się z innymi dziećmi. Wiem, że będzie z nią niańka wynajęta przez Gerarda, co oznacza jeszcze jedną osobę do pomocy.

W dobrych nastrojach wkroczyły do salonu, w którym odbywała się zabawa dla najmłodszych dzieci. Ściany udekorowano złotymi i srebrnymi gwiazdkami, była także szopka z drewnianymi figurami zwierząt, lalką przedstawiającą Dzieciątko Jezus i parą

służących przebranych za Maryję i Józefa. Trzech innych służących, w kostiumach Trzech Króli, w stosownym czasie miało rozdać dzieciom prezenty.

Na stołach wystawiono półmiski z galaretkami, kandyzowanymi owocami, ciastkami i biszkoptami. Podano również maleńkie kanapki z masłem i miodem.

- Amelio... panno Barton! - Uśmiechnięty Gerard podszedł do nich. - Mam przyjemność przedstawić wam moją córkę, Lisę. Liso, to panna Amelia Royston, a to panna Emily Barton. Przywitaj się ładnie, kochanie.

- *Bonjour, mademoiselle Royston, bonjour, mademoiselle Barton* - powiedziała Lisa, dygając. - Miło mi panie poznać. Czy dobrze powiedziałam, papo? - Zerknęła na Gerarda.

Miała maniery małej kokietki, figlarne spojrzenie i główkę całą w kasztanowych loczkach związanych różową wstążką. Ubrana w atlasy i falbanki, wyglądała jak śliczna laleczka. Nic dziwnego, że Gerard zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Bo choć w Lisie nie płynęła jego krew, była niewątpliwie jego córeczką. Amelia także z miejsca straciła dla niej głowę.

- Bezbłędnie, panno Ravenshead - powiedziała z uśmiechem. - Bardzo dobrze mówisz po angielsku. Widzę, że pilnie przykładasz się do lekcji. Może pójdziemy zobaczyć, co lady Pendleton przygotowała dla nas na podwieczorek? - dodała, wyciągając rękę.

- Papa zawsze mówi do mnie po angielsku. - Lisa zawahała się, a potem wsunęła maleńką rączkę w dłoń Amelii. - Jestem głodna, ale niania nie pozwoliła mi nic jeść. Powiedziała, że to jedzenie nie jest dla mnie dobre.

- Och, byłoby przykro, gdybyś niczego nie spróbowała - odparła Amelia. - Kawałek ciasta czekoladowego i kanapka z miodem z całą pewnością ci nie zaszkodzą.

- We Francji zawsze mieliśmy miód na podwieczorek - oznajmiła Lisa z uśmiechem. - Niania mówi, że lepsze jest jajko na miękko, ale ja wolę miód.

- Powiem ci, że ja też. To jak, zjemy po kromce chleba z miodem?

- Tak, tak, poproszę. Mogę też dostać kawałek ciasta? Niania nie pozwala mi jeść ciasta - powiedziała Lisa z żalem, ale zaraz się uśmiechnęła. - Czasami jem ciastka z papą.

- Myślę, że w święta można zrobić wyjątek. Poza tym lady Pendleton byłoby przykro, gdyby to wspaniałe jedzenie się zmarnowało, nie uważasz?

- Też tak myślę. - W oczach Lisy pojawił się psotny błysk. - Czy mogę poprosić o trochę tej czerwonej galaretki?

- Moim zdaniem tak - uznała Amelia. - Zjemy po kromce z miodem i po galaretkce, a potem weźmiemy sobie po kawałku ciasta. Co ty na to?

- Panno Royston, wybaczy pani, ale z zasady nie pozwalam mojej podopiecznej jeść tak tuczających potraw.

Amelia odwróciła głowę. Niańka Lisy okazała się kobietą o surowej twarzy, stalowoszarych włosach i wąskich ustach. Miała około pięćdziesięciu lat i niewątpliwie wychowała w żelaznej dyscyplinie sporo dzieci. Amelia od razu poczuła do niej antypatię, oczywiście zamaskowaną uśmiechem.

- Uważam, że możemy trochę rozluźnić rygory, nianiu - powiedziała uprzejmie. - W końcu są święta, a hrabia prosił mnie o dopilnowanie, by jego córeczka dobrze się bawiła. Lisa z pewnością nie zje za dużo.

- Ja tylko nie chcę, żeby później przez całą noc chorowała.

- Też tego nie chcę - stwierdziła Amelia. - Proszę pomóc teraz przy innych dzieciach, a ja zajmę się Lisą. Będzie ze mną bezpieczna.

Niania skinęła głową i odeszła, lecz cała jej postura zdawała się wskazywać, że jest zła. Amelia miała tylko nadzieję, że nie ukarze później Lisy za to, że nie uznano jej autorytetu.

- Lubisz bawić się i grać w różne gry? - zapytała Lisę, porządkując w głowie to, co powie Gerardowi o niańce.

- Nie wiem, proszę pani Nigdy w nic nie grałam. Czasami papa brał mnie ze sobą, kiedy jechał konno. A czasami, kiedy niania nas nie widziała, goniliśmy się po ogrodzie. Czy to też jest gra?

- Tak, ale jest dużo innych. Nie masz układanek albo takiej specjalnej obręczy do zabawy?

- Papa dał mi różne rzeczy po przyjeździe do Anglii, ale niania każe mi czytać książki. Mówi, że zabawki to strata czasu.

- Naprawdę tak mówi? - rzuciła lekkim tonem Amelia. - Lady Pendleton zaplanowała na to popołudnie kilka gier. Może zagramy razem? W końcu są święta, no i można wygrać ładne nagrody.

Twarzyczka małej rozjaśniła się uśmiechem. A więc Gerard słusznie niepokoił się z powodu niańki. Lisa była żywym dzieckiem, dlatego potrzebowała dyscypliny, ale przecież nie aż takiej, by zabraniać jej zabawy lub jedzenia tego, co lubi.

Wystarczyły dwie godziny, aby Amelia zakochała się w małej przyjaciółce. Lisa rozkwitła, błyskawicznie przemieniła się w normalną, radosną małą dziewczynkę. Wzięła udział we wszystkich zabawach i wygrała srebrny krzyżyk na różowej wstążce, a w prezencie dostała lalkę, która miała porcelanową główkę i była ubrana w różową sukienkę, podobną do jej sukienki. Po skończonej zabawie Lisa pobiegła do ojca, aby mu pokazać prezent.

- Jest śliczna - powiedział, całując córkę i spoglądając ponad jej głową na Amelię. - Czy mój mały łobuziak był grzeczny?

- Ależ tak! Świetnie się bawiłyśmy, prawda, Liso?

- *Oui, merci, mademoiselle!* - zawołała Lisa, dygając. - Przyjdzie pani jeszcze do mnie? Bardzo proszę! Chciałabym, żeby pani została moją przyjaciółką - dorzuciła, spoglądając z desperacją na zbliżającą się niańkę. - Proszę...

- Ależ oczywiście. Przyjdę jutro rano - zapewniła ją Amelia. - Też mam dla ciebie prezent, a potem mogłybyśmy przejść się po parku albo przejechać powozem, gdyby było bardzo zimno. Ty, papa i ja. Jak ci się to podoba?

- Bardzo, *mademoiselle*. - Lisa rzuciła się na Amelię i uściskała ją.

- Idziemy, Liso - odezwała się niańka. - Jesteś zbyt podniecona, i znów nie będziesz mogła zasnąć, a ja będę musiała siedzieć przy tobie przez całą noc. - Spojrzała z niechęcią na Amelię.

Gdy niańka odeszła z małą, Amelia zwróciła się do Gerarda:

- Muszę z tobą porozmawiać bez świadków. Poczytałam parę obserwacji i uważam, że powinieneś rozważyć zmianę opiekunki.

- Więc tobie też się nie spodobała? - Na twarzy Gerarda odmalowała się ulga. - Tak się cieszę, że zapytałem cię o zdanie. Polecono mi tę kobietę, ale wydała mi się zbyt

skwaszona. Nie chciałbym zachować się nie fair, i oczywiście wiem, że dzieciom potrzebna jest dyscyplina, ale...

- Nie aż taka, żeby tłumić w nich radość życia - powiedziała Amelia, kiedy przenieśli się do saloniku, gdzie mogli porozmawiać bez świadków. - Lisę rozpieszcza energia, ale jest rozkosznym dzieckiem i ma dobre maniere. Myślę, że niania jest dla niej zbyt surowa. Nie pozwala jej się bawić, jeść miodu na podwieczorek, co uważam za straszne restrykcje.

- I zupełnie niepotrzebne - stwierdził Gerard z uśmiechem. - Wiedziałem, że mogę na tobie polegać, moja droga Amelio. Bałem się, że jako kochający ojciec mogę być zbyt pobłażliwy wobec Lisy. Mam dziewczynę do dziecka. Przekażę Lisę pod jej opiekę, a nianię zwolnię. Oczywiście wypłacę jej roczną pensję i dam dobre referencje.

- Biedna kobieta! Przykro mi, że straciła pracę, i to w święta, ale przyznam, że bardzo mi się nie spodobała. Kiedyś zatrudniłam w sierocińcu podobną osobę i szybko musiałam ją zwolnić, ponieważ źle odnosiła się do podopiecznych. Nie rozumiem, dlaczego niektórzy traktują dzieci jak kryminalistów.

- Bo niektóre dzieci to potwory. Pamiętam, jak wkładałem nianię żaby do łóżka.

- Naprawdę? Kiedy ja tak zrobiłam, niania poskarżyła się mojemu ojcu, a on kazał mi ją przeprosić i przez dwa dni dostawałam tylko chleb i wodę.

- Mój ojciec załatwił to laniem, co zresztą wyszło mi na dobre. Pomyśl tylko, powiedział, jaki to musiał być szok dla biednej żaby...

- Dla żaby... - Amelia zaniósł się śmiechem. - Nie, nie! To okropne! Masz przewrotne poczucie humoru.

- Owszem... czasami - przyznał Gerard. - Dawno się tak nie uśmieiałem. Amelio... mogę ci coś powiedzieć?

- Tak, oczywiście.

- Proszę, usiądź. - Poprowadził ją do kanapy. - To dla mnie niełatwe. Chciałem ci wyznać coś, o czym prawie nikt nie wie, ale boję się, że możesz źle o mnie pomyśleć.

- Co tam nabroileś? - zapytała z uśmiechem.

- Nie powiedziałem ci całej prawdy.

Zabrzmiało to tak poważnie, że uśmiech znikł z jej twarzy.

- Możesz mi to wyjaśnić?

- Mówiłem ci, że moja żona zmarła po długiej chorobie, prawda?

- Tak, mówiłeś.

- Lecz zataiłem najważniejsze. Owszem, chorowała, odzyskała jednak zdrowie... przynajmniej fizyczne, bo nie psychiczne, co zrozumiałem znacznie później.

- Gerardzie, nic z tego nie pojmuję!

- Będąc przy nadziei, Lisette sprawiała wrażenie całkiem szczęśliwej, za to później... później zaczęła się uskarżać, że jej nie kocham i myślę więcej o dziecku niż o niej...

- Przecież każdy ojciec pokochałby swoje dziecko, prawda? Może wpadła w melancholię po porodzie? Słyszałam, że to się zdarza...

- Tak, to mogło być to... - Gerard urwał. Miał szansę powiedzieć prawdę, mimo to wciąż się wahał. - Może istotnie zaniedbywałem Lisette? Starłem się być dla niej dobry, chronić i zaspokajać wszystkie potrzeby... Lecz jej to nie wystarczało. Nie jestem już taki jak wtedy, kiedy się poznaliśmy, Amelio. Stałem się twardszy, mniej czuły na potrzeby innych.

- Och, Gerardzie! Nie wierzę, żebyś umyślnie traktował źle swoją żonę.

- Oczywiście, że nie. - Potarł bliznę na skroni. - Tyle że mogłem ją ranić nieświadomie, a Lisette była bardzo wrażliwa, Powinienem być dla niej lepszy... ale nie potrafiłem już nikogo tak bez reszty pokochać. Tamtej nocy, kiedy twój brat kazał mnie pobić, coś we mnie umarło. Myślałem, że o tym wiedziałaś i że moja miłość cię obrażała. Dlatego później bałem się okazywać swoje uczucia, a Lisette cierpiała z tego powodu. - Zawahał się. Chciał powiedzieć, że śmierć żony nastąpiła z jego winy. Tej nocy, kiedy wślizgnęła się do jego łóżka, aby mu się oddać, odwrócił się od niej, bo nie była tą kobietą, która bez reszty zawładnęła jego sercem. Pragnął wyznać Amelii swój grzech, nie zniósłby jednak tego, gdyby odwróciła się od niego ze wstrętem. Miał świadomość, że dotkliwie zranił Lisette i w ten sposób popchnął ją do desperackiego czynu.

- Gerardzie, co więc się stało? Jak umarła?

- Któregoś dnia, kiedy nie było mnie w domu, kazała sobie przygotować kąpiel i...

- Urwał, bo słowa nie chciały mu przejść przez gardło. - Znalazłem ją po powrocie, w

wannie, z podciętymi żyłami. Wyciągnąłem ją z wody, próbowałem ratować, ale wykrwawiła się na śmierć. Skonała w moich ramionach... - Grymas bólu wykrzywił jego twarz. - Musiała być głęboko nieszczęśliwa, a ja nie potrafiłem jej pomóc. Coś było ze mną nie tak, skoro nie zorientowałem się, że moja żona woli odebrać sobie życie, niż się dalej męczyć. Od tamtej pory jej śmierć obciąża moje sumienie. - Odetchnął. Nareszcie wyjawiał prawdę, pomijając jedynie parę zbyt drastycznych szczegółów.

Amelia poderwała się i wyciągnęła do niego rękę.

- Mój drogi Gerardzie, jakie to musiało być dla ciebie straszne! - zawołała ze szczerym współczuciem. - Strata młodego życia zawsze jest tragedią, ale to nie była twoja wina. Najpewniej Lisette nie doszła jeszcze do siebie po porodzie. Skąd możesz wiedzieć, że była nieszczęśliwa, jeśli ci tego nie powiedziała?

- Z pewnością czuła się okropnie, lecz nie zdawałem sobie z tego sprawy. A powinienem był to zauważyć.

- Podałęś jej rękę, kiedy została sama. Ożeniłeś się z nią i musiałeś być dla niej dobry, skoro cię pokochała. Owszem, jeśli nie była pewna twoich uczuć, mogła wpaść w rozpacz, ale wina nie leży tylko po twojej stronie.

- Widzisz wszystko tak jasno... - Przysunął się do Amelii, patrząc na nią intensywnie. - Więc nie odwracasz się ode mnie z odrazą? Nie wzbudziłem w tobie wstrętu, nienawiści? Zrozumiałaś, że nie jestem już taki jak niegdyś?

- Nie mogłabym cię znienawidzić. Na pewno wiesz o tym...

- Wiem, że jesteś wspaniałą, mądrą i piękną kobietą - oznajmił z ogniem w oczach. - Czułbym się zaszczycony, gdybyś zechciała zostać moją żoną. Byłaś przecież gotowa poślubić mnie przed laty. Czy mogę mieć nadzieję, że ten pomysł nadal wydaje ci się do przyjęcia?

- Gerardzie... - Amelia zaniemówiła na chwilę, wreszcie wyszeptała. - Tak...

Chciała powiedzieć coś więcej, ale jej to uniemożliwił gorącym pocałunkiem. Objęła Gerarda za szyję i wtuliła się w niego. To było to, za czym zawsze tęskniła, o czym marzyła przez tyle samotnych nocy! Tylko w najśmielszych snach los okazywał się dla niej aż tak łaskawy.

- Moja piękna Amelio - powiedział Gerard. - Jakimż jestem głupcem! A ty jesteś taka mądra i wszystko rozumiesz. Właśnie takiej kobiety jak ty potrzebuję. Nigdy nie zażadasz ode mnie więcej, niż mogę ci ofiarować. Dawno temu powinienem był cię poprosić o rękę!

Spojrzała na niego niepewnie. Spodziewała się słów przepelnionych miłością, lecz się ich nie doczekała. Sprawilo jej to pewien zawód.

- Rzeczywiście kiedyś myślałam, że miałeś taki zamiar, ale potem się wycofałeś i nie byłam już pewna twoich uczuć.

- Zawsze cię podziwiałem, zawsze byłaś mi bliska. Mogliśmy od lat być małżeństwem, gdyby nie twój brat... Z pewnością nie ucieszy go wiadomość o naszych zaręczynach, Amelio.

- Michael albo będzie się cieszył moim szczęściem, albo niech się trzyma ode mnie z daleka. Nie mam wobec niego żadnych zobowiązań, no i obecnie nie może mi już niczego zabronić. Za to ty powinieneś uważać, Gerardzie, bo potrafi być bardzo mściwy.

- Będę uważać, ale przede wszystkim zadbam o twoje bezpieczeństwo, najdroższa. To mój pierwszy obowiązek. Przecież już próbowano cię porwać.

- Wprawdzie nie sędzę, by Michael wyraził swój gniew w bardziej radykalny sposób niż tylko słowami, jednak ostrożność nie zawadzi. - Spojrzała na niego z wahaniem. - Czy życzysz sobie, abyśmy od razu ogłosili nasze zaręczyny?

- To zależy wyłącznie od ciebie. Jeżeli potrzebujesz więcej czasu do namysłu...

- Nie, nie. Dałam ci już odpowiedź i zdania nie zmienię.

- Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Mam dla ciebie gwiazdkowy prezent, Amelio. Nie chciałem jednak kusić losu, więc nie jest to pierścionek, choć również zamówiłem go u jubilera i kazałem dostarczyć do Coleridge.

- W takim razie moglibyśmy ogłosić nasze zaręczyny tam, na balu - zasugerowała Amelia. - A na razie powiedzmy tylko najbliższym przyjaciółom, że jesteśmy już po słowie.

- Jak zawsze potrafisz znaleźć najlepsze rozwiązanie - stwierdził Gerard, całując ją delikatnie w usta. - Już się nie mogę doczekać naszego ślubu, Amelio. Dobra z ciebie przyjaciółka i wiem, że będziesz cudowną żoną. Lisa już cię uwielbia, więc nasz ślub jest

tym najlepszym, co mogę dla niej zrobić. A tobie zapewnię wszelkie wygody i bezpieczeństwo, zyskując w zamian piękną, wspaniałą towarzyszkę na całe życie... Będzie nam się żyło jak w raju.

Pozwoliła się pocałować, nie przytuliła się jednak jak za pierwszym razem, bowiem w jej sercu zrodziły się wątpliwości. Czyżby Gerard oświadczył się tylko dlatego, że potrzebuje stosownej żony, a także matki dla swojej córeczki? Nie mogła się przy tym pozbyć myśli, że gdyby sprawy potoczyły się inaczej, mogłaby to być jej własna córka.

Czy Gerard sądził, że przez tyle lat pozostała panną z braku propozycji? - dumiała Amelia, przebierając się na wieczór. Mogła przecież wyjść za mąż od razu po jego zniknięciu, odmawiała jednak wszystkim starającym się, których przedstawiał jej Michael. Szczególnie energicznie próbował zmusić ją do poślubienia pewnego markiza, ale nie dała się zastraszyć.

Natomiast od czasu, gdy się rozniosło, że odziedziczyła duży majątek, sześciu poważnych kandydatów prosiło o jej rękę, ale żaden z nich nie potrafił sprawić, by zapragnęła małżeństwa, choć przynajmniej jeden z nich był w niej szczerze zakochany. Wciąż jednak darzyła uczuciem Gerarda, mimo że tak dotkliwie ją zranił.

Teraz targały nią mieszane uczucia. Gerard oświadczył jej się i został przyjęty, ale czy kochał ją prawdziwie? A może tylko chciał zapewnić sobie wygodny układ? Oddaną matkę dla Lisy i wyrozumiałą żonę dla siebie?

Próbowała sobie przypomnieć jego słowa, ale poza samymi oświadczynami cała reszta zamazała się w jej pamięci. Gerard chyba wspominał, że troszczył się o Lisette, ale nie był w stanie pokochać jej szczerze.

Czy to była sugestia, żeby i ona nie oczekiwała zbyt wiele? Zwłaszcza pod względem emocjonalnym? Czy Gerard jeszcze cokolwiek do niej czuje?

A tak w ogóle, co się z nią dzieje? Przecież nigdy nie przestała żałować utraconej miłości. Lata mijały, a wraz z nimi młodość i nadzieja na szczęście. Coraz częściej natchodziły ją obawy, że umrze w staropanieństwie, do kresu swych dni niekochana i boleśnie niespełniona.

Gdy znów spotkała Gerarda, nadzieja ożyła w jej sercu, ale gdy złożył deklarację małżeńską, opadły ją wątpliwości, bo jego słowa wcale nie świadczyły o płomiennym

uczuciu. Owszem, lubił ją, to pewne, cenił też sobie jej zdanie, ale raczej nic ponadto. Z drugiej strony, czy to nie solidna podstawa do małżeństwa?

Krążąc po pokoju, próbowała zebrać myśli i ocenić na zimno swoją sytuację. Czy gotowa jest zaakceptować małżeństwo z rozsądku? Czy potrafi być szczęśliwą żoną, wiedząc, że wprowadzie mąż zawsze o nią zadba i jest godzien najwyższego zaufania, ale nie kocha jej prawdziwie?

Oczywiście, że tak! - powiedziała sobie stanowczo, chociaż wciąż czuła gorycz zawodu. Lecz to się nie liczyło. Nie jest przecież młodziutką debiutantką, dobiega trzydziestki, więc nie powinna spodziewać się ognistego romansu. A skoro wie, że nie pokocha żadnego innego mężczyzny, głupotą byłoby odmawiać Gerardowi tylko dlatego, że nie darzy jej tak gorącym uczuciem, jak to sobie wymarzyła. Jako młoda panna nigdy by nie przystała na taki układ, oczekując obopólnej miłości, ale teraz, w jej wieku? Życie udzieliło Amelii twardych nauk, no i uważała się za osobę z natury rozsądną, dlatego była skłonna uznać, że lepiej wybrać małżeństwo oparte na kompromisie niż samotność do grobowej deski. Wychodząc za Gerarda, zyska troskliwego męża i przybraną córkę, we troje stworzą rodzinę. No i jest jeszcze na tyle młoda, by dać mężowi spadkobiercę. Od razu wyobraziła sobie gromadkę dzieci, gwarny, radosny dom... Jeżeli pozostanie panną, nigdy nie pozna uroków macierzyństwa. Pewnie w tym związku nie zazna szalonej namiętności i bezgranicznej czułości, o czym skrycie marzyła, ale będzie miała męża i dzieci, prawdziwą rodzinę, odpędzi widmo samotności.

To musi wystarczyć, pomyślała. Poza tym mogła mieć nadzieję, że w Gerardzie z czasem obudzą się choćby po części dawne uczucia. Czyż jego pocałunek nie świadczył o tym, że nie jest mu całkiem obojętna, przynajmniej pod względem fizycznym?

W końcu małżeństwo, w którym jedna strona jest bardziej zaangażowana niż druga, to nic niezwykłego. Ludzie pobierają się z różnych powodów, jakże często tylko dla pieniędzy lub by wzmocnić swoją pozycję w towarzystwie. Na szczęście w ich przypadku ekonomiczny powód nie wchodził w grę, ponieważ Gerard był wystarczająco zamożny, by nie oglądać się na majątek przyszłej żony. Oświadczył za to, że pragnie mieć rozsądną towarzyszkę życia i matkę dla swego dziecka. Czy potrafię mu to zapewnić? - spy-

tała samą siebie i uznała, że tak. Co więcej, będzie to satysfakcjonujący układ dla nas obojga, dodała w duchu.

Włożyła długie wieczorowe rękawiczki i z uśmiechem przejrzała się w lustrze. Wyglądała na osobę spokojną i pogodną. Nikt się nie domyśli, jakie walki toczą się w jej sercu.

Już miała otworzyć drzwi, kiedy rozległo się pukanie i do pokoju wsunęła się Emily. Gdy Amelia spojrzała na nią, natychmiast zapomniała o swoich problemach.

- Stało się coś złego, Emily? Masz to wypisane na twarzy.

- Pan Sinclair... nie udało mi się go powstrzymać od deklaracji - odparła Emily łamiącym się głosem. - Powiedziałam mu, że potrzebuję trochę czasu na odpowiedź... a on chyba się rozgniewał, bo pobił i odszedł bez słowa. Powinam była go przywołać, ale całkiem zaniemówiłam.

- Moja biedna Emily... - Amelia westchnęła. - Nie znalazłaś słów, by mu wyznać prawdę?

- Przeraziłam się tego, co mogłabym zobaczyć w jego oczach... Musimy jednak odbyć zasadniczą rozmowę, jeszcze tu, w Pendleton... - Zdołała stłumić szloch. - Och, cała jestem w rozpacz. Za nic na świecie nie chciałabym urazić pana Sinclaira, a jednak poczuł się dotknięty moim wahaniem. Jak mam jednak zdradzić mu prawdę?

- Nie trap się tak strasznie, moja kochana - powiedziała Amelia. - Przecież nie zrobiłaś nic złego. Przy takich okazjach kobiety często proszą o czas do namysłu, to zupełnie normalne... A kiedy wrócicie do tematu, wszystko już zdążysz przemyśleć, będziesz wiedziała, co wyznać panu Sinclairowi.

- Tak, oczywiście. Zamierzam z nim porozmawiać jutro wieczorem, po świątecznym obiedzie, by pojutrze jedno z nas mogło wyjechać... na przykład ja, gdyby on chciał zostać tu dłużej.

- Nie bądź taką pesymistką, Emily. Ufam, że pan Sinclair okaże się bardziej wyrozumiały, niż ci się wydaje - pocieszała ją Amelia. - A teraz, moja droga, życz mi szczęścia. Hrabia Ravenshead poprosił mnie o rękę i został przyjęty. Nasze zaręczyny ogłosimy dopiero na balu w Coleridge, ale chciałam, żebyś dowiedziała się o tym jako pierwsza.

- Amelio! - Na twarzy Emily odmalowało się zaskoczenie pomieszane z radością. - Tak bardzo się cieszę. Widać było, że się lubicie, nie byłam jednak pewna waszych zamiarów matrymonialnych.

- Będzie to... korzystny układ dla nas obojga. Mój brat przestanie wreszcie liczyć na to, że zostanie moim spadkobiercą, zwłaszcza kiedy urodzę dziecko, na co mam wielką nadzieję.

- Korzystny układ? - powtórzyła ze zdumieniem Emily. - Nie chcę się wtrącać, ale jesteś pewna, że to wszystko? Hrabia bardzo cię ceni i szanuje...

- No tak, dobrze się rozumiemy i przyjaźnimy od lat - powiedziała wymijająco Amelia, unikając wzroku przyjaciółki. - Może już dołączymy do reszty? Nie każmy Susannah i reszcie gości czekać. Nie myśl też sobie, że chcę się z tobą rozstawać - dorzuciła, widząc powątpiewanie w oczach Emily. - Będę szczęśliwa, kiedy poślubisz dżentelmena, którego sobie wybrałaś, ale dopóki to nie nastąpi, mój dom będzie twoim domem.

- Jesteś dla mnie taka dobra. I dziękuję za szczerść. Tak samo jak ty spotkałam tylko jednego mężczyznę, którego chciałabym poślubić. Znasz moje myśli, więc już słowa więcej na ten temat nie powiem, zwłaszcza że dziś Wigilia.

Gdy zeszły na dół, Toby Sinclair natychmiast podał ramię Emily, by ją poprowadzić na kolację. Widać było, że stara się nie żywić urazy i pragnie pozostać z nią w przyjaźni. Amelia, która zawsze uważała go za sympatycznego młodzieńca, pomyślała z uznaniem, że okazał się w każdym calu dżentelmenem.

Oczywiście do jadalni wkroczyła wsparta na ramieniu Gerarda. Przy okazji powiedział jej na ucho, że dopuścił do sekretu Harry'ego i Susannah, a także Toby'ego Sinclaira.

- Poprosiłem, aby na razie zachowali to dla siebie. Ogłosimy zaręczyny w Coleridge, tak jak planowaliśmy - zapewnił.

- Zdradziłam sekret tylko Emily, bo byłoby nie fair, gdybym to przed nią zataiła. Mogłaby się martwić, że straci posadę, gdyby się dowiedziała od osób trzecich.

- Przypuszczam, że panna Barton już wkrótce nie będzie musiała pracować jako twoja dama do towarzystwa. Na pewno zauważyłaś, że pewien dżentelmen zdecydowanie preferuje jej towarzystwo.

- Nawet wiem, że pan Sinclair zdeklarował się Emily, lecz poprosiła o czas do namysłu, bo zadrecza się swoją sytuacją życiową.

- Czyżby się obawiała, że nie zadowoli ambicji jego rodziny, bo jest tylko damą do towarzystwa? - zdumiał się Gerard.

- Coś w tym rodzaju, myślę jednak, że uda się rozwiązać ten problem.

- Toby po śmierci ojca odziedziczy spory majątek, choć z pewnością nie zamierza na to biernie czekać. Jest bystry i zaradny, więc sam pomnoży to, co już posiada. Poza tym, choć żyje w harmonii ze swoją rodziną, z pewnością nie pozwoli niczego sobie narzucać, a już zwłaszcza w takich sprawach. Nie widzę też powodu, dla którego Emily nie miałyby być dla nich odpowiednią kandydatką. Owszem, Toby pochodzi z zacnej szlacheckiej rodziny, ale daleko im do arystokracji, przecież jego ojciec jest tylko baronetem. Dlaczego więc ktokolwiek miałby kwestionować jego wybór?

Amelia pokiwała głową. Od jakiegoś czasu kusiło ją, by poprosić Gerarda o pomoc w odszukaniu dziecka Emily, nie zdradzając jednak tożsamości matki. Teraz doszła do wniosku, że nie czas i miejsce ku temu.

- No cóż, miejmy nadzieję, że wszystko się dobrze skończy - powiedziała. - Jaka data według ciebie byłaby najodpowiedniejsza na nasz ślub? Chciałbyś mieć trochę czasu na przygotowania, a może wolisz, byśmy pobrali się możliwie szybko?

- Moim zdaniem im szybciej, tym lepiej, i to dla nas wszystkich. Lisa będzie bardzo szczęśliwa, gdy otrzyma od losu nową mamę, ja też nie mogę się już doczekać, kiedy zostaniesz moją żoną. Życzysz sobie dłuższego narzeczeństwa, czy też ślub mógłby się odbyć miesiąc po balu?

- Myślę, że taki termin będzie w sam raz - odparła Amelia. - W miarę szybko, a zarazem będę miała dość czasu na przeprowadzenie koniecznych zmian. Chcesz zamieszkać na stałe w Ravenshead?

- Mam rozumieć, że wolałabyś spędzać część roku w swoim majątku, Amelio?

- Lubię latem przyjeżdżać do Bath, poza tym kilka razy w roku obowiązkowo odwiedzam Londyn, by dokonać inspekcji w sierocińcu, ale musisz wiedzieć, że Ravenshead bardzo mi się podoba.

- Będziesz miała czas na decyzję, kiedy przyjedziesz z wizytą. Musimy też wezwać prawników, by spisać umowę. Nie zamierzam kontrolować twojego majątku, choć gdybyś czuła taką potrzebę, chętnie pomogę ci nim zarządzać. Myślę, że rozsądnym wyjściem byłoby część kapitału i nieruchomości przeznaczyć na fundusz powierniczy dla naszych przyszłych dzieci.

- Tak, to świetny pomysł - przyznała lekko zarumieniona Amelia. - Kapitału bankowego mam niewiele, tyle co na bieżące potrzeby z jakąś rezerwą, natomiast odziedziczyłam dużo nieruchomości, głównie domów, gdyż moja cioteczna babka Agatha w ten sposób lokowała każdą wolną sumę. Byłabym wdzięczna, gdybyś pomógł mi to wszystko skalkulować i doradzić, czy warto pozbyć się przynajmniej części nieruchomości, a uzyskany kapitał zainwestować inaczej? Wprawdzie wynajęłam fachowca, który prowadzi moje interesy, zatrudniam też prawników, brak mi jednak kogoś, do kogo mogłabym się zwrócić z każdym kłopotem i komu mogłabym tak do końca zaufać. Oczywiście mam przyjaciół, ale nie lubię ich pytać o radę w takich sprawach.

- Harry na pewno z radością by ci pomógł, Amelio, a ma świetną głowę do interesów. Teraz jednak masz już mnie, więc możesz się do mnie zwracać nawet z drobiazgami, a ja zrobię wszystko, żeby cię od nich uwolnić.

- Dziękuję ci, Gerardzie. To miło z twojej strony... - Nie wiedziała, czy powoduje nim coś więcej, czy tylko przyjacielska życzliwość.

On zaś spojrział na nią znacząco, jakby chciał coś ważnego jeszcze dodać, ale dotarli już do jadalni i Amelia wylądowała przy stole pomiędzy Gerardem a starszym dżentelmenem, którego ledwie знаła. Przez całą kolację prowadziła uprzejmą konwersację, jednak okazja na poufną rozmowę z Gerardem niestety już się nie powtórzyła.

Wokół widziała same uśmiechnięte, zadowolone twarze. Susannah słyszała z gościnności, a jej kucharze przeszli samych siebie. Było już bardzo późno, kiedy gospodyni wreszcie wstała i zaprosiła panie do salonu na herbatę. Panowie pozostali w jadalni, by napić się porto i wypalić cygara.

Dochodziła jedenasta, kiedy dżentelmeni znów dołączyli do dam, i zaczęła się ceremonia rozdawania prezentów. Susannah i Harry przygotowali podarki dla każdego gościa. Lokaj wniósł je na srebrnej tacy i wśród okrzyków radości rozpakowano małe pa-

kuneczki zawierające flakoniki perfum z błękitnego szkła dla pań i emaliowane tabakierki dla panów.

Amelia wymieniła już wcześniej prezenty z Susannah i Harrym, i zamierzała otworzyć te, które od nich dostała, na osobności. Dla Gerarda kupiła posrebrzany wizytownik, ale postanowiła mu go ofiarować dopiero następnego ranka, przy świątecznym śniadaniu.

Rozdział trzeci

Pół godziny przed północą goście zaczęli się rozchodzić. Seniorzy udali się na spoczynek, natomiast reszta narzuciła płaszcze lub peleryny i powozami udała się na pasterkę do kościoła w Pendleton. Dla Amelii zawsze był to wyjątkowo ważny moment świąt Bożego Narodzenia, a w tym roku stał się już zupełnie wyjątkowy, gdyż uczestniczyła w tej uroczystej mszy ze swoim narzeczonym. Gdy już podjęła decyzję, myśl o małżeństwie rozgrzewała jej serce, przyprawiając o dreszczyk emocji. O ileż lepsze będzie od-tąd jej życie, nawet jeżeli mąż nie będzie w niej namiętnie zakochany.

Amelia wyszła z kościoła wsparta na ramieniu Gerarda. Po raz pierwszy czuła się naprawdę szczęśliwa. Bijące dzwony zdawały się zapowiadać rychły ślub. Gdy przysta-nęli na moment, czekając, aż podjedzie powóz, ich oddechy utworzyły w mroźnym po-wietrzu małe obłoczki.

- Gerardzie... - zaczęła Amelia, ale urwała zszokowana, bo narzeczony pchnął ją tak mocno, że poleciała na kłujący ostrokrzew. - Co...? - Zanim zdążyła dokończyć, huk-nął strzał i kula świsnęła jej obok ucha. Gdy próbowała odzyskać równowagę, Gerard wyszarpnął pistolet i wystrzelił w mrok.

Susannah i Harry natychmiast doskoczyli do Amelii, gotowi do pomocy, jednak większość ludzi po prostu krzyczała i biegała tam i z powrotem. Tylko kilku mężczyzn w ślad za Gerardem rzuciło się w pogoń za domniemanym zabójcą.

- Kochana Amelio! - krzyknęła wstrząśnięta Susannah. - Jesteś ranna? Nie mam pojęcia, co się stało... Znów zamach na ciebie?!

- Dzięki Bogu, że hrabia zobaczył go w samą porę - odezwała się Emily, która także podbiegła do Amelii. - Zauważyłam jakiegoś człowieka między drzewami, jednak dopóki nie podniósł ręki, nie zdawałam sobie sprawy z jego zamiarów.

- Widziała pani jego twarz, panno Barton? - zapytał Harry. - Ja, niestety, nic nie zauważyłem, dopóki nie usłyszałem strzału.

- Miał ciemny kapelusz i gruby szal. Przykro mi, ale tylko tyle dostrzegłam.

Zasepiony Harry pokiwał głową.

- Wybacz nam, Amelio. Braliśmy pod uwagę, że do czegoś może dojść, ale coś takiego... i w taką noc! Jakim trzeba być łotrem, żeby próbować morderstwa w Boże Narodzenie!

- Jak to? - Zaszokowana Amelia spojrzała na niego. Bolała ją ręka, bo kolce przebiły rękawiczkę, i było jej słabo. - Dlaczego oczekiwaliście, że coś może się wydarzyć?

- Wsiadajcie, panie, do powozów - powiedział Harry. - Musimy was odwieźć do domu. Gerard wszystko wam później wyjaśni. Bo w tej chwili... - Spojrzał na przyjaciela, który właśnie wrócił z pogoni za mordercą. - Masz coś?

Gerard pokręcił tylko głową, po czym zwrócił się do Amelii:

- Wybacz mi, że cię wepchnąłem w krzaki, ale musiałem działać błyskawicznie. Nic ci się nie stało?

- Trochę się podrapałam, to wszystko. Gdyby kula trafiła w cel, już bym nie żyła.

- To już nie było tylko ostrzeżenie - stwierdził Gerard, wsiadając do powozu za Amelią i Emily. - Dziś rano, po powrocie ze spaceru, dostałem dziwną przesyłkę. Jej sens jest dla mnie nie do końca jasny, ale chodziło chyba o to, że mam się trzymać z daleka od ciebie.

- Jak to? - zdumiała się Amelia. - Nic z tego nie rozumiem.

- Pewnie ktoś się domyślił, że chcę cię prosić o rękę, i postanowił do tego nie dopuścić.

- Czy to znaczy, że ten ktoś wolałby widzieć mnie martwą niż jako twoją żonę? - Amelia zadrżała. - Mój Boże, kto mógłby być tak podły?

- Przecież doskonale to wiesz - powiedziała cicho Emily. - Twój brat nie raz ci groził, ostrzegał cię przed odnowieniem znajomości z hrabią Ravensheadem.

- Czy to prawda, kochanie? - Gerard z troską spojrział na Amelię.

- Tak - odparła z westchnieniem. - Michael wielokrotnie mnie przestrzegał, że chodzi ci tylko o mój majątek. A kiedy mówiłam, że mu nie wierzę, powiedział, że jeszcze pożałuję... - Bezradnie pokręciła głową. - Mój brat miałby być moim zabójcą? Nie wierzę...

- Gdy tylko wyjdiesz za mnie, straci wszelkie widoki na twoją fortunę. Przykro mi to mówić, ale są ludzie, którzy z chciwości nie cofną się przed niczym.

- Michael to despota, ale żeby miał zamordować dla zysku? I to własną siostrę?

- Wiem, jakie to trudne dla ciebie, i lepiej, by to były fałszywe podejrzenia, ale przynajmniej na razie musimy uznać twojego brata za głównego podejrzanego. - Gerard ujął Amelię za rękę. - Nie bój się, kochanie. Zapewnię ci całodobową ochronę. Podjąłem już nawet pewne kroki, sądziłem jednak, że nie będzie to potrzebne, dopóki jesteśmy w Pendleton. Uznałem, że zagrożenie stanie się realne dopiero po publicznym ogłoszeniu naszych zaręczyn... - Spojrział na nią posepnie. - Chyba że chcesz cofnąć dane mi słowo. W tych okolicznościach zrozumieć to...

- Nikt nie będzie mi niczego dyktował! - Amelia uniosła dumnie głowę. - Ktokolwiek to był, zagrożenie nie zniknie, nawet gdybyśmy przełożyli terminy.

- Zawsze wiedziałem, że jesteś odważna. - Gerard ścisnął ją za rękę. - Miałem ci o tym wszystkim powiedzieć, ale dopiero po Bożym Narodzeniu. Nie chciałem popsuć radosnego nastroju, niestety, ten przykry incydent położy się cieniem na tegorocznych świętach.

- A gdybyśmy zasugerowali ludziom, że to kłusownicy? - podsunęła.

- O pierwszej w nocy? Spróbować zawsze można, ale raczej nikt mi nie uwierzy. Już łatwiej przyjmą wersję o rabusiu.

- Więc tego się trzymajmy. Zresztą może naprawdę był to zwykły bandyta? - Zadumała się na moment. - Gerardzie, wspominałeś, że ktoś cię ostrzegł. W jaki sposób?

- Przysłano mi lalkę. Brzmi to niewinnie, lecz ta lalka, czy raczej manekin, była paskudnie pokiereszowana! Dołączono też liścik, w którym napisano mniej więcej tak: jeżeli naprawdę ci na niej zależy, trzymaj się od niej z daleka, bo inaczej czeka ją taki sam los.

- A może chodziło im o Lisę?

- Bardzo mało osób wie o jej istnieniu. Poza tym czemu miałbym się trzymać z daleka od córki? Kto odniósłby z tego jakikolwiek pożytek? Przecież Lisa nie ma żadnego majątku...

- No tak, nikt nie skorzystałby na jej śmierci. Czyli celem jestem ja... Jakie to straszne, że ktoś chce mnie zabić dla pieniędzy.

- To podłość! - wybuchnęła Emily. - Ten człowiek nie ma wstydu ni sumienia! Nie patrz tak na mnie, Amelio. Jestem pewna, że za tym ohydny spiskiem stoi sir Michael. Bo kto inny?

- Nie wiem... choć ciężko mi dopuścić myśl, że mój brat upadł tak nisko.

- Bo zawsze starasz się dobrze myśleć o ludziach - powiedział Gerard, gdy powóz zaczął zwalniać. - Wybacz mi, Amelio, że w ogóle pozwoliłem temu złoczyńcy zbliżyć się do ciebie na odległość strzału. Obiecuję, że to się już nie powtórzy. - Ledwie pojazd się zatrzymał, Gerard wyskoczył na zewnątrz, pomógł Amelii wysiąść i szybko wprowadził ją do domu, osłaniając sobą. A gdy się znaleźli w oświetlonym holu i zobaczył, jaka jest blada, objął ją na moment i mocno przytulił.

Choć była bliska płaczu, zdołała się opanować. Musi dzielnie się trzymać, bo Gerard na pewno nie marzy o słabej, mazgajowatej żonie.

- Może wolisz iść od razu na górę? - Puścił ją, gdy dobiegły ich głosy nadchodzących gości.

- Tak. Wolałabym nie rozmawiać teraz z nikim o tym, co się wydarzyło. Przepraszam, ale opuszczę cię. Zobaczymy się rano.

Rozdrażniona i bliska wybuchu, niemal wbiegła na górę. Emily ruszyła w ślad za nią, lecz gdy chciała wejść do jej pokoju, odprawiła ją, mówiąc:

- Wybacz, ale chcę zostać sama.

- Tak, oczywiście...

Emily wyglądała na dotkniętą, ale Amelia była zbyt roztrzęsiona, by się tym przejąć. Już samo to, że ktoś do niej strzelał, było straszne, ale jeszcze straszniejsza była świadomość, że mógł stać za tym jej rodzony brat. Amelia wycierpiała wiele przykrości

zarówno od Michaela, jak i od jego żony, ale by miał posunąć się aż do morderstwa... Nie, to wprost nie mieściło jej się w głowie.

Zdjęła czepek i szal, i zaczęła się rozbierać, zadowolona, że nie kazała pokojówce czekać, aż wróci z kościoła. W jej myślach panował tak potworny zamęt, że nie byłaby w stanie z nikim rozmawiać.

Amelia spała niezbyt dobrze i obudziła się na długo przed tym, jak pokojówki przyniosły jej śniadanie do pokoju. Czowała się jednak trochę lepiej, więc poprosiła, by nakryły w saloniku. Gdy weszła tam w nowym koronkowym peniuarze, przyjaciółka już na nią czekała.

- Dzień dobry, kochana Emily. Wesołych świąt!

- Dziękuję i nawzajem, Amelio. Mam nadzieję, że spodoba ci się mój prezent. To drobiazg, ale wybierałam go z sercem.

- Na pewno mi się spodoba. Też mam coś dla ciebie. - Wręczyła jej elegancki pakiecik.

Emily rozwinęła go i wydała okrzyk radości. W środku była wieczorowa sakiewka z delikatnych złotych kółek, zamykająca się na zatrzask wysadzany brylancikami. Był to bardzo kosztowny prezent, świadczący o szacunku, jakim Amelia darzyła swoją damę do towarzystwa.

- Jaka piękna... jesteś dla mnie taka szczodra, Amelio... - Na rzęsach Emily zalśniły łzy. - Nie mogę uwierzyć, że ktoś chciał cię... - Urwała, ocierając oczy. - Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Gdyby nie refleks hrabiego, mogłoby cię tu nie być...

- Nie pozwól, aby ten głupi incydent wpędzał cię w takie przygnębienie. To się już nie powtórzy - powiedziała Amelia, otwierając paczuszkę. Na widok pięknej apaszki uściskała przyjaciółkę. - Widziałyśmy ją w salonie mody i zorientowałaś się, jak bardzo mi się spodobała. To miłe, że pamiętałaś.

- Kupiłam ją zaraz następnego dnia - rzekła Emily, sięgając po grzanek z miodem. - Lady Pendleton ofiarowała mi prześliczną buteleczkę perfum ze srebrnym korkiem... ale ta sakiewka to najpiękniejsza rzecz, jaką miałam w życiu.

- Cieszę się, że ci się podoba. Czy pan Sinclair dał ci jakiś prezent?

- Nie, ale myślę, że ma coś dla mnie. Podejrzewam, że pierścionek... - Urwała, bawiąc się grzanką. - Mam dla niego wizytownik wykonany z rogu i kości słoniowej, pozłacany w środku, ale jestem jeszcze niezdecydowana, czy mu go dać, czy nie.

- Emily, uważam że absolutnie powinniście wymienić gwiazdkowe prezenty z panem Sinclairem. Przecież to bliski przyjaciel, też mam coś dla niego. Możesz równocześnie wręczyć mu i mój prezent, jeżeli dzięki temu poczujesz się mniej skrupowana.

- To dobry pomysł... Mogę zapytać, co kupiłaś dla pana Sinclaira?

- Brylantową spinkę - odparła Amelia. - Myślę, że będzie zadowolony.

- Och, na pewno się ucieszy! - Rozradowana Emily klasnęła w rękę.

- Bardzo lubię tego dżentelmena - wyznała Amelia z uśmiechem. - I mam nadzieję, że wszystko się między wami ułoży.

Delikatny rumieniec zabarwił policzki Emily.

- Wiem, że nie jestem obojętna panu Sinclairowi... czy jednak zaakceptuje moją hańbę...

- Dostyc tego, Emily! Hańbą okrył się ten, kto cię zniewolił. Nie chcę więcej widzieć, jak opuszczasz głowę. Pragnę też cię poprosić, abyś wraz z Lisą była drużną na moim ślubie. Natomiast Susannah i Helene będą starościami na weselu.

- To dla mnie zaszczyt - powiedziała wzruszona Emily. - Pan Sinclair pytał mnie, czy jak zwykle zajrzę rano do pokoju dziecinnego, a ja mu powiedziałam, że tak. Mam prezent dla synka Susannah, a także mały pierścionek, który nosiłam jako dziecko. Zamierzam go dać Lisie.

- Ach, kochanie, jak miło, że o tym pomyślałaś. Ja kupiłam dla Lisy lalkę... na wypadek gdyby została tu z ojcem na święta. Mogłabym pójść z tobą do dzieci, o ile poczekasz, aż się ubiorę.

- Będzie mi bardzo miło. Zazwyczaj po wizycie u dzieci szłam na spacer, ale dziś rano spadł śnieg. Nie ma go aż tyle, by nie można było chodzić, ale... - Urwała gwałtownie.

- Rozumiem. - Amelia zmarszczyła czoło. - Też będę uważała ze spacerami, dopóki Gerard nie sprowadzi swoich ludzi. Może lepiej w ogóle nie wychodzić z domu, przynajmniej na razie, a winę zrzućmy na złą pogodę.

- Rozumiem, że zależy ci na tym, by jak najmniej osób wiedziało o tym nocnym incydencie, ale wszyscy i tak już o tym mówią, jeżeli nawet nie otwarcie, to po cichu.

- Cóż, tak zawsze się dzieje, nic nie powstrzyma plotek. - Amelia westchnęła. - Powiemy im, że złodziej zaczął się w pobliżu kościoła i chciał nas obrabować. Powinni w to uwierzyć. Przepraszam na chwilę, ale muszę się ubrać.

- Nie śpiesz się. Mam jeszcze coś do zrobienia. Poza tym nie otworzyłaś wszystkich listów.

- Dostałam ich bardzo dużo, ale przejrzę kilka, nim zacznę się ubierać - powiedziała Amelia, spoglądając z zadowoleniem na stos kopert.

Pisanie listów do przyjaciół było jednym z jej ulubionych zajęć. Dzięki temu utrzymywała kontakty z osobami, których nie miała okazji często widywać. Tego ranka, wśród świeżo otrzymanej korespondencji, znalazła list od pewnej młodej kobiety, która, podobnie jak Amelia, przez wiele lat zmuszona była żyć na łasce rodziny, nie mając, co gorsza, żadnych szans na zamążpójście. Amelia darzyła ją sympatią i szczerze jej współczuła.

Oczywiście zamierzała jej pomóc. Pomyślała przy tym, że lubiąca dzieci Marguerite mogłaby zająć się Lisą, skoro odprawiono dotychczasową opiekunkę.

Napisała długą, przyjazną odpowiedź, zapieczętowała kopertę i spojrzawszy na zegar, uświadomiła sobie, że już czas na wizytę w pokoju dzieciennym. Lisa z pewnością jest po śniadaniu i czeka niecierpliwie na obiecane prezenty.

Amelia przyjemnie spędziła pół godziny, bawiąc się z Lisą, która dostała kilka prezentów, w tym ładną lalkę od swojego papy. Dziewczynka była zachwycona, że będzie miała aż dwie lalki, i że ta od Amelii ma kręcone włosy.

- Wygląda zupełnie jak ja - stwierdziła z dumą. - Dziękuję, panno Royston.

- Możesz mówić do mnie po imieniu. Zostaniemy przyjaciółkami, Liso.

- Papa mówi, że masz być moją mamą. - Dziewczynka spojrzała na nią z przejęciem. - Będziesz z nami mieszkała, Melio?

- Tak, zamieszkałam z tobą i twoim papą. Dlatego bardzo mi zależy, żebyśmy się zaprzyjaźniły, kochanie. Będę patrzeć, jak rośniesz, kupować ci sukienki i uczyć, jak być

młodą damą. Oczywiście weźmiemy ci guwernantkę, ale dobrą i miłą, i już ja dopilnuję, aby twoja edukacja obejmowała również gry i zabawy, a nie tylko same nudy.

Dziewczynka rozpromieniła się, a potem nagle przygasła.

- Będiesz mnie kochać, Melio? - zapytała po chwili nieśmiało.

- Już cię kocham. - Uściskała ją i ucałowała. - Jesteś moim prawdziwym szczęściem, Liso. A wiesz, że może kiedyś będziesz miała rodzeństwo? Braciszka albo siostrzyczkę...

- Bardzo bym chciała, ale... Papa nie odeśle mnie po waszym ślubie, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie! Skąd ci to przyszło do głowy?!

- Niania mówiła, że tak będzie, jeżeli nie będę robić wszystkiego, co mi każe.

- Twoja niania została zwolniona. Wybiorę ci inną opiekunkę, i zadbam o to, by była to miła dla ciebie osoba.

- Kocham cię, Melio. - Lisa wdrapała się jej na kolana i objęła za szyję. - Och, ale niania jeszcze nie wyjechała. Widziałam ją przez okno, w ogrodzie, rozmawiała z jakimś panem. Już wcześniej ją z nim widziałam, ale powiedziała, że mnie zbije, jak powtórzę papie.

- To bardzo brzydko z jej strony, że ci groziła. - Amelia z trudem stłumiła wzburzenie. - Twój papa ją odprawił. Jeżeli jeszcze nie opuściła tego domu, zrobi to w ciągu paru godzin. Papa uznał, że to będzie nie w porządku, gdyby kazał niani wyjeżdżać w same święta, ale nie wolno jej już się do ciebie zbliżać - powiedziała, głaszcząc małą po głowie. - Poza tym jeżeli ktoś ci grozi, straszy albo cię niepokoi, musisz od razu powiedzieć o tym mnie albo papie. To bardzo ważne. Obiecuj, dobrze, kochanie?

- Dobrze, ale będę mówić tobie, Melio, bo papa pomyślałaby, że opowiadam bajki. - Na widok dzieci wbiegających do pokoju dziewczynka zsunęła jej się z kolan.

- Pójdę już, przepraszam, że zajęłam ci tyle czasu, Melio. Niania mówiła, że mamy spędzają tylko kilka minut z dziećmi, bo są zbyt zajęte, żeby tracić czas.

Amelia stłumiła westchnienie. Co za szczęście, że Gerard zwolnił tę okropną kobietę!

- Jak już zamieszkamy razem, będziemy we troje spędzali sporo czasu, w każdym razie kiedy twój papa nie będzie zajęty. Dżentelmeni mają mnóstwo poważnych obo-

wiązków, ale obiecuję, że będziemy często we dwie chodzić na spacer, a papa nauczy cię jeździć na kucyku.

- Na kucyku? - Lisie zaświeciły się oczy. - Naprawdę? Sam mnie będzie uczył?

- Tak, jak tylko uzna, że jesteś gotowa. - Amelia pocałowała ją w policzek. - Muszę już iść, kochanie, ale poproszę twojego papę, żeby nas zabrał po obiedzie na przejażdżkę powozem.

Gdy wyściskana serdecznie przez Lisę schodziła na dół, by dołączyć do reszty gości, nie wiedziała, że para nienawistnych oczu obserwuje ją z galerii na piętrze.

Wycofując się do swego pokoju, który miała opuścić tego przedpołudnia, Alice Horton, zwolniona niania Lisy, uśmiechała się mściwie. Ta przekłeta Royston nie wie jeszcze, że sama się doigrała. Użyła swoich wpływów, żeby ją, zasłużoną wychowawczynię, wyrzucić z posady, ale niech sobie nie wyobraża, że się zainstaluje u boku hrabiego Ravensheada jako jego żona. Poczyniono już pewne plany, żeby nie dopuścić do tego małżeństwa.

Kiedy ten człowiek zwrócił się do Alice po raz pierwszy, nie była zbyt skłonna udzielić mu informacji o swoim pracodawcy i jego córce, lecz teraz nie miała już żadnych skrupułów. Dostała niezłą sumkę za wiadomość, że Lisa już wkrótce będzie miała nową mamę, nie musi zatem gorączkowo rozglądać się za nową posadą. A jeżeli zdecyduje się zrobić to, o co ją prosił, może już nigdy więcej nie będzie musiała pracować...

Kiedy Amelia weszła do salonu, Gerard stał przy oknie i rozmawiał z Harrym, ale gdy tylko ją ujrzał, podszedł do niej, by się przywitać.

- Byłaś u Lisy? Toby mówił, że widział, jak szłyście tam z panną Barton.

- Zaniiosłam gwiazdkowy prezent. Kupiłam twojej córce lalkę, nie ja jedyna zresztą, ale moja najbardziej jej się spodobała, bo ma takie same kręcone włosy jak Lisa. - Amelia dotknęła swoich ciemnych loków. - Przyznam ci się, Gerardzie, że przyrzekłam Lisie coś w naszym imieniu. Powiedziałam jej, że po ślubie będę ją zabierała na spacer, a ty nauczysz ją jeździć na kucyku. Ufam, że nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie - zapewnił ją z uśmiechem. - Zresztą jakiś czas temu postanowiłem, że kupię jej kucyka, i na pewno sam będę ją uczył. A ponieważ przez większą część roku będziemy mieszkać na wsi, nie zabraknie nam czasu na takie przyjemności.

Rób, co uważasz za słuszne, Amelio. Jestem pewny, że twoje decyzje przyniosą i Lisie, i nam wszystkim wiele pożytku.

- Zrobię, co w mojej mocy, aby zastąpić jej zmarłą matkę.

- Będiesz najlepszą mamą, jaką mogłaby mieć... i jedyną, jaką będzie znała.

- Cieszę się, że zgadzamy się w tych kwestiach, Gerardzie. Są domy, w których dzieci, dopóki nie dorosną, skazuje się na towarzystwo nianiek i izoluje od rodziców i starszych krewnych, ale ja jestem temu przeciwna. Oczywiście uważam, że dzieci muszą się uczyć i nie powinny przeszkadzać gościom, ale jeśli chodzi o najbliższą rodzinę, mam nadzieję, że będziemy spędzać ze sobą dużo czasu.

Gerard spojrział na nią z uznaniem.

- Wciąż mnie zachwycasz, Amelio. Wiedziałem, że będziesz dobra dla mojej córki, ale ty proponujesz znacznie więcej, niż mogłem mieć nadzieję.

- Kocham ją. To urocze dziecko. - Poczula ukłucie w sercu. Gerard tak bardzo pragnął matki dla Lisy. Czy tylko dlatego ją wybrał? A może jednak tliły się w nim resztki dawnego uczucia?

- Tak, to prawda. - Sięgnął do kieszeni i wyjął małe pudełko. - To mój prezent dla ciebie, Amelio. Oczywiście każę także przysłać rodzinną biżuterię i wybierzesz sobie to wszystko, co ci się spodoba, ale uprzedzam, że trzeba będzie ją przerobić, bo jest zbyt ciężka i staromodna. Natomiast mam nadzieję, że ten klejnocik ucieszy twoje oczy.

Amelia rozwinęła papier, otworzyła pudełko i wyjęła kunsztowną brylantową broszkę w kształcie bukietu kwiatów.

- Jaka piękna - powiedziała z zachwytem, przypinając ją do sukni. - Ja też mam dla coś ciebie... taki drobiazg... - Drobiazg był wprawdzie bardzo elegancki i kosztowny, jednak gdyby wiedziała, że te święta spędzą już jako narzeczeni, oczywiście wybrałaby coś innego.

Gerard rozpakował paczuszkę. W środku był posrebrzany wizytownik.

- To więcej niż drobiazg, Amelio. Dziękuję.

- Miło mi... - Przeszła do następnej sprawy: - Po nocnym zdarzeniu Emily nie chce nigdzie chodzić sama, ja też uważam, że trzeba zachować ostrożność. Może zatem moglibyśmy po południu wziąć Lisę na przejażdżkę twoim powozem?

- Nie widzę żadnych przeszkód. A co do nocnego incydentu, to wydano już specjalne dyspozycje. Każda obca osoba, która się pojawi na terenie posiadłości, zostanie zatrzymana i przesłuchana.

Amelia przypomniła sobie informację Lisy o niańce, która rozmawiała w ogrodzie z jakimś widzianym już wcześniej mężczyzną. To jednak żaden powód, by go podejrzewać o powiązania ze strzałem pod kościołem. Być może, nawet jeśli zabrzmiałoby to nieprawdopodobnie, Alice Horton miała wielbiciela? W końcu każda potwora znajdzie swego amatora.

Na widok zbliżającej się pani domu uśmiechnęła się i w jednej chwili zapomniała o tamtej sprawie. Susannah miała na szyi wisiołek z pereł i brylantów, który od niej dostała, i następnych kilka minut minęło im na zachwytach i podziękowaniach. A kiedy znów mogła porozmawiać w cztery oczy z Gerardem, nikt już nie pamiętał o niańce.

Było to bardzo przyjemne przedpołudnie. Amelia wymieniła prezenty z przyjaciółmi, a później miała okazję posłuchać muzyki. Po lunchu Gerard kazał podstawić powóz i sprowadzić Lisę na dół. Dziewczynka miała na sobie elegancki różowy płaszcz i czapkę oraz futrzaną mufkę, którą dostała od ojca. Podniecona perspektywą przejażdżki, paplała radośnie o gwiazdkowych prezentach.

- Dostałam aż cztery lalki, papo! Mam szczęście, prawda? - powiedziała, kiedy wsiadali do powozu. - Tylko szkoda, że jedna była zepsuta.

- Zepsuta lalka? - Gerard od razu stał się czujny. - Kto ci ją dał, kochanie?

- Nie wiem. Spytałam Mary, tę opiekunkę, ale mi powiedziała, że nie było żadnej kartki.

- Później obejrzę twoją lalkę. Może da się ją naprawić. - Ponad głową małej wymienił z Amelią niespokojne spojrzenia.

- Nic nie szkodzi - zbagatelizowała Lisa. - Mam tyle innych ładnych rzeczy. Nie myślałam, że dostanę tak dużo prezentów. Niania narzekała, że to nieprzyzwoitość, by małe dziecko miało tyle drogich ubrań. Co to znaczy nieprzyzwoitość, papo?

- To znaczy, że cię rozpieszczam - odparł Gerard, zaciskając usta.

- Mnie też ktoś tu rozpieszcza. - Amelia uśmiechnęła się do Lisy. Miała na sobie czarną aksamitną pelerynę podbitą futrem i apaszkę od Emily, do której przypięła brosz-

kę. - Zobacz, jaką śliczną apaszkę dostałam. A broszka jest po prostu przecudna, nie uważasz? Widzisz, jak drżą kwiatuszki z brylancikami, kiedy się poruszam?

- Papa ci ją dał? - zapytała Lisa, a gdy Amelia skinęła głową, dodała: - Jest piękna, ale ty jesteś jeszcze piękniejsza, Melio. Papa będzie szczęśliwy, kiedy zostaniesz jego żoną.

- Wszyscy będziemy szczęśliwi, że mamy siebie - powiedziała Amelia. - Liso, widzisz te sarny? Wydaje mi się, że podeszły pod dom bliżej niż zazwyczaj. Susannah każe je dokarmiać w zimie.

- Są takie śliczne! - Lisa przycisnęła buzię do okna powozu. - Papo, czy w Ravenshead też mamy sarenki?

- Raczej nie, ale jeśli chcesz, możemy sprowadzić kilka do parku.

Wydawał się już mniej spięty i uśmiechnął się do Amelii, kiedy ich oczy się spotkały. Pokiwała głową ze zrozumieniem. Zepsuta lalka miała prawo go zaniepokoić, choć mógł to po prostu być zwykły zbieg okoliczności.

- Tak, papo, strasznie bym chciała! I czy mogłabym też mieć pieska?

- Coś jeszcze, młoda damo?

- Nie, nic. - Lisa wsunęła rączkę w dłoń Amelii. - Naprawdę, bo Melia powiedziała, że mam ci mówić, gdybym czegoś chciała.

- Tak ci powiedziała? - Gerard roześmiał się. - Zaczynam się obawiać, że dwie piękne młode damy będą mnie wodzić na pasku.

Sprawiał wrażenie, jakby na moment zapomniał o troskach. Amelia przyglądała mu się przez chwilę, a potem spojrzała przez okno. Blade słońce wyzierało zza mgły, oświetlając oszronione drzewa. Pomyślała, że gdzieś tam, w oddali mogą gromadzić się chmury, ale tego dnia spróbuje o nich zapomnieć i będzie się cieszyć życiem.

Po powrocie Amelia odprowadziła Lisę do pokoju dziecinnego i przekazała z powrotem pod opiekę Mary.

- Dziękuję za wspaniałe popołudnie, Melio. - Lisa uściskała ją na pożegnanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, kochanie - zapewniła ją z uśmiechem, po czym wyszła.

Przyszłość rysowała jej się w znacznie jaśniejszych barwach. Dzieci to przecież błogosławieństwo, a Lisa już sprawiła, że dręczące ją tęsknoty zelżały. Będzie matką córki Gerarda, a z czasem doczekają się własnego potomstwa.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę swoich apartamentów. Było już późno i powinna się pośpieszyć, by zmienić suknię i o czasie zjawić się na kolacji. Ledwie weszła do saloniku, powitały ją rozpaczliwe szlochy. Na widok tonącej we łzach Emily zamarła w pół kroku, a potem podbiegła do przyjaciółki i spytała:

- Kochanie, co się stało?

- Och... Amelio... - Emily spojrzała na nią z rozpaczą. - Przepraszam, nie chciałam ci się pokazywać w takim stanie... - Drżącą dłonią otarła mokre policzki. - Powinnam była pójść do swojego pokoju.

- Co ty mówisz! Nigdy nie ukrywaj przede mną swoich łez. Możesz mi powiedzieć, co się stało?

- Odbyłam rozmowę z panem Sinclairem, kiedy wymienialiśmy prezenty. - Emily znów zaszlochała. - Dał mi piękny pierścionek z szafirem i brylantami, a ja... ja mu powiedziałam, że nie mogę go poślubić. Oczywiście zapytał, dlaczego, więc mu wyjawiałam, że urodziłam dziecko... - Zwiesiła głowę i znów zalała się łzami.

- Emily... - Amelia przyklękła obok niej i ujęła ją za rękę. - Kochanie, powiedziałaś mi, że zostałam zgwałcona? - Gdy Emily pokręciła przecząco głową, dodała: - Trzeba mu to było powiedzieć wprost, żeby zrozumiał, w czym rzecz.

- Nie dał mi żadnych szans - wyszeptała Emily. - Oniemiał, jakbym wylała na niego wiadro zimnej wody, a potem się cofnął. Miał taki wyraz twarzy... jakby nie mógł nawet na mnie patrzeć. Myślę, że w jednej chwili mnie znienawidził.

- Trudno mu się dziwić, że przeżył szok, nie znając okoliczności tej smutnej sprawy. Pan Sinclair to prawdziwy dżentelmen i jestem pewna, że nie chciał cię obrazić.

- Błagałam go, żeby tak na mnie nie patrzył, prosiłam, by pozwolił sobie wszystko wytłumaczyć, ale odpowiedział, że potrzebuje czasu... i odszedł. Wszystko skończone, Amelio. On mną się brzydzi.

- Był zaszokowany, to pewne. Kiedy otrząśnie się z tego... - Amelia urwała, szukając właściwego słowa.

- Rozczarowania? - Emily uniosła głowę. - To takie łagodne określenie, a ja ujrzałam w oczach pana Sinclaira najpierw osłupienie, a potem odrazę. Cóż, nie mógł znieść myśli, że byłam z innym mężczyzną.

- Rozumiem jego przygnębienie. Musiał uznać, że miałaś kochanka, a dziecko jest owocem występnej miłości. To dla niego wielki cios, bo stawiał cię na piedestale, Emily. Musisz mu wyznać całą prawdę.

- Wtedy nie mogłam, a teraz nie śmiałabym mu spojrzeć w oczy.

- Kochanie, rozumiem, że to jest ponad twoje siły, ale przecież ja mogę z nim porozmawiać. Opowiem, jak źle potraktowała cię twoja rodzina. Żywię głęboką nadzieję, że jeśli będzie miał trochę czasu, aby wszystko przemyśleć, wróci i ponowi oświadczenia.

- Nie, proszę cię, nie rób tego! - Emily znów się rozszlochała. - Nie mogę teraz o tym mówić. - Poderwała się, popędziła do swojego pokoju i zamknęła się na klucz.

Amelia podeszła do drzwi i zapukała.

- Emily, proszę, musisz mnie wysłuchać. Nie pozwól, żeby ci to złamało życie. Jeżeli pan Sinclair naprawdę cię kocha, wszystko dobrze się skończy. Nie odrzucaj zbyt szybko szansy na szczęście.

- Amelio, nie proś mnie, żebym się z nim zobaczyła. Nie zejdem dziś na kolację.

- Emily...

Zza drzwi znów rozległ się rozpaczliwy szloch. Amelia westchnęła bezradnie. W holu na dole zegar wydzwonił godzinę. Nagle do niej dotarło, że spóźni się na kolację, i że musi się szybko przebrać. A Emily i tak pewnie zaśnie znużona płaczem, a rano spokojnie porozmawiają o wszystkim. W tym czasie spróbuje pomówić z panem Sinclairem, i jeżeli będzie się nadal zachowywał tak, jak mówiła Emily, to znaczy, że nie jest dżentelmenem, za jakiego go uważała.

Gdy Amelia wreszcie zeszła do salonu, przeprosiła towarzystwo, wzięła Susannah na stronę i powiadomiła ją, że Emily z powodu migreny nie dołączy do nich tego wieczoru.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego - z troską powiedziała Susannah. - Może by-łoby dobrze posłać po doktora?

- Nie, nie ma takiej potrzeby - zapewniła Amelia. - Przykro mi tylko, jeśli nieobecność Emily popsuje porządek przy stole.

- Tak się akurat składa, że nie tylko jej nie będzie. Toby Sinclair dostał pilną wiadomość z domu i wyjechał dwie godziny temu. Jego rodzice nie zjawili się u nas w tym roku, bo tuż przed świętami pan Sinclair źle się poczuł. Nie mogło to być nic poważnego, skoro sam nalegał, żeby syn do nas dołączył, widocznie jednak mu się pogorszyło, bo Toby był bardzo przygnębiony, kiedy się żegnał, a to przecież zupełnie do niego niepodobne.

- Przykro mi to słyszeć. Choroba w rodzinie to powód do wielkiego niepokoju, miejmy jednak nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży - powiedziała Amelia, nie mogła się jednak oprzeć refleksji, że przed wyjazdem, całkiem zrozumiałym w tych okolicznościach, Toby Sinclair powinien był zostawić Emily jakąś wiadomość.

Gerard podsunął jej ramię i ruszyli do jadalni.

- Jesteś strasznie poważna, Amelio. Czy coś się stało?

- Emily ma migrenę. Myślę jednak, że do rana poczuje się lepiej.

- Przykro mi z powodu jej niedomagania. Czy dobrze rozumiem, że skoro Toby wyjechał w takim pośpiechu, te dwie sprawy mają ze sobą jakiś związek?

- Być może, ale nic więcej nie mogę ci powiedzieć, bo jestem zobligowana do zachowania tajemnicy.

- Skoro tak, to już ani słowa o tym. Posłuchaj, rozmawiałem z opiekunką Lisy i obejrzałem lalkę. Nie jest taka sama jak ta, którą mi przysłano. Może więc to czysty przypadek? Mam nadzieję, bo jeśli nie, to sprawa staje się jeszcze poważniejsza. Jeżeli okaże się, że moja córka jest w niebezpieczeństwie, odeślę ją do Francji.

- Musimy o tym porozmawiać. Znam już twoje zdanie, lecz sama nie mam pewności w tym względzie. Tyle że nie będziemy o tym mówić tej nocy. Do rana już niedaleko, ale powiem ci tylko jedno, że nie wierzę w twoje teorie dotyczące mojego brata.

- Obyś miała rację. Dobrze, jutro porozmawiamy. Musimy przecież poczynić pewne ustalenia na przyszłość i zastanowić się nad tą drugą sprawą.

- Tak, rano będzie dosyć czasu. Niech nic nie zmąci tego wieczoru. Czeka nas świetna zabawa, bo Susannah włożyła w przygotowania mnóstwo pracy.

Rozdział czwarty

Podczas kolacji Gerard kątem oka obserwował siedzącą obok niego Amelię. Była nie tylko urocza, ale miała w sobie ową cudowną łagodność, której brakowało tak wielu damom. Wciąż nie potrafił powiedzieć, dlaczego przyjęła jego oświadczyzny. Czy tylko dlatego, że chciała wyjść za mąż i czuła się dobrze w jego towarzystwie? Przyjaźnili się przecież i mieli wiele wspólnych zainteresowań. Nie wątpił, że małżeństwo z Amelią tak czy inaczej byłoby wygodne i przyjemne, nie szukał jednak osoby, która by mu stawiała pantofle przy kominku i pilnowała, by serwowano mu jego ulubione potrawy. Chciał znacznie więcej! Marzyła mu się kobieta, która przyjmie go w łóżku z otwartymi ramionami.

Zapach perfum Amelii upajał go, jej widok, sposób, w jaki odwracała głowę, głos, uśmiech - wszystko to rozpalało jego zmysły. Chciał ją porwać w ramiona i kochać się z nią jeszcze tej nocy, nie był jednak pewny, czy taki wybuch namiętności byłby przez nią mile widziany.

Sądząc po jej zachowaniu, trudno było cokolwiek powiedzieć w tej kwestii. Odnosił wrażenie, że choć z początku życzliwie przyjęła jego oświadczyzny, to później zaczęła go traktować z niezrozumiałą dla niego rezerwą.

Incydent pod kościołem był, oczywiście, deprymujący, nie sądził jednak, by Amelia dała się tak łatwo zniechęcić. Sama mu przecież powiedziała, że nie widzi najmniejszego powodu, aby cofać dane słowo lub przekładać ślub.

A może to jego wina, że stała się bardziej ostrożna? Nadal nie miał odwagi zdradzić jej całej prawdy o śmierci swojej żony. Jakże teraz wyrzucał sobie brutalne zachowanie tamtej nocy, kiedy Lisette przysłała mu się oddać. Poślubił ją bez zastanowienia, w odruchu honoru... i litości... Poza tym wciąż był wtedy wściekły na Amelię i jej brata. Gdy później zdał sobie sprawę, że Amelia jest jedyną miłością jego życia, gorzko żałował, iż pod wpływem impulsu poślubił kobietę, której ani nie znał, ani nie kochał. Czuł się winny jej śmierci, ale może nie chodziło tylko o nią? Może w ogóle nie potrafi uszczęśliwić żadnej kobiety?

Jego rozmyślania przerwała Amelia, mówiąc z uśmiechem:

- Susannah jest wspaniałą panią domu, nie uważasz? Pamiętam, jak była zdenerwowana, kiedy bawiliśmy tu po raz pierwszy. Nie do wiary, jak bardzo dojrzała i okrzepła.

- Harry z pewnością jest bardzo szczęśliwy, poza swoją rodziną świata nie widzi - odparł Gerard, zastanawiając się, czy Amelia zauważyła, jaki jest podniecony. To niedopuszczalne, by dżentelmen nie potrafił zapanować nad sobą. Zaraz jednak wydało mu się to nieważne wobec innego problemu. Od czasu incydentu po pastercie Gerarda gnębiło pytanie, czy swoimi oświadczeniami nie naraził Amelii na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Gdy spytał o to Harry'ego, ten odparł prosto z mostu:

- Nie mam pojęcia, kim jest twój wróg, Gerardzie, ale jeszcze gorzej byłoby mu ulec, ustąpić pola. Jeżeli to Royston, Amelia byłaby zdana na jego łaskę, a jeżeli to ktoś inny... Jeśli tego nie rozwiążesz, nigdy nie będzie bezpieczna, podobnie zresztą jak ty, drogi przyjacielu.

- To znaczy, że działamy po omacku. Długo nad tym myślałem, ale nie przypominam sobie nikogo, kto aż tak mógłby mnie nienawidzić, że gotów jest zamordować Amelię tylko po to, by mnie unieszczęśliwić. Nadal uważam, że stoi za tym Royston i spodziewany spadek po siostrze.

- Może i masz rację, ale Susannah twierdzi, że Amelia nie jest przekonana o winie brata. Moja żona wie, co mówi, przecież są bliskimi przyjaciółkami i zwierzają się sobie.

- Nie znam osoby, która łatwo pogodziłaby się z czymś takim - powiedział Gerard.
- Nie próbowałem narzucać Amelii swego zdania, ale w tym momencie nie widzę innych podejrzanych.

Gerard odczuł dotkliwie brak Amelii, kiedy damy wycofały się do salonu na herbatę. Najchętniej poszedłby za nią, jednak grzeczność wymagała, by wypił z dżentelmenami szklaneczkę porto i porozmawiał o sporcie i polityce. Gdy panowie ruszyli wreszcie do salonu, Harry zaprosił go na bilard. Cóż miał zrobić? Zgodził się, by nie urazić przyjaciela.

Grali już przez godzinę czy dwie, gdy poczuł znajomy zapach perfum. Odwrócił się i zobaczył Amelię, która przyglądała im się w zadumie. Wokół czego krążyły jej myśli? Dlaczego miała takie smutne oczy? Czy żałowała, że nie mogą być sami? Czy ma-

rzyła o tym, by znaleźć się w jego ramionach? Nagle uświadomił sobie, że mimo wieloletniej przyjaźni tak naprawdę jej nie znał. Wciąż pamiętał tamtą roznamiętnioną młodą pannę, która chciała mu się oddać pewnej niezapomnianej nocy, ale kim była ta piękna, spokojna, finezyjna dama, ukrywająca się za maską chłodnej rezerwy? Co czuła na myśl o ich ślubie? Bardzo chciałby to wiedzieć.

- Przyszłam powiedzieć dobranoc - zwróciła się do niego. - Muszę sprawdzić, jak się czuje Emily. Porozmawiamy jutro rano... może o dziewiątej?

- O ile to dla ciebie nie za wcześnie. - Gerard podszedł do niej i ująwszy ją za rękę, ucałował wnętrze dłoni. - Śpij dobrze, najdroższa. Mam nadzieję, że pannie Barton już się poprawiło.

Amelia pożegnała ich z uśmiechem i szybko wyszła z pokoju.

- Wiesz, że z radością zostanę drużbą na twoim ślubie - powiedział Harry, uderzając bilę tak zręcznie, że wtoczyła się do luzu. - Ustaliliście już datę?

- Miesiąc po balu w Coleridge - odparł Gerard. - Mam nadzieję, że postępuję słusznie, bo nie chciałbym narażać Amelii...

- Jeżeli masz jakiegoś wroga, znajdziemy go - oznajmił z mocą Harry. - Kazałem służbie uważać na obcych, choć wątpię, by sprawca odważył się już teraz zaatakować powtórnie. Zresztą może ten strzał to było tylko ostrzeżenie?

- Nie mamy nawet pewności, czy celem była Amelia... - Gerard zachnął się, bo nie trafił w bilę, ale nie był w stanie skupić się na grze. Myśli miał zajęte Amelią.

Tak bardzo jej pragnął. Byłby głupcem, gdyby z niej zrezygnował z powodu jakichś gróźb.

Amelia z westchnieniem wkroczyła do saloniku, który dzieliły z Emily. Żałowała, że nie mogła spędzić więcej czasu z Gerardem, było to jednak niemożliwe, gdyż grzeczność nakazywała porozmawiać bodaj przez chwilę z wszystkimi gośćmi.

Na krześle zobaczyła swoją błękitną pelerynę podbitą futrem. Powiedziała Emily, że może ją włożyć następnego ranka, bo zrobiło się zimno, a ona ma nową, czarną, jeszcze grubszą. To dziwne, że Emily, taka porządna z natury, zostawiła pelerynę rzuconą niedbale w salonie. Dziwne też, że pokojówka nie odwiesiła jej do szafy.

Amelia podeszła do drzwi przyjaciółki i cicho zapukała.

- Emily, obudziłaś się? Czy nadal boli cię głowa? Może masz ochotę porozmawiać? - Odpowiedziało jej milczenie, więc sama też zamilkła, żeby nie zbudzić Emily, o ile oczywiście spała.

Wiedziała, że przyjaciółce tak naprawdę dokucza ból serca, a nie głowy, i była zła na Toby'ego Sinclaira, bo miała o nim lepsze mniemanie. Czy naprawdę nie mógł się pogodzić z tym, że Emily urodziła dziecko? Owszem, fakt był sam w sobie szokujący, ale to przecież nie zbrodnia, tym bardziej że Emily została zniewolona. Dlaczego Toby nawet nie zapytał o okoliczności? To rozumiała, że po otrzymaniu wiadomości, iż jego ojcu się pogorszyło, chciał jak najprędzej wrócić do domu, ale mógł przecież zostawić liścik dla Emily. Jednak opuścił ją bez słowa, uciekł jak zawiedziony sztubak. Amelia nigdy by się po nim czegoś takiego nie spodziewała.

Skoro nie mogła pocieszyć przyjaciółki, udała się do swojego pokoju, poprosiła o rozpięcie haftek z tyłu sukni i odprawiła pokojówkę. Usiadła przy toalecie, wzięła szczotkę do włosów i zapatrzyła się w lustro.

Martwiła się o Emily, bo choć mogła jej zapewnić posadę u siebie tak długo, jak to będzie konieczne, nie potrafiła uleczyć jej złamanego serca. Sama także przeżyła miłosny zawód, kiedy Gerard zniknął bez słowa, więc doskonale wiedziała, co odczuwa przyjaciółka, jak bardzo cierpi. Przez wiele lat bolała nad niestałością Gerarda, dopóki nie pojęła, że rozdzielił ich jej chciwy, bezwzględny brat.

Michael, niestety, nie okazał się dobrym bratem. Czasami bała się nawet, że go znienawidzi. Jego ostatni list, pełen bezczelnych pretensji i roszczeń, doprowadził ją do łez. Mimo to wciąż nie mogła uwierzyć, że dla fortuny gotów byłby ją zabić, chociaż skrzywdził ją przed laty, odprawiając Gerarda.

Jej myśli znów zaczęły krążyć wokół mężczyzny, którego nigdy nie przestała kochać. Tego wieczoru wydało się jej, że dostrzegła w nim jakiś rys tamtego namiętnego młodzieńca sprzed lat... jakby tłumione pragnienie... pożądanie, które przejęło ją dreszczem.

Tak bardzo chciała, by jej pragnął i kochał ją równie mocno jak ona jego. Czy jej wiara, że ich małżeństwo może być szczęśliwe, świadczyła o jej głupocie? Nie, zrobi wszystko, aby im się udało! Ukryje swoje uczucia, by Gerard nigdy się nie domyślił, że

go kocha. Będzie miał to, o co mu chodziło, czyli matkę dla dziecka i bardziej życiową partnerkę niż żonę dla siebie. A z czasem może obudzi się w nim dawna namiętność?

Kładąc się do łóżka, Amelia uśmiechała się melancholijnie. Może i jest niemądra, może się ludzi, wydawało jej się jednak, że tego wieczoru dostrzegła w jego oczach gorący błysk...

Tego ranka Amelia spała nieco dłużej niż zazwyczaj. Obudziła się, gdy pokojówka zaczęła rozsuwać kotary. Usiadła więc i zamrugła powiekami, bo jaskrawe światło raziło ją w oczy.

Spojrzała na zegar. Było wpół do dziewiątej.

- Czy znowu padał śnieg, Martho?

- Tak, panno Royston. Teraz już przestał padać, ale w nocy była śnieżycą.

- Co mi przyniosłaś?

- Pomyślałam, że woli panienka zjeść lekki posiłek w łóżku, zamiast schodzić na dół do jadalni. Zwłaszcza że panienka zasnęła...

- Dobrze zrobiłaś, Martho. Tylko proszę jak najszybciej o ciepłą wodę, bo umówiłam się o dziewiątej.

- Powinnam była obudzić panienkę wcześniej, ale spała panienka tak spokojnie...

- Mam jeszcze pół godziny; zdążę, jak się pośpieszę.

- Zaraz przyniosę wodę.

- Aha, Martho, może widziałaś pannę Barton?

- Nie. Weszłam do jej pokoju, żeby zapytać, czy życzy sobie śniadanie do łóżka, ale jej tam nie było. Łóżko było pościelone, ale panna Barton często sama to robi.

- Owszem, bo myśli o innych. - Amelia ułamała kawałek świeżej bułeczki i posmarowała ją masłem, a potem naląła do filiżanki ciemną, lekko gorzką czekoladę, jaką zwykle piła, gdy pozwalała sobie na śniadanie w łóżku. Nieczęsto jej się to zdarzało i żałowała, że nie może poleżeć trochę dłużej, ale nie chciała się spóźnić na spotkanie z Gerardem.

Gdy pokojówka wróciła z dzbankiem gorącej wody, Amelia była już po śniadaniu, więc szybko się umyła i włożyła prostą poranną suknię, którą sama mogła zapiąć. Rozpuszczone włosy zaczesła do tyłu i wpięła po bokach dwa grzebienie. A ponieważ rzad-

ko przeglądała się w lustrze, nie miała pojęcia, że wygląda o wiele młodziej i przypomina tamtą dziewczynę sprzed lat, kiedy to poznali się z Gerardem.

Piękny mahoniowy zegar w holu skończył wybijać dziewiątą, gdy Amelia zeszła na dół. Gerard już tam na nią czekał. Był przystojnym mężczyzną, a w skrojonym modnie płaszczu i lśniących wysokich skórzanych butach prezentował się bardzo elegancko. Na widok Amelii rozpromienił się, a jej na moment zabrakło tchu. Miał fascynujące oczy, które spoglądały na nią z napięciem.

- Przepraszam, jeżeli musiałeś na mnie czekać. Zaspałam, a nie przyszło mi do głowy, by poprosić pokojówkę o zbudzenie. Na ogół wstaję znacznie wcześniej - usprawiedliwiała się.

- W Pendleton wszyscy śpimy dłużej. Powinienem był zaproponować dziesiątą zamiast dziewiątej, ale chciałem mieć pewność, że będziemy sami. Powóz już czeka...

- Nie mieliśmy okazji zbyt długo pobycć sami - powiedziała Amelia, kiedy wychodzili na dwór. - Wciąż myślę o tym, co się stało tamtej nocy przed kościołem.

- Podobnie jak ja. - Wzrok Gerarda spoczął na moment na jej twarzy. - Porozmawiamy w powozie. Nie chcę, żeby nas ktoś usłyszał.

- Tutaj chyba nikt nam źle nie życzy?

- Przyjaciele na pewno nie. - Poprowadził ją do powozu, pomógł wsiąść, podsunął pod nogi rozgrzaną cegłę i narzucił na kolana ciepły pled. - Jest siarczysty mróz, ale mam nadzieję, że będzie ci wygodnie, Amelio.

- Stangret pewnie odczuje ziąb, ale nie będziemy jechać długo.

- Ma grubą kapotę i ciepłą derkę, zapewniam - powiedział Gerard, po czym znów spojrzał na nią z powagą. - Twierdzisz, że tutaj, wśród przyjaciół, jesteśmy bezpieczni, i do pewnego stopnia się z tobą zgadzam, ale służba plotkuje, zdarza się też, że za pieniądze przekazuje informacje, nie zdając sobie sprawy, jak wielkie zło może z tego wyniknąć.

- Pewnie tak się już stało. Ktoś musiał powiedzieć, że widział nas, jak rozmawialiśmy, bo nikt oprócz najbliższych przyjaciół nie wie, że jesteśmy zaręczeni... - Zmarszczyła czoło. - Oczywiście wie Lisa. Kiedy jej powiedziałaś, że chcesz się ze mną ożenić? Przed czy po tym, jak zwolniłeś niańkę?

- Chyba przed... - Gerard spojrział na nią. - Myślisz, że niańka mogła coś usłyszeć i przekazać dalej tę informację?

- Lisa powiedziała mi wczoraj, że niańka nie wyjechała od razu z Pendleton. Zobaczyła ją w ciągu dnia, jak rozmawiała w ogrodzie z jakimś człowiekiem, z którym ją już wcześniej widziała.

- Czemu mi wczoraj o tym nie powiedziałaś?

- Z początku wydawało mi się to nieistotne. Pomyślałam, że to jakiś wielbiciel panny Horton, ale teraz, kiedy wspomniałeś o służbie, uświadomiłam sobie, że z zemsty za zwolnienie z pracy mogła sprzedawać pewne informacje.

- Masz rację. Powinienem był dopilnować, żeby od razu wyjechała.

- Niczego by to nie zmieniło, przecież jako domownik dowiedziała się o nas wszystkich całkiem sporo.

Gerard zaklął cicho, po czym spieszył się bardzo.

- Wybacz, nie powinienem był używać takiego języka w twojej obecności. A jeśli chodzi o tę całą sytuację... Cóż, postąpiłem bardzo nieostrożnie, ale nie przyszło mi do głowy, że służba będzie plotkować z obcymi. Moja wina...

- Jakie to ma znaczenie? Nasi wrogowie i tak się dowiedzą, kiedy ogłosimy zaręczyny.

- Nie wiem, czy postąpiłem właściwie, prosząc cię o rękę - rzekł z posępną miną. - Naraziłem cię na ogromne niebezpieczeństwo, twoje życie...

- Skoro małżeństwo z tobą wiąże się z ryzykiem - weszła mu w słowo - to dobrze, że jestem tego świadoma, prawda? Pomyśl też o tym, że zagrożenie nie zniknie, nawet jeśli odwołamy ślub. - Zmarszczyła czoło. - Gerardzie, musimy rozwikłać tę zagadkę, musimy odkryć, kto jest mi aż tak nieżyczliwy. To bardzo tajemnicza sprawa. Intuicyjnie czuję, że w tej chwili nie wiemy nic, jesteśmy ślepi i głusi.

- Odrzucasz więc możliwość, że to twój brat?

- Nie potrafię się z tym pogodzić. Owszem, Michael ma pretensje o spadek po naszej ciotecznej babce, owszem, próbował mnie zmusić, bym mu przekazała co najmniej połowę. I wiesz, że nawet to rozważałam, ale po tym, jak się zachował... Uznałam też, że muszę uszanować wolę ciotki, która w ogóle nie uwzględniła go w testamencie. Nie

wiem, jakie miała powody, ale jakieś musiały być. - W desperacji potrząsnęła głową. - Może... skoro jesteś przekonany, że to Michael... Nie, nie pozwolę się zastraszyć! - krzyknęła, na moment tracąc zwykłe opanowanie. - Nie dam mu pieniędzy ciotki. Lady Agatha by sobie tego nie życzyła...

- I tak nie zadowoliliby się połową sumy. Jeżeli zlecił morderstwo, to znaczy, że chce zgarnąć wszystko.

- No cóż, to nie dostanie nic - twardo oznajmiła Amelia, unosząc dumnie głowę. - Mam konkretne plany dotyczące tych pieniędzy, chcę też pewne sumy zabezpieczyć na funduszu powierniczym dla dzieci.

- Masz na myśli swój sierociniec?

- Tak, choć to nie wszystko. Pomogłam dwóm młodym pannom znaleźć szczęście, a wiem o jeszcze co najmniej dwóch, które zasługują na wsparcie... - Urwała, gdy Gerard uniósł brwi. - Masz coś przeciwko temu?

- Nie, z radością zaakceptuję każdą twoją decyzję, Amelio. Mówiłem ci już, że nie chcę kontrolować twojego majątku, i w tej sprawie nigdy nie zmienię zdania.

- To będą nasze pieniądze i możesz być pewny, że nie wydam większej sumy bez konsultacji z tobą.

- Nie jestem taki jak twój brat - rzekł sucho. - Nie zamierzam przejąć twojej fortuny.

- Wybacz mi, proszę. Nie złość się, naprawdę nie chciałam cię urazić. - Spojrzała na niego niepewnie.

- Nie jestem zły, ale zabraniam ci myśleć, że żenię się z tobą dla twojego majątku.

- Wcale tak nie myślę - zapewniła szczerze, po czym spytała: - Czy pojedziemy razem do Coleridge?

- Tak, oczywiście. Musisz wiedzieć, że już zorganizowałem ochronę i dla ciebie, i dla Lisy. - Umilkł na moment. - Amelio, jeżeli podtrzymujesz swoją opinię, że się mylę, to oczywiście jeszcze raz głęboko przemyślę wszystkie okoliczności tej sprawy, jednak sir Michael nadal wydaje mi się głównym podejrzanym. Przecież to on by dziedziczył po twojej śmierci.

- Nie przyszło ci do głowy, że tajemniczemu wrogowi może chodzić o coś innego niż tylko o pieniądze? Poza tym może to być kobieta...

- Odrażona kochanka? - Gerard wydawał się rozbawiony. - Nie mam żadnej na swoim sumieniu. Owszem, była jedna dama we Francji, ale rozstaliśmy się w zgodzie jeszcze przed moim pierwszym powrotem do Anglii. A potem już nie miałem nikogo.

- Ach, tak. - Amelia w milczeniu analizowała tę informację. Większość dżentelmenów miała kochanki przed ślubem, więc jakaś stara historia miłosna to żaden powód do stresów. - Skoro tak, wiemy przynajmniej, że to mężczyzna. Wprawdzie moja szwagierka także mnie nie kocha, ale morderstwo uważa za rzecz wulgarną.

- Wulgarną? - z rozbawieniem powtórzył Gerard.

- Nie znasz Louisy. Jest bardzo zasadnicza. Potrafi być bardzo złośliwa, kiedy uzna to za stosowne, ale nigdy wulgarna.

- Brzmi fantastycznie - stwierdził ze śmiechem.

- Morderstwo byłoby poniżej jej godności, oczywiście nie życzyłyby sobie również, by jej mąż był w coś takiego zaangażowany. Szczerze mówiąc, gdyby coś podejrzewała, miałyby odwagę zabrać głos na ten temat.

- W takim razie może powinniśmy gdzie indziej poszukać motywów?

- Nie przychodzi mi do głowy nikt, komu mogłabym się narazić, oprócz mojego brata. - Amelia westchnęła ciężko. - Może jednak masz rację. Nie widzę innego wytłumaczenia.

- Chyba że to ja mam jakiegoś wroga...

- Ty, Gerardzie? Więc atak na mnie miałby być zemstą wymierzoną w ciebie? Masz kogoś konkretnego na myśli?

- Niestety, nie. Jakichś wrogów na pewno mam, ale żaden z nich nie byłby zdolny... Jest, oczywiście, Northaven. Może mi grozić, bo mnie nienawidzi, ale nie aż tak, żeby chciał zabić ciebie... - Potrząsnął głową. - Nie, to nie wchodzi w rachubę, Amelio. Northaven wyzwałby mnie na pojedynek, gdyby tylko mógł, albo po prostu pobił, ale nie widzę go w roli mordercy.

- Podobnie jak ja Michaela, mimo jego wad.

- Trudna sprawa. Błądzimy po omacku. W takim razie pozostaje nam tylko czekać, aż ten ktoś się ujawni, ktokolwiek to jest. Mam swoich agentów, może coś odkryją, ale najlepiej byłoby odroczyć ogłoszenie naszych zaręczyn.

- Chcesz mu ulec? Przecież to by znaczyło, że wygrał. A jeżeli powodem jest moja fortuna... - Zrezygnowana machnęła ręką. - Jest tak, jak mówisz. To trudna sprawa. Gdybyś chciał się wycofać...

- Nie, na miłość boską! Chyba tak nie myślisz, Amelio? - zaniepokoił się.

- Nie... wybacz mi. Sama już nie wiem, co myśleć.

- Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa.

- Skoro tak, to nie pozwólmy, aby ten człowiek dyktował nam warunki. Zgadzam się, że ogłoszenie zaręczyn niesie ze sobą pewne ryzyko, ale ono istnieje tak czy inaczej. Nasz wróg jest na razie tylko cieniem. Może kiedy zobaczy, że nie jest w stanie nas zstraszyć, wyjdzie z mroku i pokaże się w pełnym świetle.

- Jesteś nie tylko mądra, ale i odważna - powiedział Gerard, podnosząc do ust jej rękę. - A teraz może byśmy porozmawiali o przyjemniejszych sprawach? Ilu gości zaprosimy na ślub i czy powinniśmy wydać bal z okazji zaręczyn?

- Myślę, że wystarczy bal w przeddzień ślubu. Czy po balu w Coleridge pojedziemy do Ravenshead? Chciałabym obejrzeć twój dom, Gerardzie, musimy się też zastanowić, co zrobimy z rezydencją ciotki Agathy. Mówiłam ci już, że zgodnie z moimi kalkulacjami powinniśmy sprzedać niektóre nieruchomości, ale ona kochała tę rezydencję, a ja tak lubię otaczające ją ogrody...

Kiedy po mniej więcej godzinie wrócili do domu, Amelia była już znacznie spokojniejsza. Omówili większość spraw związanych ze ślubem, a także podjęli decyzję, że zostawią sobie dom Amelii i kamienicę w Bath, a także dom Gerarda w Londynie, gdyż był większy od jej londyńskiej siedziby. Reszta nieprzynoszących dochodu nieruchomości miała być sprzedana lub puszczona w dzierżawę, a pieniądze zainwestowane w fundusz powierniczy dla ich dzieci. Natomiast tożsamość osoby, której zamiarem było nie dopuścić do ich ślubu, nadal pozostała nieznana. Agenci Gerarda będą próbowali wyjaśnić tę sprawę, a im pozostaje już tylko czekać, zachowując czujność.

Po rozstaniu z Gerardem Amelia udała się do swoich apartamentów, żeby się przebrać w bardziej stosowną suknię. Błękitna peleryna, którą pożyczyła Emily, nie leżała już na krześle w saloniku. Nie mogła sobie przypomnieć, czy ją tam rano widziała, bo się wtedy śpieszyła. Więc albo Emily wyszła, albo sprzątnęła pelerynę. A może Emily jest teraz w swoim pokoju?

Zapukała, ale nikt się nie odezwał, więc pchnęła drzwi i weszła do sypialni przyjaciółki. Panował w niej, jak zwykle, idealny porządek, i łóżko było pościelone. Sakiewka, którą dała Emily na gwiazdkę, leżała na toalecie, podobnie jak kilka innych prezentów. To dziwne, że Emily zostawiła je na wierzchu, zamiast dla bezpieczeństwa schować do szuflady. Amelię nagle naszła nedorzeczna myśl, że przyjaciółka mogła popełnić jakieś głupstwo. Chyba nie uciekła? Nie mówiąc już o innych, bardziej drastycznych krokach! Na wspomnienie tragicznego losu Lucindy, przyjaciółki z dzieciennych lat, Amelię wstrząsnął zimny dreszcz. Parę lat wcześniej, w odruchu desperacji, Lucinda odebrała sobie życie, ale Emily chyba była bardziej rozsądna, racjonalniej patrzyła na świat?

Zajrzała do szafy i odetchnęła z ulgą na widok ubrań oraz skórzanej walizki. To znaczy, że nie uciekła, bo w innym wypadku przecież by zabrała przynajmniej część rzeczy. Poza tym, jako osoba odpowiedzialna, zostawiłaby jakiś list.

Podniesiona nieco na duchu, Amelia wróciła do swojego pokoju, żeby się przebrać, po czym udała się do pokoju dzieciennego, gdzie porozmawiała z Lisą i innymi maluchami. Poproszono ją o przeczytanie bajki z książeczki, którą jedno z dzieci dostało pod choinkę. Wzięła więc Lisę i drugiego malca na kolana i zaczęła głośno czytać. Reszta dzieci tłoczyła się wokół niej, czepiając się jej sukni i wpatrując się w nią z uwielbieniem.

Była tak pochłonięta odgrywaniem bajki, że nie zauważyła, jak Gerard stanął w drzwiach i przyglądał jej się przez kilka minut, a potem zniknął.

Zanim udało jej się wyrwać z objęć dzieciaków i dołączyć do reszty gości, zrobiło się późne popołudnie.

Kiedy przystanęła przy bufetowym stole, żeby sobie nałożyć kawałek zimnego kurczaka oraz odrobinę ziemniaków, rzepy i zieleń, Gerard podszedł do niej i powiedział:

- Widziałem cię przed chwilą. To miło z twojej strony, że poświęcasz dzieciom tyle czasu.

- Sprawia mi to przyjemność. Lisa poprosiła mnie, żebym jej poczytała, a inne dzieci też chciały posłuchać. Myślę, że dobrze się bawiły, poza tym święta są przede wszystkim dla maluchów, nie uważasz? To dla nich te wszystkie ceremonie.

- Zaslługujesz na to, aby mieć własną dużą rodzinę, Amelio.

- Mam nadzieję, że urodzę gromadkę dzieci, jeśli Bóg pozwoli.

Spojrzała Gerardowi w oczy i serce zaczęło jej bić jak szalone. Miała wrażenie, że cała płonie, i marzyła już tylko o jednym, żeby znaleźć się z nim sam na sam. Chciała, by ją objął, chciała poczuć jego usta na swoich ustach, ale przede wszystkim pragnęła być przez niego kochana. Kiedyś przecież darzył ją gorącym uczuciem, ale potem coś w nim umarło, jak sam to wyznał. Czy ich dawna miłość ma jeszcze szansę się odrodzić?

- Gerardzie - zaczęła, lecz podszedł do nich lokaj z listem na tacy.

- Dostarczono to dla pana przed chwilą, sir.

- Dla mnie? - Marszcząc brwi, Gerard otworzył zapieczętowaną kopertę, przebiegł wzrokiem tekst, zaklął cicho i spojrzał w osłupieniu na Amelię. - Nic z tego nie rozumiem. Ten list sugeruje, że jesteś więźniem jego autora. Mam zapłacić czterdzieści tysięcy funtów albo zostaniesz zamordowana... ale na Boga, przecież jesteś tutaj, obok mnie!

- Tak... - Amelia poczuła zimny dreszcz. - Nie ma za to Emily... - Rozejrzała się po pokoju pełnym gości. - Wyszła wcześniej rano, ale z tego, co wiem, jeszcze nie wróciła.

- Myślisz, że zabawiłaby tak długo na dworze przy takiej pogodzie?

- Nie chce mi się w to wierzyć. Była załamana, nawet się wystraszyłam, że uciekła, ale wszystkie jej rzeczy zostały.

- Kto mógłby porwać pannę Barton i domagać się tak olbrzymiego okupu?

- Ktoś, kto mnie nie znał zbyt dobrze - powiedziała rozgorączkowana Amelia. - Na pasterce miałam ciemnobłękitną pelerynę podszytą futrem, ale na święta przywiozłam sobie nową, czarną, więc niebieską pożyczyłam Emily, bo zrobiło się zimno. Jeżeli ją włożyła, mogli ją ze mną pomylić.

- Dobry Boże! - wykrzyknął wstrząśnięty Gerard. - Trzeba natychmiast sprawdzić, czy jest w swoim pokoju.

- Ja pójdę - zdecydowała Amelia. - Kiedy wróciliśmy z przejażdżki, nie było jej tam. Sądziłam, że chce być sama, więc jej nie szukałam. Powinnam była już wtedy cię zawiadomić, ale nawet mi przez myśl nie przeszło, że jest w niebezpieczeństwie... - Odstawiła nietknięty talerz i pobiegła na górę, niestety nie znalazła Emily ani w saloniku, ani w jej pokoju. Stwierdziła też, że odkąd zeszła na dół, nikt nic nie ruszał w ich apartamencie.

Gdy pojawiła się pokojówka, żeby zabrać wieczorową suknię do wyprasowania, zapytała ją, czy nie widziała Emily.

- Nie, panno Royston - odparła pokojówka. - Czy coś się stało panie Barton?

- Wygląda na to, że Emily zaginęła - powiedziała Amelia. - Nie zatrzymuję cię, Martho, wracaj do swoich zajęć, a przy okazji popytaj służbę. Strasznie się niepokoję o pannę Barton.

- Oczywiście, panno Royston. Zapytam, czy ktoś ją widział tego ranka.

Gdy Amelia wróciła na dół, Gerard i Harry rozmawiali w holu. W odpowiedzi na ich pytające spojrzenia powiedziała szybko:

- Martha jej nie widziała, a pokój Emily wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy tam wcześniej zaglądałam.

- Powiadomiłem już mojego lokaja - oświadczył Harry. - Dopilnuje, żeby przepytano całą służbę. Każdy będzie musiał sobie przypomnieć, kiedy ją widział po raz ostatni. Jeżeli będziemy wiedzieli, kiedy wyszła, ustalimy, o której godzinie została porwana.

- Co możemy zrobić? - zapytała Amelia. - Ile mamy czasu na zapłacenie okupu, Gerardzie? Nie dysponuję tak wielką sumą w gotówce, ale sprzedam coś, aby ratować moją kochaną Emily.

- Wszyscy się złożymy - zapewnił ją Harry. - Mam jednak nadzieję, że uda nam się ją odzyskać, nie płacąc temu łotrowi ani pensa.

- Nie mogę ryzykować życia Emily. Porywacze przecież myśleli, że to ja... - Nie zdołała opanować szlochu. - Jeżeli coś jej się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Przecież to nie twoja wina - powiedział Gerard. - Przyznam się, że byłbym załamany, gdybyś to ty wpadła w ich ręce, Amelio.

- Chcesz powiedzieć, że życie Emily jest mniej warte niż moje!? - zawołała gniewnie. - To nie fair. Emily to cudowna osoba i jest mi bardzo bliska.

- Niczego takiego nie powiedziałem. - Zdesperowany Gerard przeczesał palcami włosy. - Oczywiście, że powinniśmy zrobić, co tylko się da, ale kiedy ci łajdacy się zorientują, że porwali nie tę osobę...

- Myślisz, że mogą ją zabić? - przeraziła się Amelia. - Nie! Jak możemy dać im znać, że zapłacę? - Popatrzyła na niego dzikim wzrokiem. - To moja wina. Gdybym przekazała bratu to, co chciał... Och, nie! To ponad moje siły!

Przy drzwiach zrobiło się jakieś zamieszanie i do holu weszły dwie osoby w ośnieżonych ubraniach. W jednej z nich Amelia rozpoznała swoją damę do towarzystwa i natychmiast podbiegła do niej i zawołała:

- Och, moja kochana! Gdzie się podziewałaś? Odchodziłam od zmysłów!

- Poszłam na spacer... - Emily rzuciła jej się z płaczem w ramiona. - Ktoś mnie zaatakował od tyłu i wepchnął do powozu. Zrzuć mi pled na głowę, nie wiedziałam, co się dzieje. Po jakimś czasie, minęło może pół godziny, powóz zatrzymał się i wniesiono mnie do jakiegoś domu. Zostawili mnie samą w sypialni. Było tam strasznie zimno. Zaczęłam wzywać pomocy i próbowałam się wydostać, ale okna i drzwi były zamknięte. Kiedy mnie wnosili, usłyszałam, jak jeden z nich mówił, że jeżeli pieniądze nie przyjdą, trzeba będzie mnie zabić...

- Emily... - Amelia cofnęła się, zszokowana. - Musiało to być dla ciebie straszne! Jak zdołałaś uciec?

Nagle usłyszała za plecami podniesione męskie głosy. Odwróciła głowę i zobaczyła, że Gerard i Harry wdali się w scysję z człowiekiem, który przyszedł z Emily. Był nim markiz Northaven!

- Nie, zostawcie markiza w spokoju! - wykrzyknęła Emily. - To on mnie uwolnił i odwiózł do Pendleton. Gdyby nie on, nadal byłabym więźniem w tamtym domu. A może już bym nie żyła...

- Czy to prawda? Milordzie, zechce się pan wytłumaczyć? - spytał Gerard, demonstracyjnie zachowując oficjalną formę.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać na osobności - odparł Northaven, podchodząc do Emily. - Przykro mi, że została pani poddana tak strasznej próbie, panno Barton. Próbowałem ostrzec hrabiego Ravensheada, ale nie przypuszczałem, że to pani zostanie porwana. Sądziłem, że chodzi im o pannę Royston.

- Próbowałaś mnie ostrzec... - Gerard spojrział na niego bacznie. - Czy to ty przysłałaś mi tę lalkę?

- Tak. Głupi pomysł, ale nie wiedziałem, jak to zrobić. Chciałem cię uczulić na to, że panna Royston może być w niebezpieczeństwie.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wprost? - spytał gniewnie Gerard.

- A uwierzyłbyś mi, gdybym się podpisał? Przyjąłbyś mnie, gdybym chciał cię ostrzec osobiście? - Northaven uniósł dumnie głowę. - Nie będę udawał niewiniątka. Zrobiłem wiele rzeczy, których teraz żałuję, ale nie jestem mordercą, choć mnie za takiego uważasz. Jeżeli nieostrożnymi wypowiedziami przyczyniłem się do śmierci kolegów, szczerze tego żałuję, ale z mojej strony była to nieostrożność, a nie zdrada.

- Myślę, że musimy sobie jeszcze wyjaśnić parę spraw - powiedział Gerard. - Amelio, proszę cię, zaprowadź pannę Barton na górę i dopilnuj, aby miała stosowną opiekę. Może należałoby posłać po doktora?

- Nie, nie ma potrzeby. - Emily potrząsnęła zdecydowanie głową. - Przeżyłam szok, ale nic mi nie dolega.

- Zabiorę cię na górę, kochanie. - Amelia otoczyła ją ramieniem. - Przemarzałaś i cała drżysz. Musisz się natychmiast położyć do łóżka z termoforem. Posiedzę przy tobie, a ty mi wszystko opowiesz. - Poprowadziła przyjaciółkę ku schodom. - Jak daleko byłaś od domu, kiedy cię porwali?

- Doszłam tylko do żywopłotów - odparła Emily. - Było bardzo wcześnie, pewnie służba jeszcze nie wstała, więc raczej nikt mnie nie widział. Przez całą noc nie zmrużyłam oka. - Stłumiła szloch. - Przewracałam się z boku na bok i w końcu doszłam do wniosku, że spacer rozjaśni mi w głowie. Zapomniałam o ostrożności, bo byłam przekonana, że to tobie coś grozi.

- Moja biedna Emily. - Amelia serdecznie ścisnęła ją za rękę. - Porwali cię, bo myśleli, że to ja. Zażądali wielkiego okupu, ale byłam gotowa zapłacić. Kiedy wróciłaś, zastanawialiśmy się właśnie, jak to załatwić. Nie przeżyłabym, gdyby coś ci się stało.

- Amelio! Tak się cieszę, że nie musiałaś im płacić. I strasznie mi przykro, że kosztowało cię to tyle nerwów. Nigdy bym nie pomyślała, że ktoś mnie porwie.

- Pewnie by do tego nie doszło, gdybyś nie miała na sobie mojej peleryny. Nie noś jej, dopóki ten łotr nie zostanie złapany.

- Masz jakieś podejrzenia, kto to może być?

- Nie, raczej nie. Ty też pewnie niewiele usłyszałaś?

- Rozmawiali o kimś, kogo się bali - powiedziała Emily. - Niestety, nie padło żadne nazwisko.

- Wszyscy myślą, że to mój brat, a ja aż drzę na myśl, że taka jest prawda. Choć z drugiej strony nie potrafię w to uwierzyć.

- Nie rozumiem, jak ktoś może być zdolny do takiej podłości. - Emily wzdrygnęła się. - Gdyby pieniądze nie nadeszły, miałam zostać uduszona... ale to już było po tym, jak im powiedziałam, kim jestem. Byli wściekli, bo zbyt późno zdali sobie sprawę ze swojej pomyłki. Grozili, że nim mnie zabiją, ostro się ze mną zabawią...

- Boże! To potworne! Przykro mi, że przeżyłaś taki koszmar.

- Na szczęście pojawił się markiz, żeby mnie zabrać.

- Skąd wiedział, że zostałaś porwana i gdzie cię szukać? - spytała Amelia.

- Nie mam pojęcia. Nie pytałam. Byłam mu ogromnie wdzięczna, że mnie wydość z tego domu, zanim... - Urwała wstrząsana dreszczem. - Nigdy w życiu tak się nie bałam.

- Gerard i Harry na pewno będą chcieli wiedzieć, skąd miał te informacje - powiedziała Amelia. - Chodź, kochanie, pomogę ci się rozebrać. Martha przyniesie patelnię z gorącymi węglami i termofor. A jutro zabiorę cię do domu.

- Nie, proszę, nie rób tego. Chcę być na tych wszystkich balach, jak to planowałyśmy - powiedziała Emily. - Nie zamierzam z nich rezygnować, nie dopuszczę, by strach mną rządził. I postaram się nie myśleć o panu Sinclairze. Tej nocy myślałam wprawdzie przez chwilę, by odebrać sobie życie, ale po tym, co się wydarzyło, zrozumiałam, jak

bardzo chcę żyć. Będzie mi ciężko na sercu, kiedy znów spotkam pana Sinclaira, ale ja-koś to zniosę.

- Moje biedactwo... - Amelia pocałowała przyjaciółkę w czoło. - Wiem, że po tym wszystkim czujesz się okropnie, ale jesteś bardzo dzielna. Musisz zapomnieć o panu Sinclairze. Skoro nie potrafił się zachować jak należy, nie jest ciębie wart.

Rozdział piąty

- No więc słucham - powiedział Gerard. - Oczywiście jestem wdzięczny za odwie-zienie panny Barton, ale ta sprawa domaga się wyjaśnień. Skąd wiedziałeś o tym, że ktoś zamierza porwać pannę Royston, i skąd wiedziałeś, gdzie szukać panny Barton?

Markiz skrzywił się.

- Myślałem, że uprowadzono pannę Royston, i dopiero po przyjeździe na miejsce zorientowałem się, że porwano nie tę damę. Namówiłem pilnujących ją ludzi, żeby się napili rumu dla rozgrzewki, i zaprawiłem go laudanum. A kiedy ogarnęła ich senność, wykradłem pannę Barton i przywiozłem tutaj. On dowie się, że ich wyprowadziłem w pole, więc moje życie może być zagrożone, ale nie cenię go sobie aż tak wysoko, żeby mi to spędzało sen z powiek.

- Wciąż nie mówisz, skąd się o tym dowiedziałeś - nalegał Harry. - I kto za tym stoi.

- Nie patrz tak na mnie, Pendleton - powiedział markiz. - Jeżeli koniecznie chcecie wiedzieć, zaproponowano mi pieniądze za pomoc w pojmaniu panny Royston. On musiał jednak wyczuć, że nie pójdę na to, więc przyśpieszył operację, natomiast mnie powie-dziano, że porwanie ma nastąpić podczas jej podróży do Coleridge.

- Ile miałeś dostać za udział w tej... operacji?

- Dziesięć tysięcy funtów. - Northaven zaśmiał się smutno. - Psie grosze, śmiem twierdzić, jeśli się uwzględni jej fortunę. Kilka miesięcy temu może i wziąłbym te pie-niądze. Byłem w długach i przepełniony goryczą, która na szczęście do tej pory już ze-lżała. To zasługa pewnej damy. Lecz nie pytajcie o nią. Nie wymienię jej imienia.

- Czemu się do nas nie zgłosiłeś? Nie powiedziałeś nam, z kim mamy do czynienia? - zapytał Gerard.

- Gdybym znał jego nazwisko, wyjawilibym wam. Do tego trzyma się w cieniu, ukrywa swoją twarz. Choć widziałem go i podczas pierwszego spotkania, i później, trudno byłoby mi podać dokładny rysopis. Pozwalałem mu wierzyć, że pomogę w akcji przeciwko panie Royston, a tak naprawdę starałem się wyciągnąć jak najwięcej informacji o jego zamiarach. Próbowałem go śledzić, lecz chyba się zorientował, bo w końcu przestał mi ufać. Wiedziałem jednak, gdzie zamierzali przetrzymywać pannę Royston przez pierwszych kilka godzin, i zdecydowałem się wam o wszystkim opowiedzieć. Wczesnym rankiem przyjechałem tutaj, do Pendleton, i szedłem już w stronę domu, kiedy zobaczyłem, jak porywają pannę Royston. To znaczy byłem przekonany, że to ona. Nie miałem czasu, by was zawiadomić, i ruszyłem za nimi. Na szczęście nie zmienili miejsca, w którym ją przetrzymywali, i na szczęście ludzie tego człowieka nadal mi ufali.

- Masz jakieś pojęcie, kto to może być?

- Ten człowiek twierdzi, że jest porucznikiem, przedstawił się jako Gordon. Wątpię, czy to prawdziwe nazwisko, natomiast raczej na pewno był oficerem, gdyż ma wojskowe maniery. Nie przypominam sobie jednak, aby służył w naszej armii.

- Więc to nie był sir Michael Royston?

- Brat panny Royston? Nie, na miłość boską! Poznałbym przecież jego głos, posturę, gestykulację. Całkiem niedawno grałem z nim w karty.

- A może jest w zмовie z tym łotrem?

- Kto wie, ale nic mi o tym nie wiadomo.

- Dlaczego zwrócił się akurat do ciebie?

- Był przekonany, że chcę się na tobie zemścić, Gerardzie. Musiał słyszeć o naszej kłótni, bo wiele się o tym mówiło w pewnych kręgach. Jego celem były nie tylko pieniądze, możesz mi wierzyć. Wywnioskowałem to z różnych jego wzmianek. Zamierzał przejąć okup, zhańbić pannę Royston, a ciebie zamordować.

- Mój Boże! - Gerard nagle pobladł. - Jak on mnie musi nienawidzić! Wprost niepojęte... Co ja mu takiego zrobiłem?

- Tylko ty możesz na to odpowiedzieć - stwierdził Northaven. - Może zrujnowałeś go przy karcianym stoliku albo odebrałeś mu kobietę?

- Nie... chyba... Lisette...? - Gerard potarł czoło, w jego oczach odmalowało się niedowierzanie. - Nie wiem. Moja żona była ze mną szczerą. Kiedy braliśmy ślub, nosiła dziecko kochanka. Powiedziała mi, że zginął, a ona została sama na świecie. Ożeniłem się z nią, żeby ją chronić, ale jeżeli jej kochanek został ciężko ranny, a potem wyzdrowiał i dowiedział się, że za mnie wyszła, mógł mnie obarczać winą za jej śmierć.

- Może tu należy szukać odpowiedzi. - Northaven zamyślił się, mrużąc oczy. - Jeżeli Gordon jest przekonany, że mu ją odbiłeś, może w rewanżu chce odebrać ci kogoś, kogo kochasz. A ponieważ panna Royston jest bogata, a ty też posiadasz majątek, przy okazji postanowił się obłowić.

- Przecież mu jej nie odbiłem... - Gerard potrząsnął głową. - Kiedy ją znalazłem, była umierająca. Leżała przy drodze poturbowana i zakrwawiona. Powiedziała mi, że zgwałciło ją kilku francuskich żołnierzy. Pielęgnowałem ją, dopóki nie wyzdrowiała, a potem się z nią ożeniłem. Po urodzeniu dziecka długo chorowała, ale w końcu doszła do siebie... - Urwał, nerwowo skurcz wykrzywił mu twarz. - Lisette odebrała sobie życie. Chciała ode mnie więcej, niż mogłem jej dać.

- Dobry Boże! - wykrzyknął wstrząśnięty Harry. - Nie miałem pojęcia... mój drogi przyjacielu, szczerze ci współczuję.

- Dotąd nikomu nie mówiłem. Panna Royston niedawno poznała tylko część prawdy, a was bardzo proszę o dyskrecję. Moim zdaniem Lisette popełniła samobójstwo, bo nie byłem w stanie jej pokochać.

- No tak, teraz już wszystko jasne. Porucznik Gordon, czy jak mu tam, obwinia cię o śmierć swojej ukochanej - podsumował Harry.

- Cóż, przynajmniej w pewnym sensie ma rację - przyznał Gerard. - Zawiodłem Lisette i dlatego jej koniec obciąża moje sumienie.

- Myślę, że mamy już motyw, a teraz trzeba się dowiedzieć, kim naprawdę jest ten cały porucznik Gordon. Czy twoja żona nie wspomniała ci nazwiska swojego kochanka?

- Nie, a ja jej nigdy nie pytałem. Była pewna, że nie żyje, więc to nie miało znaczenia.

- Czy on wie, że to jego dziecko? - zapytał Harry.

- Bo jeżeli tak, to może uważać, że córkę również mu ukradłeś.

- Wątpię, aby wiedział - stwierdził Gerard. - Pożegnali się kilka tygodni wcześniej, przed bitwą, i już się więcej nie widzieli, a potem przez jednego z jego przyjaciół otrzymała wiadomość, że zginął. Próbowwała dowiedzieć się czegoś więcej, ale w drodze została napadnięta i zgwałcona, a potem ci dranie zostawili ją na pewną śmierć.

- W tej sytuacji lepiej będzie, żeby Gordon nigdy nie poznał prawdy - powiedział Harry. - Dopóki nie odkryjesz tożsamości swojego wroga, musisz być bardzo ostrożny.

- Tak, masz rację. - Gerard spojrzał surowo na Northavena. - Możemy liczyć na twoją pomoc?

- Oczywiście. - Oczy mu się zaświeciły. - Powiedzcie mi tylko, jak mogę wam pomóc, a zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Amelia siedziała przy Emily, czekając, aż zaśnie, a potem poszła przebrać się na wieczór. Usiadła przed lustrem, by pokojówka ułożyła jej włosy w luźny węzeł na karku, a jej myśli wciąż krążyły wokół biednej Emily, która podczas kolejnego ataku płaczu dała wyraz swojej rozpaczycy z powodu utraconego dziecka. Amelia pocieszała ją, jak mogła, podejmując jednocześnie postanowienie, że zatrudni agenta i zleci odnalezienie dziewczynki. Nie było jednak pewności, czy to się powiedzie, albo też, jeśli nawet uda do niej dotrzeć, nie będzie można odebrać dziewczynki przybranym rodzicom. Może jednak Emily wystarczy sama wiadomość, że jej córka żyje i ma kochającą rodzinę. Amelia postanowiła nie mówić nic przyjaciółce, dopóki się nie dowie, jak sprawy stoją.

Gdy zeszła do salonu, goście zaczęli się zbierać na drinka przed kolacją. Wśród nich dostrzegła Susannah, ale nigdzie nie było ani Gerarda, ani Harry'ego.

- Wyszli gdzieś i jeszcze nie wrócili - odpowiedziała Susannah na jej pytanie. - Harry powiedział mi, co zrobił Northaven. Nie mogłam uwierzyć, że postąpił tak heroicznie. W przeszłości nie zawsze był wobec mnie rycerski, myślę jednak, że nie jest aż taki zły, jak się go przedstawia.

- Mam wobec niego dług wdzięczności - oświadczyła Amelia. - Och, wcale nie zapomniałam, że pojedynkował się kiedyś z Harrym i strzelił do ciebie, nie wierzę jednak,

że zrobił to z zimnym wyrachowaniem, a teraz przynajmniej częściowo się zrehabilitował, zwracając nam Emily.

- Och, dawno mu wybaczyłam - z uśmiechem odparła Susannah. - Owszem, to hul-taj, który ma wiele grzechów na sumieniu, ale zasługuje na drugą szansę.

- Tak, słusznie. - Amelia zmarszczyła brwi. - Chciałam porozmawiać z Harrym, ale to może poczekać.

- Czy mogę ci jakoś pomóc?

- Nie, Susannah. Potrzebuję męskiej porady. Postanowiłam zwrócić się z tym do Harry'ego, bo Gerard ma teraz zbyt wiele na głowie.

- Myślę, że niedługo wrócą, chociaż Harry powiedział mi, żeby nie czekać na nich z kolacją.

- Pewnie mieli jakąś pilną sprawę do załatwienia.

- Innego wyjaśnienia nie widzę, choć zdumiewa mnie, że zabrali ze sobą Northavena. Harry był mu bardzo przeciwny w swoim czasie.

- Och, panowie to dziwne stworzenia - powiedziała Amelia ze śmiechem. - W jednej chwili potrafią walczyć na noże, a zaraz potem zostają najlepszymi przyjaciółmi.

- Myślisz, że możemy mu zaufać? - zapytał Harry Gerarda, kiedy wchodzili do domu, otrzepując się ze śniegu. - W ogóle bym nie słuchał, co ma do powiedzenia, tylko kazał lokajowi wyrzucić go za drzwi, gdyby nie to, że odwiózł pannę Barton. - Podeszedł do mahoniowego kredensu i nalał dwie szklaneczki brandy. Podał jedną Gerardowi, a drugą trzymał przez chwilę w dłoniach, aby ją ogrzać.

- W tym momencie nie mam zbyt wielkiego wyboru - stwierdził Gerard. - Jego opowieść o poruczniku Gordonie może być zmyślona, jednak skłonny jestem mu uwierzyć. Lisette miała przecież kochankę, a choć była pewna, że zginął, mógł przeżyć. Na wojnie różnie bywa... Jeżeli jej później szukał i dowiedział się, że umarła, mógł mnie znienawidzić. Pewnie myśli, że ją źle traktowałem.

- Gdybyś mógł z nim porozmawiać, powiedzieć, jak było naprawdę...

- Wątpię, by mnie chciał wysłuchać. Na jego miejscu szukałbym rewanżu. - Pokiwał bezradnie głową. - Co mam robić, Harry? Czy mam prawo żenić się z Amelią, wie-

dząc, jak bardzo ją narażam? Gdy podejrzanym był jej brat, sytuacja wyglądała inaczej, ale teraz...

- Niczego nie można być pewnym. A jeśli Northaven nadal jest w zмовie z tymi łotrami? Poza tym nie chcesz chyba się wycofać... Przecież nie porzucisz Amelii Royston? Pomyśl, jak by to wyglądało! Susannah nie chciałaby już nigdy więcej z tobą rozmawiać.

- Miałbym porzucić Amelię? Dobry Boże! To ostatnie, czego bym chciał, ale nie chcę też wystawiać jej na cel jakiegoś szaleńca...

- Musisz uzbroić się w cierpliwość, oto moja rada. Oczywiście dopilnujemy, aby miała ochronę. Northaven mówi, że spróbuje wybadać, kim jest ten człowiek, i przekaże ci wiadomość. Pozostaje nam mieć nadzieję, że dotrzyma słowa.

- Tak, ale wywodząc w pole porywaczy panny Barton, ryzykował życie. Przecież porucznik Gordon zastrzelił go przy pierwszej okazji.

- Sam się zgodził, choć jest świadom zagrożenia. Może to jego pokuta, Gerardzie. Nawet jeżeli nas świadomie nie zdradził w Hiszpanii, to swoją nieostrożną wypowiedzią po pijanemu przyczynił się do śmierci naszych kolegów. Francuzi wiedzieli, że przyjdziemy, a przecież nasza misja była tajna. Tylko my czterej znaleźliśmy cel, bo nie powiedzieliśmy żołnierzom. Poszli za nami na pewną śmierć, a Northaven nie pojawił się tamtego ranka. Teraz mówi, że zasnął po całonocnej pijatyce, ale wciąż nie wiem, czy mu wierzyć.

- Odesłaliśmy go do Coventry jako tchórze i zdrajcę - rzucił ponuro Gerard. - Zaklinał się, że nie zdradził, lecz w głębi ducha czuł, że zawinił. Wyzwał cię na pojedynek i byłby zabił w gniewie nas obu... Wygląda jednak na to, że się zmienił, choć nie mam pojęcia dlaczego.

- Mówił, że to zasługa jakiejś damy.

- Jeżeli wierzyć plotkom, w swoim czasie przyczynił się do upadku niejednej kobiety, zatem ta musi być wyjątkowa, jeżeli doprowadziła do jego duchowej metamorfozy... Nie wiem, czy jego opowieść jest prawdziwa, ale nie mam też żadnych innych koncepcji. Ten porucznik Gordon skutecznie zatarł za sobą ślady. Moi agenci spróbują go odszukać. Oczywiście przy okazji kazałem im obserwować Northavena.

- Wobec tego musisz postępować tak, jakby nic się nie stało - zdecydował Harry. - Gdybyś nagle zmienił plany, Gordon gotów nabrać podejrzeń. Nie mamy żadnej gwarancji, że zostawi pannę Royston w spokoju. Na twoim miejscu podwoiłbym liczbę ludzi, którzy mają strzec jej i panny Barton, i robił dalej swoje.

- Muszę uświadomić Amelii rozmiar zagrożenia, ale masz rację. Wprawdzie nie mówiliśmy zbyt wielu osobom o naszych planach, ale takie wieści się rozchodzą. Gdybym się teraz wycofał, wyglądałoby to, jakbyśmy się pokłócili. Będę tylko musiał wzmóc czujność.

- Nic więcej nie możesz zrobić w tej chwili, Gerardzie. Przyjadę do Coleridge kilka dni po tobie, przydzielę ci jednak eskortę. Wiem, że masz swoich ludzi, ale niech się lepiej trzymają w cieniu. A moi ludzie są dobrze wyszkoleni i uzbrojeni, więc skutecznie będą was chronić w podróży.

- Jestem ci wdzięczny, Harry, ale nie chciałbym cię w to angażować. Masz przecież żonę i dziecko, a ta sprawa może się źle skończyć.

- Pamiętasz naszą przysięgę, którą tamtego dnia złożyliśmy sobie w Hiszpanii - powiedział z powagą Harry. - Tylko dlatego uszliśmy z życiem, że trzymaliśmy się razem. Byłeś przy mnie, kiedy cię potrzebowałem, więc ja też nie opuszczę cię w potrzebie.

- Naprawdę uważasz, że sprawcą tego wszystkiego jest kochanek Lisette? Ktoś, kogo znała, zanim wyszła za ciebie? - spytała Amelia. Gerard przyszedł do niej, kiedy kładła się do łóżka, i poprosił, by się z nim przeszła po galerii. Świece dopalały się już w kandelabrach, a sącząca się przez okna księżycowa poświata tworzyła isticie romantyczną scenerię. Gdyby tylko temat rozmowy był inny! - Jak to możliwe? Nic już z tego nie rozumiem. O co może mieć do ciebie pretensje?

- Nie wiem. Northaven twierdzi, że Gordon mnie nienawidzi. Może obwinia o śmierć Lisette? Mówiłem ci, że kilka miesięcy po urodzeniu dziecka popełniła samobójstwo. Jeżeli jej szukał i dowiedział się o tym, musiał przeżyć szok. Na jego miejscu też chciałbym się zemścić.

- Dlaczego wyszła za ciebie, skoro miała kochankę?

- Myślała, że zginął, a ona została sama w rozpaczliwej sytuacji.

- Lisette umarła cztery lata temu, Gerardzie. Dlaczego ten człowiek szuka zemsty dopiero teraz?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, czy Northaven mówi prawdę. Może sam to wszystko zaplanował, żeby mieć z tego jakąś korzyść.

- Nie, nigdy w to nie uwierzę. - Amelia zamyśliła się. - Musi być jakaś inna przyczyna, dla której ten człowiek tak długo zwlekał. Mógł dopiero teraz się dowiedzieć, jak Lisette umarła.

- Nie mam pojęcia... - powtórzył Gerard i zawahał się. - Amelio, czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak wielkie grozi ci niebezpieczeństwo? Może wolałabyś, abym się usunął? Oczywiście szukałbym dalej swojego wroga, ale ty byłabyś bardziej bezpieczna. A z czasem mógłbym wrócić do ciebie, więc tak naprawdę byłoby to tylko odroczenie w czasie.

- Znasz moją odpowiedź. Nie zamierzam się ukrywać. Poza tym on nie da się oszukać. Skoro już tyle o nas wie, szybko dowie się prawdy. Jeżeli pozwolimy mu na to, aby nas rozdzielił, to już na zawsze. Chcesz tego, Gerardzie?

- Nie! Na Boga, nie!

- Więc nie mamy innego wyjścia, jak tylko działać tak jak do tej pory.

- Swoją drogą, to dziwne, że on doskonale zna miejsce naszego pobytu. Przecież tylko kilka osób wiedziało, że spędzę święta w Pendleton.

- Jeśli o mnie chodzi, wiedziała większość znajomych, ale nikomu nie powiedziałam, że cię tu spotkam, bo nie byłam tego pewna.

- Tajemnicza sprawa... Cóż, mogłem być śledzony, ale... Mój Boże, błąkam się po omacku, zdany jedynie na domysły.

- Mamy tylko jedno wyjście, to znaczy nie poddawać się i czekać, aż on popełni jakiś błąd - stwierdziła Amelia.

- Jesteś bardzo odważna. - Spojrzał na nią z podziwem. - Ja, mówiąc szczerze, wolałbym się z tobą rozstać, niż mieć twoją śmierć na sumieniu, choć jak sama powiedziałaś, nie dałoby nam to żadnych gwarancji bezpieczeństwa. Dlatego uważam, że powinniśmy jak najszybciej wziąć ślub, bo wtedy będę mógł już oficjalnie otoczyć cię opieką.

Amelia słuchała go ze ściśniętym sercem. Więc ze strachu był gotów z niej zrezygnować? Jak w ogóle mógł to rozważać, jak mógł w ten sposób mówić do niej? Przecież wolałaby umrzeć, niż go znowu utracić.

Lisette była głęboko nieszczęśliwa, bo jej nie kochał. Czy ją czeka podobny los? Czy mogłaby się kiedyś poczuć do tego stopnia samotna i niekochana, aby targnąć się na swoje życie?

Nie, to nie w jej stylu. Gerard już raz złamał jej serce, przeżyła to jednak, bo jest silniejsza od Lisette.

- Myślę, że ta tajemnica ma jakieś drugie dno - powiedziała. - A wracając do rzeczy, twój nieprzyjaciel wie, gdzie jesteśmy i co robimy. Wie też wszystko o mnie. Nie ma więc innego wyjścia, współpracuje z nim ktoś spośród naszych wspólnych znajomych. Ktoś, kto jest blisko nas i donosi mu o wszystkim.

- Na to wygląda, ale wciąż nie mam pojęcia, kto to może być.

- Musimy się nad tym dobrze zastanowić, Gerardzie. A ponieważ to ja miałam być celem, niewykluczone, że człowiek ten nie jest wcale twoim wrogiem, tylko moim.

- Jesteś pewna, że ona wybiera się do Coleridge? - zwrócił się porucznik Gordon do kobiety, z którą spotkał się późną nocą w oranżerii. - Jeżeli postawię moich ludzi przy drodze, żeby czekali na jej przejazd, stracę ostatnią szansę na element zaskoczenia.

- Ci twoi durnie już raz wszystko popsuli - odparła z pogardą - więc co tu mówić o zaskoczeniu? Wszystko przepadło, kiedy wciągnąłeś Northavena w swoje plany. Trzeba było mnie zapytać, to bym ci powiedziała, żebyś tego nie robił. Owszem, twierdził, że ich nienawidzi, ale przecież tylko dlatego, że zarzucili mu zdradę. Northaven nie jest żadnym aniołem, ale nie jest też mordercą.

- Dużo o nim wiesz. Ciekawe, skąd? - Gordon spojrzał na nią zazdrośnie.

Byli kuzynami w drugiej linii, w dzieciństwie bawili się razem na łąkach. Oddała mu się, kiedy miała trzynaście lat. Szalona i czarująca, miała nad nim całkowitą władzę. Tak naprawdę zmieniła go w swego niewolnika. Uwolnił się spod jej wpływów dopiero wówczas, gdy jako młody mężczyzna wstąpił do armii. Potem spotkał nową miłość, ale Lisette go zdradziła. Kiedy wylizał się z ran, zaczął jej szukać, i był zdruzgotany, gdy poznał prawdę o jej śmierci. Przed kilkoma miesiącami, po powrocie do Anglii, odszukał

swoją miłość z dziecinnych lat, i wtedy się okazało, że jej władza nad nim jeszcze tylko się umocniła.

- Northaven jest twoim kochankiem?

Odpowiedzią był jej pogardliwy śmiech.

- Owszem, pewnego lata zadałam się z nim na krótko. - Znów w jej głosie zabrzmiała pogarda. - Nigdy go jednak nie kochałam, więc nie musisz być zazdrosny. - Położyła mu rękę na ramieniu i obdarzyła go uwodzicielskim uśmiechem. - Czy ci nie pomogłam, podając miejsce pobytu panny Royston? Kto ci pomógł zaplanować zemstę na człowieku, który ukradł ci kochankę?

- Lisette była tylko głupiutkim stworzeniem. Owszem, poczułem złość, kiedy się dowiedziałem, że się z nią ożenił i ją unieszczęśliwił, ale nigdy nie kochałem jej tak jak ciebie. Zawsze cię uwielbiałem. To ty go nienawidzisz. A może nienawidzisz panny Royston?

- Ona nic dla mnie nie znaczy. Wszystko mi jedno, czy żyje, czy umarła, ale on ją kocha, więc jej los jest przypieczętowany. Oboje chcemy śmierci Gerarda Ravensheada. Uzgodniliśmy to, prawda? - zapytała, choć to ona zażądała śmierci Ravensheada, bo taka była jej cena. A gdy Gordon pokiwał głową, dorzuciła: - Skoro tak, nic więcej nie musisz wiedzieć.

Podszedł do niej, wziął ją w ramiona i zamknął jej usta zachłannym pocałunkiem.

- Wiesz, że cię Kocham - szepnął namiętnie. - Nienawidziłem go za to, co zrobił Lisette, ale...

- Ale pozwoliłbyś mu żyć? - Spojrzała na niego jak na nędznego robaka. - Podcięła sobie żyły... wykrwawiła się na śmierć... a ty chciałbyś darować mu życie? Co za śmierdzący tchórz z ciebie! Myślałam, że masz więcej odwagi. Może powinnam sobie poszukać innego pomocnika.

- Nie! - Gordon chwycił ją za rękę, kiedy chciała się odwrócić. - Dopilnuję, żeby zginęła, a on będzie świadkiem jej śmierci. Przecież ci obiecałem.

- Ona musi zostać zhańbiona, a on ma to oglądać! Niech cierpi! Sama śmierć to dla niego zbyt mała kara.

- Co on ci zrobił, że go tak nienawidzisz?

- To już moja sprawa. - Jej oczy rozbłysły gniewnie. - Chcę zemsty i wiem, jak to zrobić. Zapomnij o czymś tak głupim jak zasadzka przy drodze. Będą przecież mieli nie tylko służbę, ale i uzbrojoną obstawę, a ci twoi durnie przy pierwszym wystrzale uciekną z podkulonymi ogonami. Mam znacznie lepszy pomysł. Słuchaj uważnie, co zrobimy...

- Żałuję, że nie możemy z wami pojechać. - Susannah gorąco uściskała Amelię na pożegnanie. Święta skończyły się i stopniały śniegi, ale w nocy chwycił mróz i ziemia stwardniała na kamień. - Wiem, że zobaczymy się w Coleridge, ale bardzo niepokoję się twoją podróżą.

- Zupełnie niepotrzebnie. - Amelia pocałowała ją w policzek. - Dziękuję za cudowne święta. Może w przyszłym roku wy przyjedziecie do nas?

- Obawiam się, że nasi krewni nie będą chcieli zrezygnować ze świątecznej wizyty, bo to już taka tradycja, ale z przyjemnością kiedy indziej przyjedziemy do was. Mam też nadzieję, że uda mi się wyrwać do Coleridge wcześniej niż w sam dzień balu.

- Wszystko przez to, że jesteś za dobra dla gości, więc nie zamierzają się stąd ruszyć - powiedziała Amelia ze śmiechem. - No, nie chcę, aby Gerard dłużej czekał. Bardzo mu na tym zależy, żebyśmy wyjechali jak najwcześniej.

- Zobaczymy się niedługo - zapewniła ją solennie Susannah. - Napisz do mnie zaraz po przyjeździe.

Amelia roześmiała się.

- Mówisz zupełnie jak Marguerite. Jest taka ciekawa wszystkich wieści. Muszę znów do niej napisać.

- Marguerite? - Susannah zmarszczyła brwi. - Chyba jej nie znam.

- Pewnie ci o niej nie mówiłam. Nasze kontakty urwały się kilka lat temu, po tragedii, która dotknęła jej rodzinę, ale jakiś czas temu odezwała się, i stąd wiem, jak ciężkie ma teraz życie. Od tamtej pory pisuję do niej co najmniej dwa razy w miesiącu, a czasem nawet częściej.

- Czy to twoje kolejne kulawe kaczątko? - ze śmiechem spytała Susannah.

- Sytuacja Marguerite jest bardziej skomplikowana. Jej rodzice nie są ubodzy, mają dosyć pieniędzy, by zapewnić jej sezon czy dwa w Londynie, ale nie chcą tego zrobić.

Marguerite nigdzie nie wychodzi bez swojej matki, a w domu jest trzymana bardzo krótko.

- Biedna dziewczyna! I co za rodzice. A może zasłużyła sobie na taki los?

- Już nie jest dziewczyną, ma tyle lat co ja, może nawet starsza o rok czy dwa. Nic złego nie zrobiła, dlatego tak jej współczuję. Rodzice obwiniają ją o coś, co przytrafiło się jej siostrze, a to nie fair.

- Musisz ją do siebie zaprosić - powiedziała Susannah. - Może uda ci się znaleźć jej męża? W końcu jest już w takim wieku, że nie musi mieć pozwolenia rodziców, prawda?

- Tak, ale jej ojciec to tyran i bardzo się go boi. Mam jednak pewien pomysł, choć nie wiem, czy będzie jej to odpowiadać. Już raz zaprosiłam ją do Bath, ale jej ojciec się na to nie zgodził.

- To naprawdę nie fair, zwłaszcza że nie zrobiła nic złego. - Susannah znowu ją uściskała. - Na szczęście biedaczka ma w tobie przyjaciółkę. Jestem pewna, że zdołasz jej pomóc.

- Napisałam już do Marguerite, jak tylko się dowiedziałam, że Lisa będzie potrzebowała nowej niańki. Rodzice Marguerite nie pozwolili jej wyjechać na sezon do Londynu czy Bath, ale może nie będą mieli nic przeciwko temu, aby zamieszkała ze mną na wsi i pomogła zaopiekować się małą, osieroconą w kolebce dziewczynką. Jestem pewna, że moglibyśmy ze spokojnym sumieniem zostawiać od czasu do czasu Lisę pod jej opieką

- Tak, a ponieważ ty lubisz gości, ona miałaby towarzystwo i porobiłaby znajomości. - Susannah klasnęła w ręce. - Jakaś ty mądra, Amelio! Mam nadzieję, że jej rodzice nie będą protestować.

- To się jeszcze okaże. Pozycja niańki może wprawdzie nie odpowiadać Marguerite, ale byłaby traktowana jak członek rodziny, poznałaby moich przyjaciół i może z czasem trafiłby się jej odpowiedni kandydat do ręki.

- Mam nadzieję, że wszystko się dobrze ułoży - powiedziała Susannah. - A teraz już naprawdę musisz iść, bo Gerard czeka w holu i widzę, że się niecierpliwi.

- Zatem do zobaczenia. Napiszę zaraz po przyjeździe, a za tydzień oczekujemy was w Coleridge.

Amelia pożegnała się z przyjaciółką i przeszła do holu, gdzie Gerard konferował o czymś z Harrym. Na jej widok odetchnął z ulgą.

- Musimy już jechać, Amelio. Przykro mi, że cię poganiam, ale chcę dotrzeć do Coleridge przed zmrokiem. Po drodze zmienimy konie, ale nie będziemy się zatrzymywać na dłużej. Kucharz Harry'ego przygotował dla nas prowiant, więc możemy zjeść po drodze.

- Tak, oczywiście. - Amelia spojrzała na Harry'ego. - Nie zapomni pan, o co pana prosiłam?

- Już się tym zająłem. Mój agent potraktuje tę sprawę jako pilną.

- Dziękuję. Jestem pańską dłużniczką.

- Nie, nie, Amelio. Poznałaś mnie z Susannah, więc to ja jestem twoim dozgonnym dłużnikiem. - Serdecznie ucałował jej dłoń na pożegnanie.

- Zatem do rychłego zobaczenie. - Z uśmiechem wyszła na dwór za Gerardem.

- O co chodzi, Amelio? - zapytał, patrząc na nią dziwnym wzrokiem. - Jeżeli potrzebujesz agenta, sam bym ci to załatwił.

- Wiem, i byłabym cię poprosiła, ale masz dosyć innych trosk na głowie. Poza tym nie chodzi o mnie, tylko o inną osobę, więc ciebie to nie dotyczy.

- Dobrze - mruknął Gerard, ale jego mina świadczyła o tym, że nie jest zachwycony.

Amelia nie mogła mu nic więcej powiedzieć, bo Emily stała przy powozie. Już i tak zmuszona była zdradzić pewne szczegóły Harry'emu, gdy go prosiła o wynajęcie agentów, więc wolała nie mówić o tym więcej niż to konieczne, nawet Gerardowi.

Patrząc na jego zasepioną minę, kiedy pomagał im wsiąść do powozu, Amelia z przykrością uznała, że go uraziła. Przecież nie chciała żadnych niesnasek przed ślubem. Wprawdzie sama poczuła się dotknięta po ich nocnej rozmowie w galerii, uznała jednak, że skoro Gerard tak dba o jej bezpieczeństwo, to znaczy, że mu na niej zależy. Czas romantycznych uniesień przeminął wraz z młodością. Sama przecież przystała na małżeństwo z rozsądku.

Nie mogła się już doczekać ślubu, kiedy razem rozpoczną nowe życie. Widmo zagrożenia przyćmiło nieco jej radość, ufała jednak Gerardowi i wierzyła, że potrafi ją

obronić. Ulżyło jej też niepomiarowo, że to nie jej brat próbował ją zamordować. Michael nie będzie zadowolony, kiedy dostanie od niej wiadomość, że zamierza wyjść za mąż za człowieka, którego już raz zabronił jej poślubić. Dlaczego był tak przeciwny temu małżeństwu? Przecież Gerard po tamtych zdarzeniach odziedziczył majątek, co radykalnie odmieniło jego pozycję. Nie był wprawdzie aż tak bogaty jak Harry Pendleton czy Max Coleridge, ale nie był też biedny, a jego posiadłość była wolna od obciążeń hipotecznych, toteż Michael nie powinien protestować.

Kiedy się rozsiadły w powozie, Amelia zwróciła się do Emily. Były same, gdyż Gerard postanowił przebyć wierzchem pierwszą część podróży, a pokojówki pojechały drugim powozem wraz z Lisą i jej opiekunką.

- Myślę, że przy następnym postoju powiem Lisie, żeby się do nas przesiadła. Nie masz nic przeciwko temu, Emily?

- Oczywiście, że nie. To wyjątkowo urocza i inteligentna dziewczynka. Sprawia też wrażenie starszej, niż jest, a ma już prawie pięć lat... - Choć próbowała się uśmiechnąć, cień przemknął przez jej twarz.

- Jesteś pewna, że chcesz jechać do Coleridge? A może wolałabyś poczekać w Bath, aż się urządzą w Ravenshead?

- Oczywiście, że chcę pojechać do Coleridge. Już się nie mogę doczekać, kiedy zobaczę Helene.

- Wiesz, że Toby Sinclair może się pojawić na balu?

- Tego nie unikniemy czy w Coleridge, czy przy innej okazji. - Emily uniosła dumnie głowę, choć usta jej drżały. - Pogodziłam się z tym, że mnie odtrącił. Panuję nad swoimi uczuciami. Nie będę już więcej rozpaczać, obiecuję.

Amelia uścisnęła jej rękę.

- Zachowałam się bardzo godnie, moja droga. Nic dziwnego, że oplakujesz utraconą nadzieję. Muszę jednak powiedzieć, że pan Sinclair mnie rozczarował.

- Nie mam do niego pretensji. Powinnam była powiedzieć mu prawdę, kiedy się zorientowałam, że się mną interesuje. To moja wina, że pozwoliłam, aby miał o mnie zbyt wysokie mniemanie.

- Nie wolno ci myśleć o sobie jako o kobiecie upadłej, Emily. To nie była twoja wina. Mówiłam ci o mojej przyjaciółce Lucindzie? - dorzuciła, bo Emily nie wyglądała na przekonaną. - Odebrała sobie życie, bo zabrakło jej odwagi, by urodzić nieślubne dziecko. Ty miałaś jej więcej, moja kochana, i jestem z ciebie dumna. - Dotknęła jej ręki. - A teraz mam do ciebie pewną prośbę...

- Mów, z radością spełnię każde twoje życzenie, Amelio.

- Otóż Lucinda miała siostrę, starszą o rok i nie tak ładną. Na imię jej Marguerite. Po śmierci Lucindy rodzice zaczęli ją traktować bardzo surowo. Nie pozwalali jej chodzić na tańce i zabronili życia towarzyskiego, a to z obawy, by nie spotykała się z mężczyznami. Może tylko towarzyszyć matce i jej przyjaciółkom, co musi być okropnie nudne dla młodej kobiety.

- Biedna Marguerite. - Emily uśmiechnęła się. - Domyślam się już, o co zamierzasz mnie poprosić, Amelio. Chcesz, żeby z nami zamieszkała, prawda?

- Napisałam do jej rodziców z zapytaniem, czy mogłaby zamieszkać w Ravenshead i pomóc w opiece nad Lisą. Jeżeli będzie jej to odpowiadało, mam nadzieję, że pomożesz Marguerite poczuć się u nas jak w domu.

- Możesz na mnie liczyć, jak zawsze. To nie fair, że została pozbawiona życia towarzyskiego tylko z tego powodu, że jej siostra padła ofiarą uwodziciela. Dobrze wiem, co ona czuje. - Emily głos zadrżał ze wzburzenia. - Potraktowano ją bardzo niesprawiedliwie!

- Kto może to wiedzieć lepiej niż ty, kochanie? - powiedziała Amelia. - Dlatego pomyślałam, że pomożesz Marguerite wrócić do towarzystwa. Pamiętaj jednak, że może ją to przerażać, przecież tyle lat była tak naprawdę więźniem w domu rodziców.

- Zrobię, co mogę - powiedziała Emily w zadumie. Serce Amelii wypełniło się uczuciem satysfakcji.

Emily, pomagając innej nieszczęśliwej istocie, przestanie rozmyślać o swoich smutkach, i być może już wkrótce obie jej przyjaciółki znajdą szczęście.

A na razie mogła tylko mieć nadzieję, że podróż przebiegnie bez zakłóceń, jako że eskortowała ich spora grupa uzbrojonych mężczyzn. Gerard i Harry woleli nie ryzykować, a ona mogła im tylko być wdzięczna za ich troskliwość.

Podczas krótkiego postoju, kiedy wymieniano konie, Lisa przesiadła się do powozu Amelii. Dziewczynka była grzeczna jak aniołek, również dlatego, że Amelia pomyślała o tym, aby wziąć ciekawą książkę z obrazkami. Ponieważ po drodze posilono się prowiantem przyszykowanym przez kucharza, nie trzeba się było zatrzymywać w zajeździe i kawałkami dotarła do Coleridge przed zmierzchem.

Helene wyszła im na powitanie i wyciągnęła serdecznie Amelię i Emily. Promieniując ze szczęścia, zwierzyła się przyjaciółkom, że jest przy nadziei.

- Max uważa, że to trochę za szybko, ale on się po prostu o mnie niepokoi - powiedziała, prowadząc je na górę. - Dałam wam sąsiednie pokoje połączone drzwiami. Mam nadzieję, że będzie wam u nas wygodnie. Nie mogłam się już doczekać waszej wizyty. Dobrze się bawiliście w Pendleton?

- Susannah już się o to postarała, jak zwykle - powiedziała Amelia. - Ucieszyła mnie twoja radosna nowina, kochanie. Ja także mam ci coś do zakomunikowania. Wychodzę za mąż!

- Amelio! To cudownie! Domyślam się, że za hrabiego Ravensheada?

- Tak. Gerard oświadczył mi się w Pendleton, a ja powiedziałam „tak”. Niestety jest ktoś, komu się to nie podoba, i już raz próbował nas powstrzymać.

- Jak to? - Helene spojrzała na nią z niepokojem. - Mówisz o twoim bracie?

- Michael nie życzył sobie tego mariażu, nawet mi go zabraniał, ale to nie on. Ten ktoś z radością ujrzałby nas w grobie, a już na pewno nie przed ołtarzem. Nie znamy jego prawdziwej tożsamości, ale podaje się za porucznika Gordona.

- Jak to możliwe? Kto mógłby żywić wobec was tak nikczemne zamiary? - spytała wstrząśnięta Helene.

- Nie mamy pewności. - Amelia zasepiła się. - Nie chciałabym cię denerwować, Helene, zwłaszcza w twoim stanie. Może wolisz, żebyśmy wyjechali...?

- Wykluczone! Skąd ta myśl? Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłaś, moje drzwi zawsze stoją przed tobą otworem. Pewna też jestem, że Max będzie chciał pomóc Gerardowi.

- Dziękuję, najdroższa. - Amelia uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Postanowiliśmy ogłosić nasze zaręczyny podczas balu.

- Tak się cieszę, Amelio! Zaczynałam się już obawiać, że nigdy nie wyjdiesz za mąż, ale teraz poślubisz hrabiego i będziesz z nim szczęśliwa, bo to dobry człowiek. - Helene odwróciła się do Emily. - A ty jak się miewasz, kochanie? Pewnie i ty masz dla mnie jakieś nowiny?

- Nie, przykro mi, ale nie. - Emily umknęła wzrokiem. - Poza tym nie opuściłabym Amelii, kiedy jestem jej tak bardzo potrzebna.

- Nie mogłabym się z tobą rozstać. - Amelia z miejsca wyczuła, ile kosztuje przyjaciółkę uśmiech. Helene świadomie nigdy nie sprawiłaby nikomu przykrości, i nawet jej przez myśl nie przeszło, że niewinnym pytaniem zraniła Emily. - Pewnie będziesz miała mnóstwo gości na balu, ale mam nadzieję, że znajdziesz miejsce dla dodatkowej osoby. Wspomniałam ci chyba o Marguerite w moim ostatnim liście?

- Tak, i od razu wysłałam jej zaproszenie, lecz nie dostałam żadnej odpowiedzi.

- Podejrzewam, że ojciec się nie zgodził, jednak napisałam też do jej mamy z prośbą, aby pozwoliła córce przyjechać i pomóc w opiece nad pasierbicą. Nie poznałaś jeszcze Lisy, bo niania zabrała ją na górę. To śliczna dziewczynka i mała kokietka.

- Nie mogę się już doczekać, żeby ją poznać. Na pewno pamiętasz, że starałam się o posadę nauczycielki w twojej ochronce. Dla Lisy los okazał się znacznie łaskawszy niż dla tamtych dzieci, bo ma ciebie i Gerarda.

- A także Emily, a być może już niedługo Marguerite - dodała z uśmiechem Amelia. - To będzie cud, jeśli jej całkiem nie przewrócimy w głowie. Cóż, straciła matkę w niemowlęctwie, a niańka, którą Gerard zatrudnił po przyjeździe do Anglii, okazała się okropną osobą... Chcę, żeby mała była zadowolona, a Marguerite nareszcie się wyzwoli spod kurateli rodziców. Powiedziałam jej, że zostaniemy tu do balu, a następnego dnia wyjedziemy do Ravenshead. Jeżeli miejsce przypadnie mi do gustu, a Gerard zapewnia mnie, że tak, osiadziemy tam na stałe. Oczywiście latem będziemy odwiedzać Bath, nie zapomnimy też o Londynie, ale naszym domem rodzinnym stanie się Ravenshead.

- Nie będziesz tęskniła za swoim starym domem?

- Może na początku, a już na pewno za ogrodem, ale jest na to lekarstwo. Po prostu założę ogród w Ravenshead. A posiadłość ciotki Agathy zachowamy dla naszego drugiego dziecka.

Po wejściu na piętro, gdzie znajdowały się sypialnie, Amelia zajrzała do Emily, a potem rozejrzała się po własnym pokoju.

- Widzę, że został świeżo odnowiony, i to w kolorach, które uwielbiam - skomentowała zadowolona.

- Owszem. Urządzono go specjalnie dla ciebie, bo jesteś moją najlepszą przyjaciółką. - Helene pocałowała ją w policzek. - Masz złote serce, Amelio. Nie pojmuję, jak ktoś mógłby chcieć cię skrzywdzić.

- Może to tylko wiele hałasu o nic - odparła lekceważąco. - Gerard i Harry przedsięwzięli szczególne środki ostrożności na czas naszej podróży, ale nic się nie wydarzyło. Może po pierwszym błędzie ten nikczemnik uznał, że nie warto próbować po raz drugi. - Widząc zaskoczenie przyjaciółki, Amelia opowiedziała jej o niedawnym porwaniu Emily, które nie zakończyło się tragedią jedynie dzięki interwencji markiza Northavena.

- Powiedział ci, że Emily została uprowadzona przez pomyłkę, zamiast ciebie? - Helene nie kryła zdumienia. - Przypomina mi to te zamachy na życie Maksa. Wtedy też myśleliśmy, że mógł za tym stać jego kuzyn, a tymczasem się okazało, że to lekarz kuzyna. Czasem bardzo trudno się domyślić, kto ci źle życzy.

- Mam nadzieję, że nie będziesz się tym zbyt stresować, moja droga. Może jednak byłoby lepiej, gdybyśmy wyjechali przed balem...

- To byłby dopiero stres! - Helene uniosła dumnie głowę. - Nie bałam się, kiedy grożono mi śmiercią... no, może odrobinę, kiedy już było po wszystkim. Nie chcę, żebyś wyjeżdżała, Amelio. Max pomoże Gerardowi schwytać tego złoczyńcę. Przecież Gerard też nam kiedyś pomógł, podobnie jak pan Sinclair... - Zmarszczyła brwi. - Myślałam, że Toby Sinclair oświadczy się Emily.

- Prawdę mówiąc - po krótkim wahaniu odparła Amelia - zrobił to podczas świąt, ale mu odmówiła.

- Odmówiła panu Sinclairowi? Dlaczego? Nie pojmuję, przecież jakby został dla niej stworzony.

- Miała swoje powody. Lepiej z nią na ten temat nie rozmawiaj, Helene, chyba że sama ci się zwierzy, co niewykluczone, bo się przecież przyjaźniłyście.

- Nadal się przyjaźnimy. Emily pisuje do mnie od czasu do czasu. - Helene zadumała się na moment. - Wiem, że coś ją gnębi, bo wiele razy dostrzegałam skrywany smutek w jej oczach, ale nie będę o nic pytać, obiecuję.

- Powiem ci tylko tyle, że zanim do mnie trafiła, wiodła bardzo nieszczęśliwe życie. Przyznam ci się, że ja też już ją widziałam jako żonę pana Sinclaira, ale cóż, widocznie jednak wspólna przyszłość nie jest im pisana. Po jej odmowie od razu wyjechał z Pendleton i od tamtej pory nie dał znaku życia.

- Więc wy nie wiecie, że jego ojciec zmarł?

- Och, nie! Co za smutna wiadomość. Prawdę mówiąc, dziwiłam się, że tak nagle wyjechał. Susannah powiedziała mi wprawdzie, że został pilnie wezwany do domu, ale nie miałam pojęcia, że sytuacja była aż tak poważna.

- Wyjątkowo poważna. Max dostał dziś rano list. Toby przekazał nam tę wiadomość, napisał też, że nie jest pewny, czy będzie mógł przyjechać, bo jego matka i siostry są strasznie przygnębione, więc nie chce ich tak od razu zostawiać samych. Toby z pewnością napisał też do Harry'ego i Susannah, ale list mógł nie dotrzeć do Pendleton przed waszym wyjazdem.

- Oczywiście, bo przecież by mi powiedzieli. Dla rodziny to czas żałoby, więc nie przypuszczam, żeby Toby wybierał się na bal. Pomyśl tylko, jak by to wyglądało? - Amelia wiedziała już, jak bardzo niesprawiedliwie oceniła pana Sinclaira. Uważała, że postąpił okrutnie i niegrzecznie wobec Emily, wyjeżdżając bez słowa wyjaśnienia, skoro jednak dostał tak straszną wiadomość i po przyjeździe do domu zastał ojca na łożu śmierci, trudno od niego wymagać, aby natychmiast pisał do Emily. - Teraz musi się zająć matką i siostrami, ma też mnóstwo spraw do załatwienia. Wyobrażam sobie, co przeżywa.

- Jest straszliwie smutny, czuło się to w każdym słowie listu. Przykro mi, że Emily mu odmówiła... Może się jeszcze zastanowi?

- Oby tak było, obawiam się jednak, że w tej chwili to niemożliwe.

Pozostawiona samej sobie, Amelia zdjęła pelisę i czepek oblamowany futrem. Wiadomość o śmierci ojca pana Sinclaira zmartwiła ją ogromnie. Nie wiedziała, czy rodzina była na to przygotowana, ale nawet jeśli tak, musiał to być dla nich wielki cios. Z

drugiej strony jeżeli Toby nie napisał, że z całą pewnością nie pojawi się w Coleridge, może to oznaczać, iż nie porzucił tak do końca myśli o poślubieniu Emily. Postanowiła przekazać przyjaciółce smutne wieści, nie będzie jednak spekulować co do intencji pana Sinclaira. Bo jeżeli ma jakieś zamiary, zadeklaruje się w stosownym czasie.

Amelia znowu pomyślała o Marguerite. Dołoży wszelkich starań, aby i ona miała okazję poznać jakiegoś przyzwoitego kawalera, a potem pomoże jej przekonać rodziców, gdyby jej się trafiła szansa na stosowny mariaż.

Rozdział szósty

- Umarł ojciec pana Sinclaira? Jakie to smutne - powiedziała wstrząśnięta Emily po wysłuchaniu wieści od Amelii. - Nie miałam pojęcia, że tak ciężko chorował.

- Myślę, że nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, jak poważny był jego stan, w każdym razie nikt spoza najbliższej rodziny.

- A ja sądziłam... ale ze mnie egoistka! Myślałam tylko o sobie i swoich zmartwie- niach. - Emily zarumieniła się. - Jeżeli pochłonęły go rodzinne problemy... Nie, nie mam prawa robić sobie żadnych nadziei. Przecież gdyby chciał się ze mną skontaktować, mógł do mnie napisać.

- Pewnie miał za dużo spraw na głowie.

- Mówiłaś, że napisał do Helene, to i do nas mógł wysłać list.

- A jeśli uznał, że list nie byłby stosowny w tych okolicznościach? Może chce ci to powiedzieć osobiście? - zastanawiała się Amelia.

- Próbujesz mnie pocieszyć, ale nie widziałaś wyrazu jego twarzy, kiedy mu po- wiedziałam o dziecku. - Emily uniosła głowę. - Głupotą byłoby się spodziewać, że śmierć jego ojca cokolwiek zmienia. Jeżeli pan Sinclair przyjedzie do Coleridge, przywi- tam go, jakby nic między nami nie zaszło. Myślę jednak, że jego matka będzie go teraz potrzebować przez jakiś czas.

- Pewnie tak, ale nie trać nadziei, dobrze?

- Jak w ogóle mogłam myśleć o małżeństwie? Ojciec powiedział mi, że żaden przyzwoity mężczyzna mnie nie zechce, i miał rację... - Oczy jej zwilgotniały, zdołała się

jednak opanować. - Może powinniśmy zejść na dół, Amelio? Nie wypada, żeby na nas czekali.

Amelia wiedziała, że tylko czas może uleczyć zranione serce przyjaciółki. Miała nadzieję, że Toby Sinclair nie pojawi się w Coleridge, dopóki nie będzie miał czegoś ważnego do zakomunikowania Emily.

- Teraz, kiedy poznałam okoliczności, gotowa jestem sporo mu wybaczyć - powiedziała Amelia do Gerarda, gdy spacerowali w pałacowej galerii. - Uważam jednak, że mógł się zdobyć na ten drobny wysiłek i napisać do Emily, choćby tylko po to, aby ją zawiadomić o śmierci ojca.

- Czasami tak trudno się zabrać do pisania. - Gerard spojrzął na nią w zadumie. - Pomyśl tylko o tych zmarnowanych latach, Amelio. Gdybym wtedy do ciebie napisał, oszczędzilibyśmy sobie wielu cierpień. Gdybyś wiedziała, ile nocy przemęczyłem się, myśląc o tobie, tęskniąc za tobą. Jak mogłem na to pozwolić, aby twój brat zatruł mi duszę? Uwierzyć w jego kłamstwa, że napisał ten okrutny list na twoje życzenie?

- Tak ci powiedział? Jak śmiał! Przecież wiesz, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła.

- Później, kiedy to sobie przemyślałem, zrozumiałem, jakim byłem głupcem, że mu uwierzyłem. Niestety z początku było we mnie zbyt wiele goryczy. Kiedy się żeniłem z Lisette, żywiłem głęboką urazę do ciebie i Michaela. A potem było już za późno...

Amelia zrobiła krok w jego stronę. Całe jej ciało pulsowało pożądaniem. W jednej chwili zapomniała o należytej rezerwie.

- Nie byłeś osamotniony w swojej rozpacz, Gerardzie. Myślałam, że już nigdy nie poznam rozkoszy miłości... nie poczuję dotyku ręki kochanka, bo nie potrafiłam o tobie zapomnieć, chociaż inni mnie o to prosili.

- Popęłniłabyś grzech - powiedział z uśmiechem. - Wiem, jaka jesteś namiętna. - Wyciągnął ręce i nachylił się, aby ją pocałować, a ona się nie cofnęła. - Już się nie mogę doczekać naszej nocy poślubnej.

- Ja też nie.

- Więc może nie musimy czekać... - Chciał ją znów pocałować, lecz rozległ się jakiś szelest, zaraz też Gerard dostrzegł kobietę, która przyglądała się im z drugiego końca galerii. - Nie jesteśmy sami.

- Wybaczcie mi. - Wysoka, szczupła blondynka ruszyła w ich stronę. Miała włosy zaczesane gładko do tyłu, prosta szara suknia nie przydawała jej uroku. - Lady Coleridge sugerowała, że mogę was tutaj znaleźć. Chciałam ci tylko powiedzieć, że już jestem, Amelio. Nie miałam zamiaru wam przeszkadzać.

- Marguerite! - wykrzyknęła zdumiona Amelia. - Droga przyjaciółko! Tak się cieszę, że jednak tu dotarłaś. Miałam nadzieję, że rodzice ci pozwolą, ale nie dostałam wiadomości o twoim przyjeździe.

- Nie czułam się dobrze, ale to nie było nic poważnego, tylko zwykłe przeziębienie. Mama uznała, że zmiana powietrza dobrze mi zrobi, poza tym chciała ci pójść na rękę.

- A jak się czuje twoja mama?

- Bardzo dobrze, dziękuję.

- Gerardzie, pozwól, że ci przedstawię pannę Marguerite Ross. Gdy byłam dzieckiem, jej rodzina mieszkała blisko nas, mogliście się więc spotkać tego lata, kiedy bawiłeś z wizytą w sąsiedztwie. Max i jego kolega także przebywali wtedy w okolicy... Marguerite, przedstawiam ci mojego narzeczonego, hrabiego Ravensheada. To jego córeczką miałabyś się zaopiekować.

- Nie sądzę, żebyśmy się już kiedyś spotkali, bo z pewnością bym panią zapamiętał. - Gerard wyciągnął rękę. - Przyjaciele Amelii zawsze są przeze mnie mile widziani, panno Ross.

Wydawał się zaskoczony, więc Amelia dodała:

- Jej rodzice rzadko bywają w towarzystwie, dlatego mało prawdopodobne, byście się poznali na jakimś balu czy przyjęciu. Zaprosiłam Marguerite do nas, mając nadzieję, że pomoże nam przy Lisie. Rzecz jasna nie będzie wyręczać niańki, ale Marguerite często powtarza, że uwielbia dzieci. Prawda, kochanie?

- Oczywiście, Amelio. - Nie ujęła wyciągniętej ręki Gerarda, tylko dygnęła z pochyloną głową. - Jestem pewna, że się nie znamy, sir. Bardzo się cieszę, że tu jestem, i mam nadzieję, że będę mogła pomóc panu i Amelii.

- Z całą pewnością bardzo nam pomożesz. - Amelia uśmiechnęła się do niej. - I nie myśl sobie, że będziesz służącą, choć oczywiście dostaniesz wynagrodzenie. Przyjaźniemy się i ogromnie się cieszę, że z nami zamieszkas, będę też spokojna, że Lisa jest w dobrych rękach.

- Obiecuję dbać o nią jak o swoje dziecko - zapewniła ją Marguerite. - A teraz nie chcę wam już dłużej przeszkadzać. - Odwróciła się, by odejść.

Jednak Amelia zatrzymała ją, po czym spojrzała na narzeczonego.

- Przepraszam na chwilę, Gerardzie, ale chcę sprawdzić, czy Marguerite już się rozlokowała, i przedstawię ją Lisie...

- Tak, oczywiście. W takim razie pójdę porozmawiać z Maksem. Zobaczymy się wieczorem.

- Więc nie jestem ci w tej chwili potrzebna?

- Nie, idź z panną Ross.

Amelia wzięła Marguerite po rękę i skierowała się w stronę schodów. Było jej przykro opuszczać Gerarda, który stał i patrzył w ślad za nimi. Przed chwilą uczynili spory krok naprzód we wzajemnych relacjach, dlatego żałowała, że im przerwano. Mają jednak przed sobą całe życie, a ona musi sprawdzić, czy Marguerite zapewniono należyte wygody.

Gerard odprowadzał je wzrokiem, pogrążony w zadumie. Powiedział, że nie zna panny Ross, bo rzeczywiście nie przypominał sobie, żeby ją kiedykolwiek widział, tyle że nazwisko wcale nie było mu obce. Poza tym panna Ross popatrzyła na niego tak dziwnie, kiedy usłyszała jego zapewnienie, że nigdy dotąd się nie spotkali. Przysięgłby, że zobaczył błysk irytacji w jej oczach.

Czy to możliwe, że jednak kiedyś byli sobie przedstawieni? To policzek dla kobiety, jeśli mężczyzna, z którym kiedyś się spotkała, twierdzi, że jej nie pamięta. Czyżby właśnie popełnił okropną gafę? Tyle że gdyby kiedyś już spotkał pannę Ross, na pewno by ją zapamiętał. Nie była wprawdzie piękną, ale gdyby ją lepiej ubrać, uchodziłaby za atrakcyjną kobietę. Przypominała mu kogoś... Tylko kogo? No i to nazwisko... Chyba gościł kiedyś u jakichś Rossów...?

Nieważne, z czasem na pewno sobie przypomni. Machnął ręką i udał się na poszukiwanie Maksa. Liczył wprowadzić na jakąś godzinę czy dwie w towarzystwie Amelii, ale skoro była zajęta, to pogawędzi tymczasem z przyjacielem.

- Masz strasznie zasepioną minę - powiedział lord Max Coleridge, kiedy Gerard wszedł do biblioteki. - Czym się martwisz? Chyba nie próbowano znów ci grozić?

- Nie, chociaż ta popsuta lalka według Northavena miała być ostrzeżeniem, a nie groźbą. Jak wiesz, spodziewałem się, że będą nas próbowali zatrzymać w drodze do Coleridge. Nietrudno byłoby to zorganizować w taki sposób, by wyglądało na zwykły napad rabunkowy. Byliśmy jednak odpowiednio uzbrojeni, by odeprzeć ich atak, a ja dam sobie głowę uciąć, że doskonale o tym wiedzieli, więc mogli odstąpić od tego pomysłu. I znów powraca to samo pytanie: skąd czerpią te wszystkie informacje?

- Myślisz, że mamy wśród nas szpiega? - Max Coleridge zmarszczył brwi. - Może to ktoś ze służby, na przykład ta zwolniona niańka?

- Owszem, mogła przekazać informację o moich matrymonialnych planach, ale wątpię, by wcześniej wiedziała o istnieniu Amelii.

- Ufasz Northavenowi? Jak już słyszałem, wykradł pannę Barton porywaczom i odwiózł do Pendleton. Tyle że mógł to ukartować, by zdobyć twoje zaufanie.

- Wzięliśmy z Harrym pod uwagę i tę możliwość, wierzymy jednak szczerze w jego chęć poprawy. Myślę, że źle go ocenialiśmy. Owszem, nie jest rycerzem w lśniącej zbroi, ale nie jest również zdrajcą.

- Mówiłeś, że Northaven wie, gdzie szukać tego całego porucznika Gordona. - Max strzepnął niewidzialny pyłek z rękawa. - Odezwał się już?

- Nie, jeszcze nie. Może Gordon zrezygnuje, skoro wie, że i my o nim wiemy.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Szczerze mówiąc, nie. - Gerard ciężko westchnął. - Miałem nadzieję, że się zniechęci, bo pomyśli, że jesteśmy zbyt dobrze strzeżeni, ale pewnie tylko stanie się jeszcze bardziej przebiegły.

- No właśnie. Musimy być czujni przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, Gerardzie. Helene zaprosiła takie tłumy na bal, że będzie to idealny moment na atak. Oczy-

wiecie wyznaczę ludzi do patrolowania okolicy przez całą noc, ale myślę, że powinniśmy też postawić nocą strażnika pod drzwiami Amelii. Tak na wszelki wypadek.

- Byle tylko panie o tym nie wiedziały. Trzeba przebrać strażników za lokajów, żeby nie wystraszyć gości.

- Racja. Mamy tutaj wystarczającą ilość liberii dla twoich ludzi, Gerardzie.

- A może wolisz, żebyśmy wrócili do domu, oszczędzając ci niepotrzebnych kłopotów?

- Niech cię diabli, Gerard! Zapomniałeś, cośmy sobie przysięgli w Hiszpanii? No i gdyby nie ty, Helene mogła umrzeć zeszłego lata. Byłeś wtedy przy mnie, to ja będę teraz przy tobie.

- Dziękuję. Ty i Harry jesteście najlepszymi przyjaciółmi, jakich można sobie wymarzyć. - Gerard umilkł na moment. - To dziwne, ale czuję się strasznie rozstrojony. Jakby intuicja mi podpowiadała, że niebezpieczeństwo jest bliżej, niż nam się wydaje...

- Emily, kochanie, pozwól, że ci przedstawię pannę Ross. Wspominałam ci już, że Marguerite ma z nami zamieszkać.

- Miło mi panią poznać, panno Ross. - Emily dygnęła. - Nazywam się Emily Barton i jestem damą do towarzystwa Amelii. Mam nadzieję, że będzie się pani u nas dobrze czuła. Nie tyle mam nadzieję, co jestem tego pewna. Amelia to bardzo wielkoduszna osoba.

- Panno Barton... Mogę mówić pani Emily? - Marguerite uśmiechnęła się nerwowo. - Jestem taka rada, że Amelia napisała do mojej mamy. Moje życie trudno nazwać szczęśliwym, zwłaszcza od czasu... - Pokręciła z westchnieniem głową. - Nie, nie będę wracać do przeszłości. Teraz jestem tutaj i już się nie mogę doczekać, kiedy przystąpię do moich obowiązków.

- Och, nie będą zbyt uciążliwe - z uśmiechem oznajmiła Amelia. - Lisa oczywiście ma nianię. Mary dba o ubrania i ją karmi. A ciebie proszę tylko, żebyś jej czytała, bawiła się z nią i pomogła uczyć się z książek, które dostarczę. Lisa jest jeszcze za mała na guwernantkę, ale potrzebuje przyjaciół Chcę, żebyś była jej przyjaciółką, Marguerite.

- To rozkoszna dziewczynka, więc nietrudno będzie zostać jej przyjaciółką - powiedziała Marguerite. - Ma szczęście, że trafiła na taką macochę jak ty, Amelio. W po-

dobnej sytuacji na ogół kobiety odzęgnują się od cieplejszych kontaktów z córką męża z jego poprzedniego małżeństwa. Zatrudniają surową niańkę i trzymają się z daleka od pokoju dziecinnego.

- Hrabia niedawno zwolnił jej niańkę za to, że była zbyt surowa - odezwała się Emily, marszcząc brwi.

- Ach, tak? - Marguerite pokiwała głową. - Nasza niania też była bardzo surowa. Miała nakazane od papy, że ma trzymać nas krótko i nauczyć dobrych manier. Muszę przyznać, że nam to nie zaszkodziło.

- Jestem pewna, że nie - powiedziała Amelia - ale kocham Lisę jak rodzoną córkę i chcę z nią spędzić trochę czasu każdego dnia. A gdyby nie było to możliwe, będę przynajmniej spokojna, że jest pod twoją opieką. Wiem, że moja kochana Emily też by się nią zajęła, ale może mieć inne sprawy na głowie. Emily tyle dla mnie zrobiła.

Amelia uśmiechnęła się do niej. Gdyby nie nadzieje na zamążpójście Emily, z pewnością nie sprowadziłaby Marguerite, ale teraz była zadowolona, że to zrobiła. Biedaczka miała okropne życie, bo rodzice odgrywali się na niej za hańbę jej siostry, a to przecież rażąca niesprawiedliwość.

- Nie myśl też sobie, że cię tu zaprosiłam tylko po to, żebyś zaprzyjaźniła się z Lisą. Będiesz traktowana jak członek rodziny, oczywiście weźmiesz też wraz z nami udział we wszystkich towarzyskich okazjach. Lady Coleridge wydaje bal w ten weekend. Mam nadzieję, że posiadasz stosowną suknię.

- Nie miałam nowej sukni balowej od lat - odparła przygnębiona Marguerite. - Nie przyszło mi do głowy, że będę jej potrzebować. Przywiozłam bardzo mało rzeczy.

- Jesteśmy podobnych wymiarów. - Amelia zlustrowała ją wzrokiem. - Myślę, że moje stroje będą na ciebie pasować, choć zapewne trzeba będzie trochę skrócić halki. Mam nową zieloną suknię, której nigdy nie nosiłam. Myślę, że będzie ci w niej do twarzy. - Spojrzała na jej stopy. - Choć buty nie będą dobre na ciebie, bo mam mniejszą nogę niż ty. Emily, może ty masz pantofelki balowe, które pasowałyby na Marguerite?

- Tak, i włożyłam je tylko raz. Możesz przymierzyć. Z przyjemnością ci je ofiaruję, bo poza tymi mam jeszcze kilka par.

- Jesteście dla mnie takie dobre. - W oczach Marguerite zalśniły łzy. - Nie wiem, jak wam dziękować.

- Po przyjeździe do Ravenshead zamówię szwaczkę i szewca. Będę potrzebowała ślubnej wyprawy, to i z ciebie zdejmą miarę - powiedziała Amelia. - Nie, nie dziękuj mi, kochanie. Los był dla mnie łaskawy, więc z radością pomagam tym, którzy mieli mniej szczęścia.

Marguerite otarła oczy chusteczką, rozsiewając zapach różanej wody.

- Nie wiem, czym sobie zasłużyłam na taką dobroć z waszej strony.

- Bardzo przeżyłam śmierć Lucindy - odparła Amelia. - Była przecież moją przyjaciółką. Ciebie nie znałam tak dobrze, ale często o tobie myślałam. Szkoda, że nie wiedziałam, jak po tragicznym odejściu siostry smutne stało się twoje życie, bo już wcześniej bym ci pomogła. Wiem, że mama nie pozwoliła ci ze mną zamieszkać, ale gdybym się do niej zwróciła osobiście, może wyraziłaby zgodę. Napiszę do niej i podziękuję za to, że cię teraz puściła.

- Mama bardzo cię podziwia, Amelio. Na pewno nie potrzebuje podziękowań za coś, co ją kosztowało tak niewiele.

- Mimo wszystko do niej napiszę. Cieszę się, że będziesz nam dotrzymywać towarzysztwa. - Odwróciła się do Emily, dlatego nie zauważyła dziwnego spojrzenia, jakim obrzuciła ją Marguerite. - Kochana, pomożesz naszej przyjaciółce się rozłokować? A ja w tym czasie wybiorę kilka sukien, których nie będę potrzebowała. Każę ci je później przynieść do pokoju, Marguerite. W zieleniach i błękitach będzie ci bardziej do twarzy niż w tej burej sukni.

- Chodź ze mną, Marguerite - powiedziała Emily. - Pokażę ci pokoje, które zazwyczaj zajmujemy, a potem będziesz mogła przymierzyć pantofelki balowe.

Amelia wybrała sześć sukien, które jej zdaniem mogły się spodobać Marguerite. Dotąd nigdy nienoszona zieloną balową, błękitną wieczorową, srebrzystoszarą wieczorową, dwie popołudniowe oraz poranną domową w zielone paski. Dorzuciła do nich nazywany cekinami szal, dwie pary wieczorowych rękawiczek i aksamitną wieczorową torebkę.

Na czas pobytu w Coleridge Marguerite zostanie więc odpowiednio wyposażona, natomiast po przyjeździe do Ravenshead Amelia sprowadzi krawcową dla całej ich trójki.

- Martho, zanieś, proszę, te suknie do pokoju panny Ross - poleciała. - Weź najpierw tę srebrzystoszarą, reszta może poczekać. Nie wiem, czy panna Ross ma jakąś suknię wyprasowaną na ten wieczór, a ta jest już gotowa do włożenia.

- Dobrze, panno Royston. Czy na pewno chce pani oddać tę balową suknię? Jest zupełnie nowa, a do tego w pani ulubionym kolorze.

- Jest mi w niej do twarzy, ale mam dużo innych, natomiast moja przyjaciółka mogła ze sobą zabrać tylko skromne bagaże, więc będzie nosiła te suknie, dopóki nie zamówię nowych.

- Rozumiem, chciałam się tylko upewnić.

Kiedy pokojowa wyszła, Amelia uśmiechnęła się do niebie. Była już ubrana wieczorowo i zamierzała zejść do salonu jak najwcześniej.

Oczywiście zauważyła, że przyjazd Marguerite zaskoczył Gerarda, musi więc mu wyjaśnić, że go nie uprzedziła, bo sama nie była pewna, czy przyjaciółka się zjawi, a już zupełnie się nie spodziewała, że zawita bez listownego uprzedzenia.

Mając wreszcie chwilę dla siebie, mogła spokojnie przemyśleć to, co się wydarzyło w galerii. Gerard pocałował ją, a ona się nie broniła. Do czego mogłoby dojść, gdyby nie przerwała im Marguerite?

Gerard po raz pierwszy rozmawiał z nią szczerze o swoich uczuciach. O tym, jak bardzo był nieszczęśliwy i upokorzony, kiedy odmówiono mu jej ręki.

A potem, kierowany nie miłością, ale współczuciem, ożenił się z Lisette. Czy nie był w stanie pokochać swojej żony, bo w głębi serca nadal marzył o Amelii?

Pocałunek, którym ją obdarzył, był zachłanny i namiętny. Tak mężczyzna całuje kobietę, której szczerze pragnie. Może więc kochał ją na swój sposób...

- Zdaję się całkowicie na ciebie - powiedział Gerard, kiedy Amelia wytłumaczyła mu, dlaczego zaprosiła Marguerite. Spotkali się przed kolacją w bibliotece, by pobyć przez chwilę tylko we dwoje. Ogień płonął na kominku, paliły się świece, więc pokój toął w ciepłej, złotej poświacie. - To smutne, że panna Ross była tak źle traktowana. Kie-

dy się z nią witałem, byłem pewny, że jej nie znam, ale to nazwisko... Najpierw nie wiedziałem, do kogo je dopasować, ale wreszcie wróciła mi pamięć. Czy Lucinda Ross, niešťczesna panna, która kilka lat temu popełniła samobójstwo, była siostrą Marguerite?

- Tak. Biedna Lucinda nie poradziła sobie z problemami. To się stało tamtego lata... Kiedyś myślałam... - Przerwała na moment. - Northaven... wiem, że był u nich kilka razy. Kiedyś nawet widziałam, jak flirtował z Lucindą w ogrodzie.

- Z Harrym też byliśmy u Rossów na kilku przyjęciach, tyle że Harry nigdy by nie uwiódł panny z dobrego domu. Ja też nie, skoro już o tym mowa, poza tym w owym czasie myślałem tylko o tobie, dlatego te wizyty zatarły mi się w pamięci... - Zmarszczył brwi. - No, teraz pamięć wróciła. Poznałem Lucinę, choć w ogóle nie przypominam sobie, jak wyglądała. Jej siostra pewnie bardziej mi się spodobała, bo przypominam sobie, że kilka razy z nią tańczyłem, ale nie było między nami choćby najbardziej niewinnego flirtu. Podobnie jak Lucindy, Marguerite też nie pamiętam z tamtych czasów, ale mogła się zmienić. Ta suknia i uczesanie nie są korzystne dla młodej kobiety.

- Nie przeszkadza ci, że będzie u nas mieszkała przez jakiś czas? Nie jest piękna, ale odpowiednio ubrana bardzo zyska, stanie się naprawdę całkiem atrakcyjna. Mam nadzieję, że przebywając u nas, pozna stosownego kawalera.

- Znowu bawisz się w swatkę? - z czułą kpinką spytał Gerard.

- Nie, bo jak na razie nie mam dla niej kandydata, ale chcę dać Marguerite to, czego jej tak długo odmawiano. Poza tym ona uwielbia dzieci i będzie mi pomagać.

- Skoro tak, to świetnie, że przyjechała. Cieszysz się na ten bal?

- Ależ oczywiście. - Spojrzała mu w oczy. - Kiedy ogłosimy zaręczyny, nikt nie będzie mógł powiedzieć słowa, nawet gdybyśmy przetańczyli razem całą noc, chociaż byłby to nietakt względem reszty przyjaciół.

- Pewnie skończyłoby się pojedynkiem o świcie, gdybym miał chęć zagarnąć cię na całą noc... - Uśmiech zamarł mu na twarzy.

Gerard błyskawicznie podskoczył do drzwi i je otworzył.

- Co się dzieje? - dopytywała się zdumiona.

- Wydawało mi się... no, właściwie jestem pewien, że ktoś podsłuchiwał za drzwiami, ale uciekł, nim zdążyłem go zobaczyć - oznajmił posepnie.

- Ktoś nas podsłuchiwał?! - wykrzyknęła zdumiona Amelia. - W tym domu? Kto mógłby nas tu szpiegować?

- Sam chciałbym to wiedzieć, Amelio. Może to głupie, ale odkąd tu przyjechaliśmy, wciąż jestem podenerwowany.

- Spodziewałeś się ataku w trakcie podróży, prawda? - drażyla.

- Nic się nie wydarzyło, choć byliśmy na to przygotowani. I może dlatego nasi wrogowie zmienili plany... Amelio, ja i moi przyjaciele jesteśmy zaprawionymi w bojach oficerami, wiedz też, że jestem gotów zastrzelić każdego, kto wykaże wrogie zamiary wobec ciebie, do tego zorganizowaliśmy dobrą ochronę, a jednak cały czas się boję, że szykuje się coś naprawdę okropnego, znacznie gorszego niż to, co zdarzyło się do tej pory.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Tak mi mówi intuicja. Nie zawiodła mnie nigdy w Hiszpanii, dzięki czemu żyję, a także przy paru innych okazjach.

Amelię na moment ogarnął obezwładniający lęk. Dotarła do niej cała przerażająca prawda, że dzieje się coś, czego nie potrafi zrozumieć i na co nie ma żadnego wpływu. Zło kryło się w ciemnościach, by w najmniej spodziewanym momencie wychynąć na światło i uderzyć z całą mocą.

Opanowała panikę, ale nie strach.

- Gerardzie, nie będę udawać, że się nie boję - wyznała szczerze.

- Może jednak się wycofasz, zanim będzie za późno? Mógłbym odejść, oddalając od ciebie niebezpieczeństwo, bo czuję, że tu chodzi o mnie.

- Nie! Już ci mówiłam, że nie dopuszczę do tego, aby coś miało nas rozdzielić. Naprawdę potrafiłbyś odejść, skazując mnie na dożgonną samotność? - Chwyła go za kłapy fraka. - Miałabym umrzeć jako niespełniona, rozgoryczona stara panna? - Z jej oczu wycierała rozpacz. - Nie zdajesz sobie sprawy z moich uczuć, a także z moich pragnień, które zupełnie nie przystoją niezamężnej kobiecie.

- Moja najdroższa! Jak możesz mnie posądzać o obojętność? Jesteś taka piękna. Każdy mężczyzna marzyłby o takiej żonie. - Pocałował ją zachłannie. - Na rozstanie zdecydowałbym się tylko wtedy, gdyby stanowiło gwarancję twojego bezpieczeństwa.

- Wolę już umrzeć, niż gdybyś miał odejść.

- Nigdy! - wykrzyknął, spoglądając w jej rozplamioną twarz. - Nikomu nie uda się rozdzielić nas po raz drugi.

- Możesz mi to przysiąc?

- Przysięgam na moje życie. Tylko śmierć może nas rozłączyć.

- Gerardzie... - Przylgnęła do niego, podając usta do pocałunku. - Pragnę cię, chcę być już bez reszty twoja.

- I ja cię pragnę, najdroższa. Żałuję, że nie jesteśmy w Ravenshead, bo mógłbym przyjść do ciebie, nie rujnując twojej reputacji. Jednak w Coleridge nie chciałbym nadużywać gościnności naszych przyjaciół.

- W Ravenshead nie będziemy już czekać ani chwili dłużej - oznajmiła stanowczo.

- Tak, ukochana. Już nigdy się nie rozstaniemy. - Przypieczętował te słowa czułym pocałunkiem.

Ukryta za grubą kotarą postać skuliła się we wnęce pod oknem. Przez moment wyglądało na to, że Ravenshead zorientował się, iż jest podsłuchiwany, ale podszedł do drzwi, za którymi nikogo nie było, uznał więc, że się pomylił. Całe szczęście! Hrabia jest przekonany o swojej mądrości, ale czas zemsty się zbliża. Myśl słodka jak miód dla tych, którzy go nienawidzą. Już niedługo zapłaci za swoje winy...

Amelia czuła się szczęśliwa jak nigdy dotąd. Nie miała już żadnych wątpliwości, że Gerard gorąco jej pragnie. Może nie kocha tak mocno jak kiedyś, ale nie żeni się z nią z rozsądku. W ich związku nie zabraknie namiętności, za którą tak tęskniła. Nie mogła się już doczekać, kiedy przyjadą do Ravenshead... i będą mogli stać się jednym ciałem i jedną duszą.

Zwlekała z pójściem na górę tak długo, jak tylko było to możliwe, lecz Gerard, który z innymi dżentelmenami rozprawiał o polityce, posłał jej przepaszające spojrzenie. Amelia wiedziała, że musi uzbroić się w cierpliwość; za kilka dni wyjadą z Coleridge, a wtedy...

Błogi uśmiech błąkał się na jej ustach, gdy zasiadała przy biurczku i zaczęła wyjmować przybory do pisania. Przygotowała kilka arkuszy papieru i umoczywszy pióro w

kałamarzu, zabrała się do korespondencji. Nie chciało jej się jeszcze spać, postanowiła więc zakomunikować najbliższym przyjaciółom nowiny, które ich z pewnością ucieszą.

Pisała przez jakieś pół godziny, po czym włożyła listy do kopert i zapieczętowała, zostawiając na wierzchu list zaadresowany do matki Marguerite. Rano zniesie je na dół, do holu, skąd zostaną dostarczone do punktu pocztowego wraz z przesyłkami innych gości.

Rozczesała włosy, obmyła twarz i ręce, i położyła się do łóżka. Zdmuchnąwszy świecę, ułożyła się do snu, lecz nadmiar myśli długo nie pozwalał jej zasnąć. Gdy była już w półśnie, usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Przez chwilę leżała bez ruchu, niepewna, czy aby się nie przesłyszała. Nie zamknęła drzwi do garderoby na klucz, bo rano wchodziła tamtędy pokojówka, ale przecież nie zakradałaby się bez pukania, i to w środku nocy!

- Kto tam? - zawołała, zrywając się z łóżka i sięgając po świecę, potrwało jednak trochę, nim ją zapaliła. - Kto tam? - krzyknęła ponownie na widok ciemnej postaci umykającej do garderoby.

Pognała tam ze świecą, by się przekonać, że uciekający w popłochu nocny intruz zostawił otwarte drzwi prowadzące na klatkę schodową dla służby.

Kto zakradł się do jej pokoju o tej porze, i czego szukał? Bizuterię trzymała zamkniętą w szkatułce, przy łóżku. Zajrzała szybko do środka, ale niczego nie brakowało. Skoro tak, jaki był cel nocnej wizyty?

Ciarki przeszły ją na myśl, co mogło się stać, gdyby już spała. Czy ktoś chciał ją zabić, czy tylko okraść? Co powinna teraz zrobić? Kogo zawiadomić? Było już po północy i nie chciała robić zamieszania, postanowiła tylko, że będzie zamykać wejście od garderoby na klucz. Pokojówka będzie musiała zapukać, wtedy jej otworzy.

Wróciła do łóżka nieco spokojniejsza, bo skoro drzwi zostały zamknięte, nikt już nie będzie jej nachodził tej nocy. A jednak ten incydent wytrącił ją z równowagi bardziej, niż się spodziewała. Rano opowie o zdarzeniu Gerardowi i oczywiście Maksowi, który na pewno dokładnie przepytą służbę. Nie wyglądało na to, żeby coś zginęło, ale ostrożność nigdy nie zaszkodzi.

- Jesteś pewny, że drzwi do holu były zamknięte na klucz, więc ten ktoś musiał dostać się do pokoju Amelii schodami dla służby? - zapytał Max Gerarda następnego ranka podczas poufnego spotkania.

- Amelia wszystko sprawdziła i twierdzi stanowczo, że intruz zakradł się wejściem służbowym. Widziała nawet jakąś postać, która tamtędy umykała, ale było zbyt ciemno, by mogła cokolwiek więcej powiedzieć. Nie wie nawet, czy był to mężczyzna, czy też kobieta.

- Tak, łatwo się tamtędy dostać, kiedy służba śpi - zauważył Max. - Oczywiście wydałem kategoryczne instrukcje, że wszystkie zewnętrzne drzwi i okna mają być zabezpieczane na noc, tak więc bez narobienia hałasu nie można dostać się do domu. Zatem to ktoś, kto... Nie wiem, czy zdołam zapanować nad sobą, jeśli się okaże, że to któryś z moich służących. Tyle że nasi goście przyjechali tu ze swoją służbą. Jak tu kogoś wytypować?

- Masz rację, trudno wskazać winnego palcem. Postawiliśmy strażnika przed drzwiami Amelii i panny Barton, ale nie zauważył nic niepokojącego.

- Nasi ludzie patrolują okolicę... - Max zaklął cicho. - Tylko że te nocne zabezpieczenia sugerują jednoznacznie... Też myślisz, że...?

- Tak, myślę że to ktoś z tego domu. Amelia przypuszcza, że ktoś chciał ukraść biżuterię, ale to do mnie nie przemawia.

- Pewnie woli nie myśleć, że mogło chodzić o coś gorszego. Całe szczęście, że jeszcze nie spała.

- Tak. - Gerard ponuro pokiwał głową. - Mam złe przeczucia.

- A co na to Amelia?

- Mówi, że będzie odtąd zamykała na noc drzwi do garderoby.

- Podziwiam jej opanowanie, Gerardzie.

- Dla własnego dobra powinna się bardziej przejmować. Ona każdemu ufa.

- Co masz na myśli? Zauważyłeś coś niepokojącego? - dociekał Max.

- Tak, choć to tylko domysły, dlatego powstrzymam się od pochopnych sądów. Jednak intuicja podpowiada mi, że mam rację.

- Nie chcesz mi powiedzieć?

- Ależ chcę. Masz prawo wiedzieć, ale nikomu nie mów, nawet Helene, bo mogę się mylić. Oczywiście wtajemnicz Harry'ego, kiedy już się tu zjawi.

Amelia krążyła po pokoju. Szukała czegoś, ale czego, nie potrafiła powiedzieć. Szkatułka była na swoim miejscu, nic z niej nie zniknęło. Srebrna torebka wieczorowa leżała na toalecie, tam, gdzie ją położyła poprzedniego wieczoru. Co jeszcze robiła, zanim się położyła do łóżka? No tak, napisała kilka listów.

I to właśnie listów brakowało. Na pewno zostawiła je na biurku, a one przepadły, choć nie zabrała ich, kiedy schodziła na dół.

- Martho - zwróciła się do pokojówki, która właśnie weszła z wyprasowaną suknią - nie zabrałaś rano moich listów?

- Nie, panno Royston. Widziałam je na biurku, ale ich nie zniosłam na dół, bo nie wiedziałam, czy miały być już dziś wysłane.

- Tak. To bardzo dziwne, bo ja też ich nie wzięłam. Może Emily...

- Panna Barton była tu wcześniej. Widziałam, jak stąd wychodziła, kiedy przyszłam zabrać wieczorową suknię do prasowania. Spytała mnie, czy nie wiem, dokąd panna poszła.

Po wyjściu pokojówki Amelia wzięła książkę, którą chciała dać Lisie, znacznie ciekawszą niż te, jakie jej czytała niańka Horton, i udała się do pokoju dzieciennego. Zastąpiła tam już i Emily, i Marguerite, bawiące się w ciuciubabkę z dziećmi, które piszczały i krzyczały ze śmiechu.

Amelia patrzyła rozbawiona, jak Marguerite pozwala Lisie się złapać i bierze od niej chusteczkę, żeby sobie zawiązać oczy.

Nagle Marguerite zauważyła ją i zamarła.

- Och, gramy tylko w ciuciubabkę. Nie masz nic przeciwko temu?

- Melia! - wykrzyknęła Lisa i podbiegła, żeby ją uściskać. - Marguerite uczyła nas różnych gier, a Emily się z nami bawiła. Przyszłaś się do nas przyłączyć?

- Przyniosłam ci książkę. To atlas zwierząt, jest w nim mnóstwo obrazków zwierząt i ptaków. Pomyślałam, że ci się spodoba, ale możesz ją przejrzeć innego dnia. Wracaj do zabawy, kochanie.

- Wolę obejrzeć z tobą książkę - zdecydowała Lisa, pociągając ją w stronę sofy. - Ta gra jest głupia, a książka jest piękna.

Amelia najpierw spojrzała na zarumienioną Marguerite, a potem na dziewczynkę i powiedziała:

- To niegrzecznie, Liso. Marguerite była bardzo miła, że przyszła się z tobą pobawić.

- Dziękuję, panno Ross... i Emily. - Lisa przechyliła główkę, uśmiechając się kokieteryjnie. - Lubię się bawić, ale najbardziej lubię książki z obrazkami.

- Nieźle nas przegoniłaś, Liso, więc musimy teraz odpocząć. Następnym razem też przyniosę jakąś ciekawą książeczkę - powiedziała ze śmiechem Emily, po czym zwróciła się do Amelii: - Potrzebujesz czegoś, Amelio?

- Nie, to znaczy tak. Chciałam zapytać, czy rano zniosłaś na dół moje listy?

- Nigdy bym nie zrobiła czegoś takiego bez pytania. Mogłaś jeszcze nie skończyć pisania.

- Amelio, twoje listy leżały z samego rana w holu odezwała się Marguerite, patrząc dziwnym wzrokiem na Emily. - Napisałam list do mamy i położyłam na stoliku w holu, jak mi powiedziała lady Coleridge. Widziałam też twój list do mojej mamy, a także kilka innych. Jeżeli Emily ich tam nie położyła, musiała to zrobić twoja pokojówka. Czy chciałaś jeszcze coś dopisać?

- Nie, listy były gotowe do wysłania, ale Martha mówi, że ich nie brała, a ja też nie, bo miałam inne rzeczy na głowie... - Chciała napomknąć o nocnej wizycie, ale się rozmyśliła. Biedna Emily miała ostatnio tyle niemiłych przeżyć, więc po co ją dodatkowo denerwować. - Musiał to zrobić ktoś inny. Pewnie któraś ze służących przyszła posprzątać i je zabrała. Zresztą to nie ma znaczenia. - Uśmiechnęła się do Lisy. - Kiedy byłam małą dziewczynką, oglądałam tę książkę z moją niańką, i jestem pewna, że cię zainteresuje...

Usiadła na sofie, wzięła dziewczynkę na kolana, i zaczęły razem przeglądać książkę. Po chwili dołączył do nich mały chłopczyk. Był równie zaciekawiony jak Lisa. Zajęta rozmową z dziećmi, które zasypywały ją gradem pytań, Amelia dostrzegła kątem oka, że Emily odeszła, natomiast Marguerite została i przygląda się im z wyraźną zazdrością.

Wręczyła więc książkę Lisie i podeszła do Marguerite.

- Kiedyś myślałam, że nigdy nie wydam na świat dziecka, a teraz mogę mieć nadzieję na przyszłość. No i mam już kochaną córeczkę.

- Tak... Sądzę, że opieka nad pozbawionym matki dzieckiem to równie dobry powód do małżeństwa jak każdy inny.

- Owszem, jeden z powodów. Lisa to urocza dziewczynka, a Gerard potrzebował kogoś, kto by mu pomógł w jej wychowaniu - powiedziała Amelia. - Choć jesteśmy również dobrymi przyjaciółmi.

- Przyjaźń to rzecz niezwykle cenna w małżeństwie. Mężczyźni są z natury niewierni... choć oczywiście wcale nie sugeruję, że hrabia Ravenshead będzie cię zdradzał, Amelio. Cóż, wniesiesz mu w posagu ogromny majątek.

- Tak, to prawda, ale bez względu na to mam nadzieję, że będę szczęśliwa w małżeństwie. Nie wolno ci myśleć, że wszyscy mężczyźni to zdrajcy, choć po tym, co spotkało Lucindę, rozumiem twoją gorycz.

- Lucinda była na tyle głupia, żeby zaufać mężczyźnie, który ją zdradził.

- Może go kochała i nie wybiegała myślami w przyszłość? - podsunęła Amelia.

- Może... Czy będziesz w stanie pokochać dziecko innej kobiety, Amelio? - Marguerite przyjrzała jej się bacznie. - Nie będziesz ciągle myślała o niej, o jego żonie...? - Potrząsnęła głową. - Wybacz, nie powinnam tak do ciebie mówić; nie mam prawa.

- Emily wie, że może powiedzieć mi wszystko, i tobie też to mówię. Coś cię gnębi?

- Nie... - Marguerite zawahała się, a potem powiedziała: - Zastanawiałam się tylko, czy tragiczna śmierć jego żony nie położy się cieniem na waszym życiu.

- Przykro mi, że umarła w taki sposób. - Amelia zerknęła na Lisę, ale dziewczynka była pochłonięta nową książką. - Wiem, że Gerard zrobił dla niej, co tylko mógł... - Nagle coś ją uderzyło. Skąd Marguerite wiedziała o samobójczej śmierci Lisette, skoro nawet

Emily wiedziała tylko tyle, że żona Gerarda zmarła w Hiszpanii?

Marguerite wyglądała, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, pokręciła jednak głowę, podeszła do dzieci, i wskazując na podpis pod jedną z ilustracji, zapytała:

- Wiesz, co tu jest napisane, Liso?

- Nie umiem tego przeczytać.

- Bo to po łacinie. Tu jest napisane, że ten obrazek przedstawia papugę...

Amelia przyglądała im się przez chwilę, i doszła do wniosku, że dobrze wybrała, gdyż Marguerite umiała postępować z dziećmi. Pozostało jednak bardzo niepokojące pytanie: skąd osoba, z którą Gerard co najwyżej zetknął się przelotnie wiele lat temu, miała te wszystkie informacje o śmierci Lisette.

Gdy później schodziła na dół, dotarło do niej, że Marguerite nie wspomniała o samobójstwie. Pewnie więc sobie wyobrażała, że Lisette, jak tyle innych młodych kobiet, zmarła na gorączkę połogową. Uspokojona, że znalazła logiczne wytłumaczenie, szybko zapomniała o słowach Marguerite. Znacznie trudniej było zapomnieć wzrok, jakim na nią patrzyła, bo wychwyciła w nim ten szczególny wyraz, który można by nazwać ostrzeżeniem.

Tego wieczoru Amelia miała na sobie błękitną suknię balową przybraną kaskadami srebrnej koronki, z głęboko wyciętym dekoltem i bufiastymi rękawkami. Szyję zdobił sznur lśniących pereł z brylantową zapinką, z której niczym kropla zwisała ciężka barokowa perła. Założyła też złote bransolety z perłami, a na serdecznym palcu lewej ręki połyskiwał przepiękny owalny szafir w otoczeniu brylantów.

Po podwieczorku Gerard wsunął jej ten pierścionek na palec.

- Pasuje, a to mi ulżyło! - Podniósł czule jej dłoń do ust. - Mam nadzieję, że ci się podoba, najdroższa. Zamówiłem go specjalnie dla ciebie. Oczywiście niedługo będziesz mogła wybrać sobie coś z rodowej biżuterii, choć na pewno masz wystarczająco dużo własnych klejnotów.

- Większość biżuterii po ciotce Agacie nie odpowiadała moim gustom, więc trzymam ją w bankowym sejfie. Ciotka przepadała za ametystami, a ja wolę perły... I oczywiście szafiry i brylanty. - Spojrzała z zachwytem na zaręczynowy pierścionek. - Jest naprawdę przepiękny, Gerardzie. Dziękuję.

- Cieszę się, że ci się podoba - odparł, muskając jej policzek. - Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś mi droga.

Amelia wciąż podziwiała pierścionek, kiedy schodziła do sali balowej. Była to długa galeria, w której zazwyczaj urządzano wieczorki muzyczne, ale tego wieczoru

usunięto z niej meble i pootwierano na oścież podwójne drzwi do sąsiednich pokoi, uzyskując ogromną przestrzeń.

W pierwszym pokoju lordostwo Coleridge witali gości, a lokaje w odświętnych liberach krążyli z tacami najlepszego szampana. Amelia wzięła kieliszek i stanęła obok Helene. Była jedną z pierwszych osób, które się pojawiły, lecz z głębi galerii dochodziły już dźwięki muzyki.

- Mogę obejrzeć twój pierścionek? - zapytała Helene. - Och, jaki piękny! I jak ślicznie wygląda na twojej ręce. O ile pamiętam, po mamie masz podobną broszkę z szafirów i brylantów.

- Tak, ale igła się złamała, więc muszę ją oddać do naprawy.

- Ten szafir ma taki cudowny głęboki odcień - powiedziała Helene. - Tak cię cieszę, Amelio. Gdyby nie ty, nigdy bym nie poznała Maksa. A teraz i ty jesteś szczęśliwa.

- O tak! - Ucałowała przyjaciółkę i przeszła na drugi koniec sali, gdzie ustawiono kwiaty z oranżerii. Były wśród nich również egzotyczne rośliny o ciężkim, drażniącym zapachu, od którego zachciało jej się kichać.

- Dobrze się czujesz, Amelio?

Odwróciła się ku Marguerite, która już jakiś czas temu pojawiła się w sali balowej.

- Tak, czuję się świetnie, dziękuję. Na moment zakręciło mi się w głowie, ale to przez te kwiaty. Mają taki intensywny zapach...

- Boże, jakaś ty blada. Na pewno wszystko w porządku?

- Tak, ale nie powinnam stać blisko tych kwiatów, bo mnie od nich boli głowa.

- Może powinnaś wyjść na dwór i zaczerpnąć świeżego powietrza?

- Nie, jest za zimno, poza tym nie mogę się już doczekać, kiedy zacnie się bal...

Och, wybacz, że cię opuszczę. - Na widok Gerarda wchodzącego do sali ruszyła w jego stronę, by się przywitać. - Hrabio, ależ pan przystojny tego wieczoru - rzuciła z wesołym błyskiem w oku.

- Och, proszę tak nie mówić, madame. To pani, panno Royston, ma monopol na piękno. - Jego oczy prześliznęły się po niej łakomie. - Widzę, że parę osób już wyszło na parkiet. Mogę prosić do tańca?

- Tak, oczywiście. - Ujęła jego rękę. - Marzyłam, żeby znów z tobą zatańczyć.

Zawroty głowy ustąpiły, ledwie Gerard wziął ją w ramiona. Pierwszym tańcem był walc, i Amelia odnosiła wrażenie, że frunie w powietrzu, gdy wirowali wokół galerii. Wszystko wokół zniknęło oprócz Gerarda, dotyku jego rąk i wytwornego zapachu męskiej wody kolońskiej.

Po skończonym tańcu goście otoczyli Amelię i Gerarda, by złożyć im życzenia. Wszyscy chcieli się też dowiedzieć, kiedy ślub, a najbliżsi przyjaciele domagali się zaproszenia, i oczywiście dostali od Amelii obietnicę, że spełni ich życzenie.

Parę osób miało dla niej prezenty, ale dla większości zaręczyny były zaskoczeniem, czemu dawali głośny wyraz. Przyjaciele droczyli się z Gerardem, zarzucając mu, że skradł im sprzed nosa najpiękniejszą pannę, więc by ich udobruchać, Amelia musiała z nimi zatańczyć. Minęło trochę czasu, zanim znów mogła wrócić do Gerarda, który zdążył już poprosić do tańca Helene jako panią domu, a także Emily i Marguerite.

- Cieszę się, że tańczyłeś - powiedziała Amelia, gdy rozpoczął się finałowy walc przed kolacją. - To miło z twojej strony, że poprosiłeś Marguerite.

- Zatańczyłem z panną Barton, bo wydała mi się taka smutna - odparł Gerard. - No i siłą rzeczy musiałem potem poprosić pannę Ross, żeby nie wyjść na gbura. Mówi, że sobie przypominała i mnie, i ten wieczór, kiedy się poznaliśmy. Podobno tańczyłem z nią dwa razy i przyniosłem jej szampana.

- Tak dokładnie to wszystko pamięta? - Amelia zmarszczyła brwi. Miała ochotę zapytać go, skąd Marguerite mogła wiedzieć aż tak wiele o śmierci Lisette, ale zaręczynowy wieczór nie był na to najlepszym momentem. - Mnie nie mówiła, że cię zna, chociaż ty wspomniałeś, że znałeś lepiej jej siostrę, Lucindę.

- Lucinda to była dziwna panna...

Coś w jego wzroku bardzo zastanowiło Amelię.

- Jak mam to rozumieć? - spytała trochę nerwowo. - Zapamiętałam ją jako miłą, łagodną dziewczynę.

- Naprawdę, kochanie? - Gerard zmarszczył w zamyśleniu czoło. - Odniosłem zupełnie inne wrażenie, ale cóż, lepiej zachowaj swoje wspomnienia, Amelio.

Czyżby coś przede mną ukrywał? - pomyślała na poły zaintrygowana, na poły zaniepokojona. Czy chodzi o jakąś dawną tajemnicę? O to także będzie musiała go zapytać, ale później, bo nic, absolutnie nic nie może zmącić radosnego nastroju ich zaręczyn.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się do narzeczonego.

- Jesteś szczęśliwy, Gerardzie?

- Jak możesz w to wątpić? - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Już się nie mogę doczekać, kiedy będziemy w Ravenshead... tylko ty i ja...

Amelia odetchnęła głęboko. Kochał ją, pragnął jej, więc po co zatruwać sobie duszę głupimi podejrzeniami? Odwróciła głowę i zobaczyła, że Marguerite im się przygląda. W jej wzroku dostrzegła tak wiele gniewu... i tak wiele wzgardy... że znów przeszły ją ciarki.

Jak ktoś może mieć tak nienawistną minę, gdy inni wokół są szczęśliwi? Co się dzieje? Coś chyba jest nie tak? Jednak gdy podchwyciła jej spojrzenie, twarz Marguerite natychmiast się rozpuściła.

Amelia odpowiedziała uśmiechem i znowu doszła do wniosku, że się pomyliła. Marguerite nie miała miny nienawistnej, tylko zgorzkniałą. Musiała myśleć o tych wszystkich balach i przyjemnych chwilach, które ją w życiu ominęły. W końcu dlaczego miałyby nienawidzić ludzi, którzy dokładają starań, by i w jej życiu pojawiło się choć trochę radości? Tyle razy wyrażała przecież swoją wdzięczność. Nie, to nielogiczne. Amelia odwróciła się i w jednej sekundzie zapomniała o swoich wątpliwościach.

Rozdział siódmy

Amelia stała przy bufecie, podziwiając bogaty wybór dań, kiedy podeszła do niej Emily. Była dziwnie blada, miała cienie pod oczami.

- Źle się czujesz? - zaniepokoiła się Amelia.

- Boli mnie głowa. Nie będziesz mi miała za złe, jeżeli po kolacji pójdę do łóżka? Czy mogę jeszcze coś zrobić dla ciebie, zanim się wycofam na górę?

- Nie, dziękuję, nic mi nie trzeba. Naprawdę jesteś chora czy tylko...?

- Naprawdę. Głowa wprost pęka mi z bólu. Akurat dzisiaj musiało mnie dopaść, a przecież rzadko miewam migreny. Może chodzi o to mydło, którego służąca użyła do wyprania moich chusteczek? Mogłabyś mi pożyczyć jedno ze swoich mydeł? Moje mają zbyt intensywny zapach. Od rana dokucza mi ból głowy, z każdą godziną jest gorzej.

- Tak mi przykro, Emily. Musisz się jak najszybciej położyć, a jeśli do rana ci nie przejdzie, wezwę doktora. Oczywiście powiem Marcie, że ma prać twoje chusteczki moim mydłem.

- Dziękuję... - Emily zawahała się. - Amelio, nie ruszałam twoich listów. Weszłam tylko do twojego pokoju, a kiedy zobaczyłam, że cię nie ma, zaraz wyszłam. Wierzysz mi?

- Ależ oczywiście. Czemu miałabym ci nie wierzyć? Przecież zawsze byłaś ze mną szczerą.

- Pewna osoba sugerowała, że zabrałam te listy, a ciebie okłamałam.

- Pewna osoba... Masz na myśli Marguerite.

- Byłoby mi strasznie przykro, gdybyś w to uwierzyła - wyznała Emily.

- Możesz być spokojna. Znam cię zbyt dobrze aby cię podejrzewać o kłamstwo.

- Dziękuję. - Oczy Emily zwilgotniały. - Myślałam... ale nie mówmy już o tym. Muszę iść, bo głowa zaraz mi pęknie. Dobranoc, Amelio.

Pełna współczucia patrzyła w ślad za odchodzącą przyjaciółką. Nie wystarczy, że tyle ostatnio przeszła, to jeszcze się rozchorowała. Zapach chusteczek Emily był rzeczywiście dziwny i mógł przyprawiać o ból głowy. Ją samą także dopadły podobne dolegli-

wości, gdy powstała przez chwilę wśród egzotycznych kwiatów przyniesionych z oranżerii.

Pomyślała, że musi poprosić Marthę, aby wyprała ich rzeczy na kilka najbliższych dni, bo służące Helene najwyraźniej używają czegoś, co Emily nie służy.

Kolację spożywała w zadumie. Liczyła na to, że Emily też będzie miała powód do świętowania tego wieczoru, jednak Toby Sinclair nie pojawił się w Coleridge. Z drugiej strony trudno się dziwić, że będąc w ciężkiej żałobie, nie zjawił się na balu, tylko przebywał z matką i siostrami. Pozostawało mieć nadzieję, że w końcu napisze do Emily lub odwiedzi ją, gdy już zjadą do Ravenshead.

Rozmyślania przerwała jej Marguerite, która usiadła obok niej, żeby zjeść kremowy deser.

- Dobrze się bawisz? - zapytała ją Amelia.

- Oczywiście, że tak. Wszyscy są dla mnie mili, jest mi tak dobrze - odparła z uśmiechem. - Czy Emily źle się czuje? Powiedziała mi, że idzie się położyć...

- Trochę ją boli głowa. Mam nadzieję, że do rana jej przejdzie.

- Była taka blada. Zrobiłabym jej napar, gdyby mi powiedziała, co jej dolega.

- Na pewno poprosi o to Marthę. Szkoda, że musiało jej się to przytrafić akurat dzisiaj, podczas balu.

- Może w ogóle czuje się rozstrojona. Ktoś mi wspomniał, że niedawno przeżyła wielki zawód, a ból serca czasami ma takie same objawy jak obłożna choroba, czyż nie?

- Nie powinnaś słuchać plotek - powiedziała chłodno Amelia. - Poza tym jestem pewna, że Emily wkrótce wydobrzeje.

Gerard przyglądał się pannie Ross z drugiego końca pokoju. Z każdą chwilą utwierdzał się w przekonaniu, że ta kobieta nie jest wcale taka, na jaką się kreuje. Jej uśmiechy wprawiały go w zakłopotanie, bo zdawały się sugerować, że ona wie coś, o czym on nie ma pojęcia. Gdy zobaczył, że wychodzi z pokoju, odetchnął z ulgą. Najchętniej odesłałby ją do domu, ale Amelia nie tylko ją polubiła, ale i miała do niej zaufanie. Gdyby wyraził swoje podejrzenia, mogłoby się to położyć cieniem na ich szczęściu. Poza tym może się mylił? Tak więc pozostawało mu tylko obserwować i czekać.

Gdy Max nagle pojawił się przy nim, od razu wiedział, że przyjaciel ma coś nad wyraz ważnego do zakomunikowania.

- Możemy porozmawiać przez chwilę, Gerardzie? Na osobności...

- Oczywiście - odparł. - Obiecałem Amelii następny taniec, ale jest w tej chwili zajęta czym innym. Masz coś nowego? - zapytał.

- Tak. Może to bez znaczenia, a może i nie... - powiedział Max. - Jeden z moich lokajów wstał dziś bardzo wcześnie, bo go bolał ząb, i zobaczył coś, co cię może zainteresować.

Gdy Amelia zobaczyła, jak Gerard wychodzi z pokoju w towarzystwie Maksa, poczuła lekki zawód, gdyż chciała choć przez chwilę побыć sam na sam z narzeczoną. Pocieszyła się jednak myślą, że to, co ma mu do powiedzenia, może spokojnie poczekać do jutra.

- Emily była strasznie blada - zagadnęła ją Helene. - Nie zaziębiła się przypadkiem?

- Nie, mówi, że rozboleła ją głowa od zapachu mydła, którym pokojówki wyprały bieliznę. Pewnie, tak jak ja, jest uczulona na mocne zapachy.

- Nie wiedziałam, że nasze mydła są aż tak mocno perfumowane - odparła zaskoczona Helene. - Poproszę gospodynię, żeby to zmieniła. Natomiast niektóre lilie, które wstawiono do sali balowej, mają wyjątkowo mocny zapach. Kazałam nawet wynieść jedną z donic...

- Masz rację, też zwróciłam uwagę na te kwiaty - wpadła jej w słowo Amelia. - Gdybym dłużej przy nich stała, rozbolełaby mnie głowa.

- Raz na zawsze zakazałam wносить do domu tę odmianę. Zapewne intensywny kwiatowy aromat dołączył się do równie mocnego zapachu mydła i biedna Emily dostała migreny. Przykro mi, że tak się stało. Myślałam, że powód niedomagania jest inny.

- Nieobecność Toby'ego Sinclaira, tak?

- Myślałam o czymś innym... - Helene zawahała się. - Wybacz, Amelio, ale nie jestem pewna, czy Emily lubi pannę Ross. Chyba się posprzeczały... Choć oczywiście mogę się mylić.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Emily mogła poczuć antypatię do kogoś takiego jak Marguerite, która, podobnie zresztą jak ona, tak wiele wycierpiała od rodziców. Poza tym one się prawie nie znają.

- Jak już mówiłam, mogę się mylić... - Helene urwała na widok Marguerite. - Panno Ross, dobrze się pani bawi?

- O tak, dziękuję. To był cudowny wieczór. Amelia była tak dobra i dała mi tę suknię... - Ujęła fałdy zielonej spódnicy. - Nigdy jeszcze nie miałam równie pięknej kreacji.

- Jest pani w niej do twarzy - powiedziała uprzejmie Helene. - Widziałam, jak pani tańczyła. Rozumiem, że zyskała pani już tu znajomych i wielbicieli.

- Bardzo pani łaskawa - odparła, nie uśmiechając się jednak, czego można by się spodziewać. - W drodze na górę minęłam się z Emily. Chyba właśnie wyszła z twojego pokoju, Amelio. Narzekała, że strasznie boli ją głowę. Chciałam jej zaparzyć ziółka, ale mi podziękowała.

- Pewnie szukała Marthy, żeby ją poprosić o napar, jak jej doradziłam - stwierdziła Amelia. - Wybaczcie, kochane, ale nadchodzi Gerard. Obiecałam mu następny taniec.

Gdy bal dobiegł końca, Gerard odprowadził Amelię pod jej pokój, lecz wyraźnie nie miał ochoty już się rozstawać.

- Śpij dobrze, najdroższa - powiedział, namiętnie całując wewnątrz jej dłoni. - Ufam, że tej nocy nic nie zakłóci twego snu.

- Mam nadzieję. Poleciałam Marcie zamykać drzwi do garderoby, kiedy wychodzi z pokoju. Max dał jej klucz, a ja mam drugi, więc nikt już nie będzie mnie nachodził.

- Z całą pewnością, tym bardziej że ludzie Maksa czuwają przez całą noc. Naprawdę możesz czuć się bezpieczna. Jutro się zobaczymy, ale pewnie będziesz chciała dłużej pospać, a ja mam sporo do zrobienia, więc nie szukaj mnie wcześniej niż w południe. Dobranoc, kochanie.

- Tak, oczywiście. Dobranoc, Gerardzie. - Weszła do pokoju i zadzwoniła na Marthę, która zaraz się pojawiła, by pomóc zdjąć suknię.

- Co to za dziwny zapach, panno Royston? - zapytała, marszcząc nos. - Jakieś nowe perfumy?

- Nie... - Amelia rozejrzała się dokoła. - Sama też go poczułam. Tak pachną lilie... te egzotyczne, hodowane w oranżeriach, o intensywnym aromacie. - Zrobiła krok w stronę łóżka i zatrzymała się, bo zapach stał się nie do zniesienia. - Wydaje mi się... za tym fotelem... czy to doniczka z liliami? Nie widzę zbyt wyraźnie, ale to musi być źródło tego zapachu.

Martha podeszła do niej pośpiesznie.

- Skąd się tam wzięła? Mogę przysiąc, że jej tam nie było, kiedy ścieliłam łóżko. Fuj, co za świństwo! - Wzięła doniczkę, podeszła do drzwi i powiedziała coś do kogoś na korytarzu. - Służący ją wyrzuci. Ciekawe, kto tu przyniósł tę lilię?

- Nie mam pojęcia. Na wszelki wypadek rozejrzyj się po pokoju, czy jeszcze czegoś nie ma, a potem możesz iść spać. Na pewno jesteś zmęczona tym wyczekiwaniem na mnie.

- Lubię patrzeć, jak pani wraca z balu. Dobrze się pani bawiła?

- Tak, bardzo dobrze - powiedziała Amelia, przyglądając się, jak Martha zagląda za skrzynie i pod stół. - Jestem pewna, że nic więcej nie znajdziesz. Pamiętaj tylko, żeby zamykać na klucz drzwi od garderoby, kiedy będziesz wychodziła.

- Tak, oczywiście, proszę pani. Zamknęłam je zaraz po tym, jaki mi pani powiedziała. Jeżeli ktoś dostał się do pokoju, to musiał mieć klucz albo wszedł drzwiami z holu, bo pani ich nie zamyka, gdy wychodzi.

- Masz rację, ten ktoś musiał przyjść z holu, bo tylko my dwie mamy klucze do garderoby. A jeśli chodzi o pokój, to nigdy nie zamykam go na klucz w ciągu dnia, ale teraz zacznę tak robić.

Przed pójściem do łóżka Amelia sprawdziła obie pary drzwi, a potem zajrzała pod kołdrę, ale nic tam nie znalazła, a pościel była pachnąca i świeża.

Lilie stanowiły kolejny dowód na to, że ktoś chciał jej przysporzyć kłopotów. Nocna wizyta to nie był sen, do tego ktoś zabrał listy, ale nikt nie chce się przyznać. Nie zapytała Maksa, czy przygotował opłatę i oznaczył je jako gotowe do wysyłki, ale zrobi to jutro.

Jeśli chodzi o lilie, uznała, że to zbyt błahy powód, by niepokoić w nocy Gerarda. Jednak nieprzyjemny zapach wciąż unosił się w pokoju, więc uchyliła okno, by wpuścić

świeże powietrze. To dziwne, że Emily narzekała na zbyt mocny zapach mydła... a teraz te lilie...

Czuła, że ma w głowie kompletny mętlik. Emily nie okłamałaby jej przecież, lecz z drugiej strony Marguerite utrzymywała, że to ona zabrała listy i widziała ją, jak wychodziła tego wieczoru z jej pokoju. Gdyby nie bezgraniczne zaufanie, jakim dotąd obdarzała bliską przyjaciółkę, miałyby podstawy podejrzewać, że Emily ją oszukuje.

Z jakiego powodu ktoś miałby podkradać listy? Albo chować doniczkę z liliami w jej pokoju? Może to jakaś nikczemna intryga, mająca na celu wywołanie niesnasek między nią a Emily? Nie, to niemożliwe. Bardziej prawdopodobne jest to, że ktoś chciał ją zdenerwować. Tylko jaki miałby w tym cel? Czy po to, aby ze strachu odwołała ślub?

Komu mogło zawadzać jej szczęście? Jediną osobą, która przychodziła jej na myśl, był Michael. Nie został jednak zaproszony do Coleridge na bal, ponieważ Helene go nie lubiła.

Tyle że jej brat nie musiał działać osobiście, wystarczy, że przekupił kogoś ze służby. Tylko kogo? Jeszcze chwila, a zacznie podejrzewać poczciwą Marthę. Nie, to jakiś obłąd! Zdegustowana, postanowiła już więcej o tym nie myśleć.

Martha zostawiła jej dzbanek lemoniady przy łóżku. Nalała więc sobie pół szklanki i od razu wypiła. Napój był trochę mocniejszy niż zazwyczaj, ale całkiem smaczny. Zdmuchnęła świece i zamknęła oczy. Nikt nie zakłóci tej nocy jej snu!

Amelię obudził odgłos rozsuwanych kotar, gdy Martha odsłaniała okna. Ziewnęła, przeciągnęła się i usiadła, czując, że mogłaby pospać jeszcze trochę dłużej, lecz gdy spojrzała na emaliowany zegarek przy łóżku, przekonała się, że dochodzi południe.

- Boże, jak strasznie zasnęłam! - Energicznie odrzuciła kołdrę. - Nalej mi, proszę, filiżankę czekolady, Martho, a ja zacznę się ubierać. Lisa gotowa sobie pomyśleć, że o niej zapomniałam.

- Dwa razy zaglądałam do pokoju, ale spała pani tak smacznie, że postanowiłam pani nie budzić.

- Musiałam być bardzo zmęczona. Nawet po balu nigdy nie śpię tak długo.

Weszła za parawan, umyła się i ubrała w płócienną suknię w zielone paski przyniesioną przez Marthę, a potem z filiżanką czekolady usiadła przy toaletce, aby pokojówka mogła ją uczesać.

- Dziękuję, Marto - powiedziała, gdy włosy zostały upięte w lśniący węzeł na karku. - Nie będę już teraz nic jadła, bo wkrótce podadzą lunch, a chcę jeszcze spędzić z Lisą choć kilka chwil.

Pośpieszyła do pokoju dzieciennego, gdzie niania Mary porządkowała ubrania, a maluchy siedziały przy stole z książkami i układankami.

- Przepraszam, że przychodzę tak późno, ale zasnęłam po balu.

- Panna Ross była tu już i bawiła się z dziećmi - powiedziała Mary. - Zawsze przychodzi też panna Barton, ale tego ranka po raz pierwszy się nie pojawiła.

- Wczoraj wieczorem bolała ją głowa. Może wciąż źle się czuje.

Amelia posiedziała chwilę z dziećmi, a gdy się zbierała do wyjścia, Lisa zaczęła narzekać:

- Melio, byłaś tak krótko...

- Przyjdę jeszcze do ciebie później, kochanie, ale dzisiaj mam wiele spraw do załatwienia. Na pewno wiesz, że jutro jedziemy do Ravenshead. Tam będę miała dla ciebie więcej czasu, a przede wszystkim zaczniemy chodzić na spacer.

- Zostaniesz moją mamą? Czy będę musiała mówić do ciebie „mamo”?

- Tylko jeśli będziesz chciała, Liso. Możesz jednak nadal nazywać mnie Melią. Pamiętaj, że na zawsze pozostaniemy przyjaciółkami.

- Niania powiedziała, że będę musiała mówić do ciebie „mamo”, chociaż nie jesteś wcale moją mamą... Moja mama umarła, prawda? - zapytała dziewczynka, marszcząc brwi.

- Tak, kochanie. Stało się to wkrótce po twoim urodzeniu.

- Dlaczego umarła? Czy ją bolało? - W oczach Lisy czaił się lęk.

- Nie, nie bolało jej. Chorowała, umarła we śnie. Nie myśl o tym, Liso. Twoja mama cię kochała i pragnęła, żebyś była szczęśliwa.

- Och, Melio, ale ty nie umrzesz, prawda?

- Nie, kochanie. Jeszcze przez długie lata.

Dziewczynka kurczowo chwyciła ją za rękę.

- Obiecuj, że nigdy mnie nie zostawisz - błagała żarliwie.

- Obiecuję, kochanie. Czasami pojedę gdzieś z wizytą z twoim papą, ale zawsze do ciebie wrócimy. Bardzo cię kochamy i będziemy spędzać razem jak najwięcej czasu.

- Och, dziękuję - powiedziała Lisa. - Kocham cię, Melio.

- Ja też cię kocham, dziecinko. - Amelia objęła małą, a potem spojrzała jej w oczy.

- Kto ci powiedział, że twoja mama nie żyje?

- Zapytałam Emily, bo ta pani powiedziała... - Lisa urwała gwałtownie na widok wchodzącej Marguerite. - Chcę teraz poczytać... - Pobieгла po książkę i zaczęła oglądać barwne ilustracje.

- Emily źle się czuje - odezwała się Marguerite. - Rano wymiotowała, wygląda na to, że ma gorączkę. Może powinno się wezwać doktora?

- Pewnie tak - zgodziła się Amelia. - Muszę już iść, Liso, ale później przyjdę do ciebie.

Amelia wyszła szybko z pokoju. Martwiła się poważnie o przyjaciółkę. Skoro wymiotowała, przyczyna niedomagania musiała być poważniejsza niż przykry zapach. Zajrzy do niej i wtedy zdecyduje, czy posłać po doktora.

- Przepraszam za kłopot. - Błada i wycieńczona Emily leżała na poduszkach. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie spałam przez całą noc i już trzy razy wymiotowałam.

- Tak mi przykro, że się rozchorowałaś, kochanie - powiedziała Amelia. - Każę przysłać doktora, na pewno ci pomoże.

- Nigdy dotąd nie miałam migreny. Myślałam, że to ten zapach, ale ból wprost rozsada mi czaszkę. Czuję się okropnie... - Emily położyła rękę na czole. - Naprawdę przepraszam.

- Za co? To żaden kłopot. Zaraz wezwę doktora i mam nadzieję, że do jutra wydobrzejesz, a wtedy będziemy mogli wyjechać do Ravenshead. Oczywiście jeśli będziesz nadal chora, przełożymy wyjazd o kilka dni. Nie zamierzam zostawić cię tutaj, kochanie. Teraz muszę iść, ale wkrótce wrócę do ciebie. - Zeszła do jadalni, gdzie powiedziała od progu: - Wybaczcie, że musieliście na mnie czekać, ale Emily okropnie się czuje, a ja spałam.

- Tak mi przykro z powodu Emily - powiedziała Helene. - Czy posłaliście już po doktora?

- Tak, rozmawiałam z waszym lokajem. Emily jest zbyt chora, by mogła cokolwiek zjeść. Poprosiłam Marthę, żeby jej zaparzyła zioła, i pójde do niej zaraz po lunchu.

- Chętnie pomogę ją pielęgnować - zaoferowała się Marguerite.

- Niech się pani trzyma lepiej z daleka od panny Barton - odezwał się Gerard z drugiego końca stołu. - Jeżeli to coś zaraźliwego, nie chcę, żeby Lisa to złapała. Pani pierwszym obowiązkiem jest dziecko, panno Ross.

Marguerite zachowała kamienny wyraz twarzy, ale w jej oku pojawił się dziwny błysk. Jakby była zła... a może tylko przygnębiona?

- Obiecałam Lisie, że ją odwiedzę po południu - zwróciła się Amelia do Gerarda. - Może jednak nie powinnam? Chyba że to nerwy są przyczyną choroby Emily.

Gerard spoglądał na nią przez chwilę w milczeniu, a potem pokiwał głową.

- Wolałbym, abyś pielęgnację Emily zostawiła Marcie albo którejś z pokojówek.

- Przecież Emily to moja przyjaciółka - powiedziała z wyrzutem Amelia. - Ona mnie potrzebuje.

- Jesteś teraz matką Lisy, i to ona powinna być dla ciebie ważniejsza. Mam nadzieję, że jej nie zawiedziesz, Amelio.

Gerard powiedział to ze spokojem, lecz odniosła wrażenie, że jest zły, i poczuła się dotknięta. Jak mógł pomyśleć, że opuści przyjaciółkę w chorobie? Lisa ma przecież opiekunkę oraz Marguerite, a jeżeli Gerard boi się zarazy, będzie omijała pokój dzieciny do czasu, aż Emily wyzdrowieje.

Nie spodobał jej się ani ton narzeczonego, ani jego słowa, sugerujące, iż jej życzenia są mniej ważne od życzeń jego dziecka. Oczywiście nigdy nie zawiodłaby małej Lisy, ale też nie zamierza sprawiać zawodu przyjaciółce.

W ogóle ostatnio Gerard zachowywał się dziwnie. Mówiąc wprost, przestawała go rozumieć. Oczywiście poprosi go o wyjaśnienia, niestety nie wyglądało na to, by szybko miała się trafić okazja do rozmowy w cztery oczy.

Doktor zbadał Emily, ale nic nie mówił, tylko pokręcił głową. Dopiero kiedy przeszli wraz z Amelią do saloniku, powiedział:

- Nie widzę żadnych objawów choroby poza wymiotami i bólem głowy. Nie ma gorączki, wysypki ani bólów brzucha, co by sugerowało poważniejsze wewnętrzne problemy. - Przetarł chustką okrągłe binokle, po czym dodał: - Może to sprawa sercowa?

Czy pani przyjaciółka nie przeżyła ostatnio poważnego zawodu?

- Niestety tak - odparła ze smutkiem. - To się zdarzyło kilka dni temu, lecz panna Barton ani się nie załamała, ani nie podupadła na zdrowiu. Oczywiście była przygnębiona, ale to zrozumiałe. Jest pan pewny, że nie zmogła jej jakaś choroba?

- Wygląda na osobę nadwrażliwą, o delikatnej i podatnej na ciosy konstrukcji, a jej dolegliwości są wynikiem cierpień psychicznych.

- Nigdy bym nie nazwała Emily osobą o delikatnej konstrukcji... - Chciała coś więcej powiedzieć, ale ugryzła się w język. - Dziękuję, że poświęcił nam pan tyle czasu, doktorze. Proszę mi przesłać rachunek.

- Przyślę remedium na ból głowy, ale pannie Barton potrzebne jest coś, co ją podniesie na duchu. Może powinna pojechać do Bath i pić tamtejsze wody?

- Tak, może. Powtórzę jej to. - Po wyjściu doktora wróciła do Emily. - On przyśle ci coś na migrenę, ale ja uważam, że wystarczy jeden z naparów Marthy.

- Podejrzewam, że pochorowałam się po tym naparze - powiedziała Emily. - Martha przyniosła mi go i postawiła przy łóżku. Byłam śpiąca, więc go wtedy nie wypilałam, dopiero później, kiedy coś mnie obudziło w środku nocy, i po kilku minutach wymiotowałam.

- Nie mogłaś się pochorować po ziółkach Marthy - oświadczyła Amelia. - Robiła mi je, ilekroć źle się czułam, i zawsze mi się polepszało. To bardzo dziwne, co mówisz.

- Więc może przyczyną nie były te ziółka? Czuję się już trochę lepiej, ale zostanę w łóżku. Chcę na tyle wydobrzeć do jutra, żebym mogła z wami pojechać.

- Mówiłam ci już, że przełożymy wyjazd, gdybyś nadal źle się czuła. Nie zostawię cię tu, kochanie, a jeżeli w Ravenshead ci się nie poprawi, wezwę innego lekarza. Najchętniej bym cię posłała do mojego doktora w Bath, ale nie mogę z tobą pojechać. - Zamyśliła się na moment. - Chyba że chciałabyś udać się sama?

- Nie, czuję, że nie powinnam. Nie chcę cię opuszczać, Amelio, zwłaszcza teraz, gdy coś może ci zagrażać. - Zaczęła nerwowo skubać kołdrę. - Nie zapomniałam prze-

cież, że to ty miałaś zostać porwana. Pamiętam dobrze, co mówili... - Wstrząsnął nią dreszcz. - Musisz uważać, Amelio, nawet kiedy ci się wydaje, że nie ma potrzeby.

- Kochanie, wiem, że się o mnie troszczysz. Mam nadzieję, że szybko wrócisz do zdrowia.

W drodze z pokoju dzieciennego natknęła się na Gerarda. Spędziła bardzo miłą godzinę z Lisą, czytając jej książkę. Dziewczynka wydawała się znacznie bardziej radosna niż w czasie świąt, choć nadal kurczowo lgnęła do Amelii i nie chciała jej od siebie puścić.

- Byłaś u Lisy? - spytał Gerard.

- Doktor mówi, że Emily cierpi na nerwy. Nie jestem pewna, czy tak jest w istocie, zapewnił jednak, że nie ma gorączki, a jej dolegliwość nie jest zaraźliwa. Odwiedziłam więc Lisę, bo jej to obiecałam. Gdyby w grę wchodziła zakaźna choroba, na pewno bym tego nie zrobiła.

- Jesteś na mnie zła za moją sugestię?

- Masz wszelkie prawo chronić swoje dziecko. Wiem, jak wiele Lisa dla ciebie znaczy.

- Nie chodzi tylko o to - rzekł posępnie. - Dzieje się tu coś dziwnego, Amelio. Nie wiem, o co chodzi, ale to wyczuwam.

- Nie bardzo cię rozumiem, Gerardzie. Owszem, Emily została porwana w Pendleton, jednak od tamtej pory nic się nie wydarzyło. A może wiesz coś, o czym ja nie wiem?

Zawahał się na moment, jednak pod nagłym spojrzeniem Amelii zaczął mówić:

- Ten nocny gość w twoim pokoju... Posłuchaj, jeden z lokajów widział tamtego wieczoru kobietę, która wychodziła z klatki schodowej dla służby. Przeszła do holu, potem głównymi schodami na górę. Nie zobaczył jej twarzy, bo było ciemno, ale ubrana była w szarą suknię. Wydało mu się to bardzo dziwne, że nie miała świeczki, więc doniósł o tym Maksowi.

- Może wystarczyło światło ze schodów?

- Nie, z całą pewnością nie. Przecież tam nie ma w nocy żadnej poświaty, jest czarny mrok. Więc to naprawdę dziwne, że nie wzięła świecy. Chyba że bardzo jej zależało, by nikt jej nie zobaczył.

- Myślisz, że jakaś kobieta przyszła do mojego pokoju? I to nie ze służby?

- Tak właśnie myślę.

- Hm... Przecież nic mi się nie stało ani nic nie zginęło... - zaczęła.

- Ktoś był jednak w twoim pokoju. To zuchwałe wtargnięcie, więc powód musiał być poważny, wart takiego ryzyka... - Przerwał na moment, po czym dodał ostrożnie: - Lokaj uważa, że mogła to być twoja dama do towarzystwa.

- Chyba nie sugerujesz, że to Emily? - Dotąd nie powiedziała Gerardowi ani o liściach, ani o liliach, gdyż uznała to za drobne, co najwyżej irytujące incydenty bez dalszych konsekwencji.

- Mamy tylko słowo panny Barton, no i oczywiście Northavena, że została porwana.

- Gerardzie! Jak możesz! - krzyknęła wstrząśnięta Amelia. - Co imputujesz? Podejrzewasz Emily o perfidne kłamstwo? O snucie jakiejś dziwnej intrygi? Dlaczego miałyby udawać, że padła ofiarą porwania?

- Sam już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, po prostu coś mi wciąż nie daje spokoju.

- Później mi powiesz o swoich przeczuciach - powiedziała z uśmiechem. - Nadchodzi Marguerite. - Wyszła jej naprzeciw i zapytała: - Idziesz do pokoju dziecinnego? Mamy dobre wieści, a mianowicie przypadłość Emily nie jest zaraźliwa. Niestety, biedaczka nadal nie czuje się dobrze. Powiedziałam jej, że nie pojedziemy do Ravenshead, dopóki nie będzie całkiem zdrowa. Może będę musiała zabrać ją do Bath, by zbadał ją mój lekarz. W tym przypadku pojechałabyś z Lisą do Ravenshead, żeby miała przy sobie kogoś bliskiego.

- Zmartwiłam się, że Emily tak bardzo zaniemogła. Czy mogę coś dla niej zrobić, skoro to nic zaraźliwego? - Marguerite zerknęła na Gerarda, i znów w jej oczach pojawił się ten dziwny błysk.

- Nie, ona chce, żeby ją zostawić w spokoju. Przestała wymiotować, ale wciąż boli ją głowa. Poza tym, jak słusznie zauważył Gerard, przyjechałaś, żeby nam pomagać przy Lisie, prawda?

- Tak, oczywiście. Chcę ci tylko być jak najbardziej pomocna, Amelio.

- Wiem, moja droga. - Pocałowała ją w policzek. - Nie potrafię powiedzieć, kiedy Emily wróci do swoich obowiązków, a przez ten czas będę potrzebowała twojej pomocy, Marguerite.

- Przecież wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć. Amelia spojrzała na Gerarda.

- Zobaczymy się później. Mam pewne zadanie dla Marguerite i muszę jej wytłumaczyć, o co chodzi. - Odwróciła się do niej. - Zazwyczaj to Emily pomagała Marcie pakować moje rzeczy, ale teraz nie wchodzi to w rachubę. To raczej ona może potrzebować pomocy, gdybyśmy wyjeżdżali jutro rano. - Wzięła Marguerite pod rękę i odeszła, a zdumiony Gerard patrzył w ślad za nimi.

Amelia wytłumaczyła Marguerite, na czym ma polegać jej pomoc przy pakowaniu, po czym udała się do pokoju Emily, która jednak pogrążona była w głębokim śnie. Po namyśle zeszła do salonu, gdzie właśnie kilka dam popijało herbatę. Kiedy zaczęły się rozchodzić do swoich pokojów, aby się przebrać na wieczór, Amelia została, aby przez chwilę porozmawiać w cztery oczy z Helene.

Dochodziła szósta, gdy Amelia poszła wreszcie na górę, żeby się przebrać przed kolacją. Na schodach spotkała Gerarda, ale powiedziała mu, że się śpieszy.

- Martha została sama z pakowaniem, więc poprosiłam o pomoc Marguerite, ale muszę dopilnować, żeby wszystko zostało zrobione jak należy. A teraz powinnam już iść, bo inaczej spóźnię się na kolację.

- Co ty kombinujesz, Amelio? - prosto z mostu spytał Gerard, patrząc na nią przez zmrużone powieki.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi?

- Odkąd to znów stałem się dla ciebie „panem”? Myślałem, że ustaliliśmy wszystko między sobą.

- Oczywiście, że tak, Gerardzie. Dobrze zgadłeś, że mi o coś chodzi, ale... - Potrząsnęła głową. - Powiedz mi, czy dowiedziałeś się czegoś więcej na temat tego porucznika Gordona? Czy markiz kontaktował się z tobą od wyjazdu z Pendleton?

- Niestety, nie jestem ani odrobinę bliżej rozwiązania tej zagadki niż na początku. - Widać było, jak bardzo dręczy go poczucie bezradności. - Jak już sama to powiedziałaś

jakiś czas temu, nic ważnego się nie wydarzyło, a mimo to przeczucie mówi mi, że niebezpieczeństwo jest bardzo blisko, z każdą chwilą bliżej - dodał z posępną miną.

- Z tego wniosek, że musimy się pilnować jeszcze bardziej niż dotąd - powiedziała Amelia. - Przyznam, że czułabym się lepiej, gdybyśmy już mieli to za sobą, ale dopóki nie wiemy, kto chce nam zaszkodzić, nie możemy nic zrobić, prawda?

- Prawda, i to bezczynne czekanie doprowadza mnie do szału, Amelio, lecz nie pozostało nam nic innego, jak tylko zachować maksymalną czujność. Jeżeli coś cię zaskoczy, nawet z pozoru nieważny incydent wyda ci się dziwny, musisz mi natychmiast o tym powiedzieć.

- Dobrze... - Zamyśliła się na moment. - Jutro powinniśmy być w Ravenshead, o ile Emily poczuje się na tyle dobrze, żeby ruszyć w drogę. Wtedy będzie nam łatwiej mieć oko na wszystko, bo przynajmniej przez moment będzie nas tylko czworo, no i służba, a także oczywiście Lisa.

- Co ty znowu wymyślasz? - zapytał Gerard. - Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

- Mnie, podobnie jak ciebie, też prześladowuje dziwne uczucie... - Przymknęła na moment oczy. - Nie umiem tego ubrać w słowa. Powiedz mi, Gerardzie, gdybyś miał wroga, wołałbyś, żeby działał w ukryciu, czy tuż pod twoim nosem?

- Najlepiej mieć kogoś takiego w zasięgu wzroku. Nie da się walczyć z niewidzialnym wrogiem.

- Czuję, że tak powiesz. To zresztą dość oczywiste i też tak uważam, ale... - Spojrzała na niego. - Wszystko, co dzieje się wokół nas, to jeden wielki znak zapytania. Gdybym tylko znała odpowiedź! Od razu bym ci powiedziała, a ty już byś wiedział, jak działać...

- Nie znamy jednak tej odpowiedzi, ani ja, ani ty, więc pozostaje mi tylko czekać. - Pocałował ją szarmancko w rękę. - Na pewno niczego nie żałujesz, Amelio?

- Z całą pewnością nie. Już się nie mogę doczekać naszego ślubu. Poza tym Lisa byłaby bardzo rozczarowana, gdybym w ostatniej chwili zmieniła zdanie, nie uważasz? A teraz wybaczone, proszę, ale muszę iść na górę, bo się spóźnię.

Uśmiechnęła się i pobiegła na piętro, a Gerard znów ruszył na dół.

Amelia odniosła wrażenie, że narzeczony jest przekonany, iż coś przed nim ukrywa, jednak bardzo się mylił. Po prostu coś tu się działo jakby wbrew logice, a to przecież niemożliwe, bo sprawy zawsze idą swoim torem od przyczyny do skutku. Gdy nam się zdaje, że jest inaczej, po prostu nie widzimy rzeczy takimi, jakie są, tylko ulegamy iluzji... lub też jesteśmy oszukiwani przez kogoś. I w samej rzeczy, Amelia nabierała przekonania, że ktoś ją okłamuje.

Problem polegał na tym, że przynajmniej na razie nie potrafiła ustalić, kto łże, a kto mówi prawdę. Może będzie wiedziała coś więcej, kiedy Helene porozmawia z Maksem.

Po rozstaniu z Amelią Gerard pogрузił się w zadumie. Narzeczona znów wznosiła wokół siebie mur, dystansując się od niego. Kiedy się całowali, sądził, że wreszcie wybaczyła mu przeszłość i nadal darzy go uczuciem równie płomiennym jak wtedy, kiedy się zaręczyli po raz pierwszy. Teraz zaczynał mieć wątpliwości.

Dlaczego Amelia przygląda mu się tak dziwnie? Zmieniła się ostatnio, jakby przestała być pewna swoich uczuć.

Kiedy Amelia weszła do pokoju, Martha składała ubrania i pakowała je do dużego kufra. Była trochę nadąsana, i Amelia domyśliła się dlaczego. Jednak pokojówka na nic się nie skarżyła, tylko przyszła dotrzymać swej pani towarzystwa podczas przebierania.

- Ten napój, który przygotowałaś dla Emily wczoraj wieczorem, był taki sam jak ten dla mnie?

- Tak, panno Royston. Napar z ziół, posłodzony lekko miodem. - Martha spojrzała Amelii prosto w oczy. - Nie było w nim nic, co mogłoby jej zaszkodzić. Znam się na ziołach i nigdy bym się nie pomyliła.

- Czy ktoś sugerował, że mogłaś popełnić błąd?

- Owszem, próbowano mi wmówić, że napar był za mocny. - Pokojówka zmarszczyła brwi. - Och, nie zamierzam plotkować, więc proszę mnie o nic więcej nie pytać.

- Jestem pewna, że się nie pomyliłaś, bo ci się to nigdy nie zdarzyło - przyznała Amelia z uśmiechem. - Powiedz mi, Martho, co sądzisz o pannie Barton?

- To miła młoda dama, i taka zawsze pomocna... - Martha zacisnęła usta. - Natomiast jeżeli chodzi o pannę Ross, to wolę nie mówić, co o niej myślę.

- Ojej! - Amelia z trudem powstrzymała się od śmiechu. - Czyżby ci nie pomogła, Martho? Myślałam, że oszczędziła ci dużo pracy, skoro Emily jest zbyt chora, żeby się spakować.

- Może i miała dobre intencje, ale musiałam wszystko rozpakować i zacząć od nowa, bo niczego byśmy później nie znalazły. Porządek musi być, panno Royston. Wpychanie rzeczy byle gdzie to nie dla mnie.

- Wobec tego zejść na dół, żeby ci nie przeszkadzać. Tak mi przykro, Martho, ale panna Ross bardzo chciała pomóc, a ja myślałam, że to dla niej stosowne zajęcie.

Rozdział ósmy

- Żałuję, że nie mogę z wami pojechać - mówiła nazajutrz rano w holu Helene, całując przyjaciółkę na pożegnanie. - Błagam, obiecaj, że będziesz na siebie uważać.

- O to naprawdę możesz być spokojna. - Amelia uściskała ją gorąco. - Czy Max potrafił odpowiedzieć na moje pytanie?

- Kazał ci powiedzieć, że trzy. Nie rozumiem, dlaczego dla ciebie to takie ważne, ale przekazuję, jak mnie prosił. Nie wiem, na ile ci to pomogło, Amelio.

- Pomogło, zapewniam cię. Wyjaśniła się pewna sprawa. Jest tak, jak podejrzewałam. Dziękuję, kochanie. Nie martw się o mnie.

- Spróbuję, choć wolałabym wiedzieć, co się dzieje.

- Nic, czym powinnaś zaprzętać sobie głowę - zapewniła Amelia, ściskając jej rękę.

- Kochanie, wszystko ci później opiszę, zapewniam, ale teraz muszę już iść, bo Gerard chce ruszać w drogę.

- Nie pokłóciliście się chyba? Ostatnio wydał mi się dosyć... dziwny. Myślałam, że się o coś gniewa.

- Nie, jest tylko zdenerwowany, zresztą z mojej winy, bo sądzi, że coś przed nim ukrywam. I ma rację.

- Zupełnie cię nie rozumiem!

- Uwierz mi, nie masz się o co martwić, Helene.

Amelia raz jeszcze uścisnęła jej rękę i podeszła do powozu. Gotowa do drogi Marguerite była już w środku, natomiast Emily siedziała w drugim rogu. Była blada, miała niezdrowe cienie pod oczami. W dłoni ścisnęła chusteczkę skropioną leczniczą lawendą. Miły zapach wypełniał całe wnętrze. Amelia pytała ją wcześniej, czy nie chciałaby zostać trochę dłużej w Coleridge, ale Emily odmówiła, twierdząc, że czuje się na tyle dobrze, aby znieść trudy podróży.

Gerard pomógł Amelii wsiąść, ale nic nie mówił, usta miał ponuro zaciśnięte. Potem dosiadł wierzchowca. Lisa miała pojechać drugim powozem wraz z opiekunką i Marthą.

Amelia zapadła w zadumę, z której wyrwała ją Marguerite:

- Boję się, że hrabia zaczyna się irytować, bo mu się śpieszy.

- Na to wygląda - odparła Amelia. - Zależy mu na tym, by dotrzeć do domu przed wieczorem.

- Podziwiam cię, że tak cierpliwie znosisz te jego humory... - Marguerite może nieco zbyt przesadnym gestem zatkała sobie usta ręką. - Wybacz mi, nie powinnam była tego mówić. To normalne, że śpieszy mu się do domu. Jednak żyć z człowiekiem o tak nierównym usposobieniu... to musi być bardzo przykre. Taki jest mój ojciec, dlatego wiem, co to za męka znosić czyjeś ataki furii.

- Och, bardzo ci współczuję, moja droga.

- Musiałam się z tym pogodzić, ale przykro mi na myśl, że też możesz tak cierpieć. Czasami słyszy się to i owo, dlatego wiem, że wiele kobiet jest nieszczęśliwych w małżeństwie. Mężczyźni są strasznie nieuczciwi... w każdym razie niektórzy.

- Pewnie tak. - Amelia zamilkła na chwilę. - Owszem, Gerard czasami bywa szorstki, wiem o tym doskonale, ale z natury jest bardzo dobroduszny.

- Tak, oczywiście. Och, wcale nie sugeruję, że... - Marguerite zawiesiła znacząco głos. - Skoro tyle mu wniesiesz do waszego związku, musi ci być bardzo wdzięczny. Na pewno nie chciałby cię skrzywdzić.

- Nie, ale dlaczego miałby to robić?

- Tak mi się tylko powiedziało. Wybacz mi te głupie, nieprzemyślane słowa. - Marguerite bawiła się przez chwilę nerwowo rękawiczkami, by je na koniec włożyć. - Mam nadzieję, że cię nie obraziłam.

- Wiesz przecież, że możesz być ze mną szczerą. Więc jeżeli masz coś do powiedzenia o hrabim, po prostu to zrób.

- Och, nie... - Marguerite pokręciła głową. - Słyszysz się różne plotki, ale póki nie mam pewności, nie chcę ich powtarzać.

- Masz rację. Może zresztą znam te plotki. Chodzi o jego żonę, tak?

- Właśnie... Różnie się mówi o tym, jak umarła. - Marguerite spojrzała na Emily, która zakrywała nos chusteczką. - Nie pamiętam już, kto mi to powiedział.

- Nie powinnaś słuchać plotek. - Amelia zmarszczyła brwi. - Lepiej o nich zapomnij. Wiem, że hrabia nie skrzywdził Lisette.

- Nie? Więc to musi być złośliwe kłamstwo, perfidna potwarz. Cieszę się, że jej nikomu nie powtórzyłam. - Marguerite umilkła, zagryzając wargi. Pewnie poczuła, że się zagalopowała.

Patrząc na nią, Amelia nie mogła się oprzeć pewnym refleksjom. Marguerite sugerowała parokrotnie, że Gerard żeni się z nią dla pieniędzy. To dziwne, bo mówił jej przecież, że wcale go nie interesują, co więcej, zależy mu, by przed ślubem prawnie zapewnić Amelii dożywotnie prawo do zarządzania własnym majątkiem. A tu takie insynuacje... Dlaczego Marguerite tak nie lubi Gerarda? Bo że nie lubi, to stało się już bardzo widoczne, wręcz oczywiste. I drugie pytanie: dlaczego z początku oboje twierdzili, że się nie znają, skoro później przypomnieli sobie, że jednak kiedyś się spotkali?

Co Marguerite wiedziała, czego ona nie wie? Co miały znaczyć jej aluzje do męskiej niewierności?

Amelia zasepiła się. Tamtego lata Gerard zostawił ją bez słowa. Powiedział, że przegonił go jej brat, ale czy mogła mieć pewność, że nie było innej przyczyny? Przysięgał jej dozgonną miłość, a mimo to niedługo potem ożenił się z Lisette.

Zatem czy kochał ją szczerze? A może po prostu nie potrafi nikogo kochać? Miałyby do czynienia z lekkoduchem?

Nie! Nie ma prawa tak myśleć. Skąd jej się to wzięło? Nigdy więcej nie będzie roztrząsać tych spraw.

Późnym wieczorem dotarli do Ravenshead, gdzie już czekano na ich przyjazd. Frontowe okna rezydencji jaśniały od blasku świec. Lokaj wraz z gospodynią wyszli przed dom, aby ich powitać, a służba ustawiła się w szpaler w głównym holu. Po dokonaniu prezentacji gospodyni zaprowadziła panie na górę, do ich pokoi.

- Pannę Ross ulokowałam w jednym z pokoi gościnnych, zgodnie z życzeniem hrabiego - powiedziała pani Mowbray, kiedy zostały same z Amelią. - Panna Barton dostała pokój bliżej pokoju dziecinnego. Mam nadzieję, że to pani odpowiada?

- Tak, oczywiście, choć może... - Amelia uznała jednak, że nie będzie się wtrącać, skoro Gerard tak zaordynował. Nie zdążyła nawet obejrzeć dokładniej holu na dole, choć zauważyła marmurowe posadzki i eleganckie mahoniowe meble. Natomiast jej pokój, świeżo wyremontowany i umeblowany, urządzone zostały w tak przez nią lubianych odcieniach akwamaryny. - Czy te pokoje zostały ostatnio odnowione?

- Milord kazał je wyremontować w październiku, panno Royston - poinformowała gospodyni. - Mam nadzieję, że będzie tu pani wygodnie.

- O tak. Jest tu wszystko, czego mi trzeba. - Z ulgą zdjęła czepek i pelisę. Do swoich apartamentów przyszła wprost z holu, nawet nie zdążyła się rozebrać. To oczywiste, że narzeczony przygotował te pokoje specjalnie dla niej. Żałowała, że nie może mu za to podziękować w taki sposób, jak tego by chciała, ale intuicja ostrzegała ją, że powinna być ostrożna.

Właśnie przepatrywała wnętrze dużej, szafy, gdy usłyszała za sobą jakiś szelest. Odwróciła się i zobaczyła Gerarda, który wchodził przez drzwi garderoby. W pierwszej chwili zdumiała się, a potem sobie uświadomiła, że te pokoje zaplanowano jako apartament małżeński. Dopóki klucz był po jego stronie, mógł tu wchodzić, kiedy tylko miał ochotę.

- Przestraszyłeś mnie, Gerardzie. Nie wiedziałam, że nasze pokoje są połączone.

- Nie masz nic przeciwko temu? A może powinienem był zapukać od strony holu?

- Nie, oczywiście, że nie. To nawet wygodne, ilekroć będziemy mieli ochotę porozmawiać.

- I nie tylko... - Gerard podszedł bliżej i dotknął jej policzka. - Mówiliśmy o tym, że po przyjeździe do Ravenshead zaczniemy przebywać ze sobą w ten szczególny sposób. Mam nadzieję, że nie zmieniłaś zdania?

- Myślę, że właśnie teraz powinniśmy zachować szczególną ostrożność. Mam poważne powody, żeby przy tym obstawać - dodała, widząc jego ponurą minę. - O jedno tylko proszę. Nigdy nie podawaj w wątpliwość moich uczuć.

- Przyznam, że cię nie rozumiem... - zaczął Gerard, lecz w tym momencie rozległo się pukanie i Amelia pchnęła go lekko w stronę garderoby. Wszedł więc do środka i zamknął drzwi.

- Momencik! - zawołała. - Proszę!

Drzwi otworzyły się i do środka weszła Marguerite.

- Co za piękny pokój, Amelio! - wykrzyknęła, omiatając wzrokiem apartament. - Czy mi się zdawało, czy słyszałam jakieś głosy? Przepraszam, jeżeli ci w czymś przeszkodziłam...

- Ależ skąd. Potrzebujesz czegoś, Marguerite?

- Nie, mam bardzo wygodny pokój. Przyszedłam zapytać, czy mogę ci w czymś pomóc.

- Martha zajmie się rozpakowywaniem. Jeżeli jesteś gotowa, to możemy już zejść na dół. Pani Mowbray kazała przygotować dla nas lekką kolację. Emily nie będzie nic jadła, więc dajmy jej spokój, niech odpoczywa.

- Skoro mnie nie potrzebujesz... - Marguerite odwróciła się i ruszyła do drzwi. - Jednak proszę, byś pamiętała, że jestem tu po to, żeby ci pomagać, zwłaszcza że Emily jest zbyt słaba, aby podołać swoim obowiązkom. Możesz też na mnie liczyć, ilekroć poczujesz się nieszczęśliwa albo przygnębiona...

- Jestem pewna, że staniesz mi się nieodzowna - powiedziała Amelia z uśmiechem. - Cieszę się, że jesteś z nami, a Lisa już cię z pewnością uwielbia.

- To prześliczna dziewczynka, dobrze wychowana i rezolutna. Pewnie po matce.

- Być może - zgodziła się Amelia - choć przecież nie znałaś jej matki.

Marguerite jakby się lekko spieszyła, zaraz jednak spytała:

- Była Francuzką, prawda? Mam mało przyjaciół, Amelio. Wiesz, że po śmierci Lucindy nie mogłam się już z nikim spotykać... - Głos jej się załamał. - Kiedy umarła, rodzicomomal nie pękło serce. Lucinda była głupia. Powinna była stawić czoło hańbie, a przede wszystkim wskazać uwodziciela. Musiałby się wtedy z nią ożenić. A on ją porzucił, łamiąc jej serce. - W jej oczach zapłonął gniew. - Gdyby to ode mnie zależało, kazałabym mu zapłacić za krzywdę mojej siostry.

- Nie wymieniła jego nazwiska? Nigdy ci nic nie powiedziała?

- Kilka razy rzuciła jakąś aluzję... - Marguerite potrząsnęła głową. - Nie znam jego nazwiska, Amelio, wiem tylko, że był to ktoś z dobrej rodziny. Ktoś, kto na pewno doskonale wiedział, że nie wolno uwodzić niewinnej dziewczyny.

- To rozległy temat. Byłam wstrząśnięta, kiedy Lucinda odebrała sobie życie.

- O ile tak było... - Jej oczy znów rozjarzyły się gniewem. - Skąd możemy wiedzieć, że się sama zabiła?

- Myślałam, że to nie podlega wątpliwości.

- Czasami się zastanawiam... - Marguerite urwała. - Tuż przed śmiercią wydawała się bardzo szczęśliwa. Napomknęła nawet, że może już wkrótce mieć radosne nowiny, a potem nagle znikła... i wyłowiono ją martwą z rzeki. Miała podartą suknię, zniknął też z jej palca pierścionek, z którym się nie rozstawała. Podejrzewam, że on jej go zdjął, zanim ją... zamordował...

- Marguerite! - Amelia spojrzała na nią z przerażeniem. - Myślisz, że Lucindę zabił jej kochanek? Dobry Boże... dlaczego?

- Wiem, że ją zabił! Nawet jeżeli odebrała sobie życie, to przez niego. To on był prawdziwym mordercą - powiedziała z bezbrzeżną goryczą. - Była jeszcze dzieckiem, a on ją wykorzystał. A potem, kiedy mu zagroziła, że ujawni jego nazwisko, zepchnął ją do rzeki i przyglądał się, jak tonie. Bo Lucinda nie umiała pływać.

- Skąd możesz to wiedzieć? Nie wiesz nawet, jak się nazywał.

- To prawda, ale znam większość najważniejszych faktów. - Marguerite uniosła hardo głowę. - Gdybym wiedziała, kto to był... nie spoczęłabym, dopóki nie poniósłby kary...

Amelia dotknęła jej ramienia.

- Rozumiem, jak bardzo cierpisz mimo upływu lat, ale twoja nienawiść nie przywróci jej życia. Przeszłości nie da się zmienić.

- Nikt nie wie, ile wycierpiałam za ten jej kompletny brak zasad moralnych. Gdyby się prowadziła jak należy, nie doszłoby do tego wszystkiego. Po co się oddawała temu wiarołomnemu nikczemnikowi? Nie tylko sobie zrujnowała życie, ale przy okazji i mnie.

- Spróbuj o tym zapomnieć, Marguerite. Teraz jesteś tutaj, z nami. Poznasz naszych przyjaciół i będziesz miała wiele okazji, aby znaleźć szczęście.

- Rodzice nigdy mi nie pozwolą wyjść za mąż.

- Mam nadzieję, że się zgodzą, gdy tylko trafi ci się dobra partia - pocieszyła ją Amelia. - Jeżeli poznasz kogoś, kto ci przypadnie do serca, spróbuję ich przekonać, obiecuję.

- Nie można ufać mężczyznom - mściwie wyznała Marguerite. - Uwodzą uśmiechami i słodkimi słówkami, a potem łamią życie. Uważaj, komu zawierzyłaś, Amelio. Nawet ślub nie daje gwarancji szczęścia.

- Sugerujesz, że hrabia nie jest godzien zaufania?

- Pierwszą żonę tak bardzo unieszczęśliwił, że targnęła się na życie... - Przerazona zakryła sobie usta. - Nie powinnam była tego mówić... teraz pewnie odeślesz mnie do domu. A jednak to prawda, i powinnaś być podwójnie ostrożna, Amelio. Upewnij się, że cię rzeczywiście kocha, bo inaczej ciebie też skrzywdzi.

- Nie bój się, nie odeślę cię do domu. - Przerwała na moment, marszcząc brwi w namyśle. - Naprawdę wierzysz, że to Gerard doprowadził Lisette do samobójstwa? Czy ją okrutnie traktował?

- Wiem tylko to, co mi ktoś powiedział. - Marguerite obrzuciła ją dziwnym wzrokiem. - Po co miałaby sobie odbierać życie, gdyby była z nim szczęśliwa?

- Zrozum, znam prawdę i wiem, że to nie była jego wina. Może jednak powinnam go jeszcze raz o to zapytać - dodała w zadumie.

- Powinnaś! - Marguerite chwyciła ją za rękę. - Dla własnego dobra, Amelio. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby spotkało cię przez niego jakieś nieszczęście.

- Puść, to boli!

- Wybacz, nie zdawałam sobie sprawy... - Puściła jej rękę.

Amelia zaczęła sobie rozcierać nadgarstki.

- Nie mam ci czego wybaczać. Wiem, że o mnie myślisz, ale proszę, nie wracajmy już do tego.

- Wybacz mi. Jesteś dla mnie taka dobra. Nie miałam prawa się wtrącać, ale naprawdę zależy mi na twoim szczęściu.

- Wiem. - Amelia uśmiechnęła się do niej. - Nie miej takiej zgnębionej miny, Marguerite. Nie każę ci wracać do rodziców.

- Jesteś zbyt wspaniałomyślna. Ludzie cię wykorzystują. Emily powiedziała mi, co zrobiłaś dla lady Pendleton i lady Coleridge.

- Gdybym wiedziała, jaka jesteś nieszczęśliwa, zaprosiłabym cię znacznie wcześniej. Myślę jednak, że wcale nie jest dla ciebie za późno, aby rozpocząć nowe życie. Możesz jeszcze znaleźć szczęście, musisz się tylko odciąć od przeszłości.

Marguerite popatrzyła na nią w milczeniu, po czym opuściła pokój.

Amelii wydawało się, że rozumie jej uprzedzenia względem Gerarda. Wciąż niepokodzona ze śmiercią siostry, Marguerite nie wierzyła już żadnemu mężczyźnie. Jednak kiedy pozna lepiej Gerarda, przekona się, jak bardzo mylny jest jej osąd.

Późnym wieczorem Amelia siedziała przed lustrem, gdy nagle drzwi garderoby otworzyły się i do pokoju wkroczył Gerard. Podeszedł do drzwi wiodących do holu, naciśnął klamkę i usatysfakcjonowany pokiwał głową, kiedy się okazało, że są zamknięte na klucz. Amelia wstała. Włosy, z których wyjęła już spinki, rozsypały się na ramiona. Miała na sobie koronkowy jasnoniebieski peniuar zarzucony na jedwabną koszulę nocną w podobnym odcieniu. Była boso. Wzięła z toaletki flakonik perfum i skropiła się za uszami.

- Dlaczego sprawdzałeś drzwi?

- Bo chciałem mieć pewność, że tym razem nikt nam nie przeszkodzi.

Zobaczyła, że jest nadal w stroju podróżnym, zdjął tylko wysokie buty.

- Czemu zawdzięczam twoją wizytę, Gerardzie?

- Nie miałem okazji pomówić z tobą w cztery oczy przez wiele dni - odparł wyraźnie zgnębiony. - Musimy porozmawiać, Amelio.

- Tak, zgadzam się z tobą. Myślę, że powinieneś mi wreszcie powiedzieć, jak naprawdę było z Lisette. Coś mi już opowiadałeś, ale chyba nie wszystko, prawda, Gerardzie?

- Tak... - Zmrużył oczy. - Tylko po co ci ta wiedza, Amelio?

- Wyznałeś, że kiedy brałeś ślub z Lisette, wciąż byłeś rozgoryczony na mnie i mojego brata, Powiedz mi jednak, czy ją kochałeś?

- Nie. Mówiłem ci też, że leżała przy drodze zgwałcona i na wpół żywa. Pielęgnowałem ją, dopóki nie wyzdrowiała, i wtedy mi powiedziała, że jej ukochany zginął na wojnie, a ona nosi jego dziecko. Ożeniłem się z nią, żeby zapewnić ochronę Lisette i dziecku. Amelio, podjąłem taką decyzję, bo byłem przekonany, że już nigdy nie będziemy razem.

Podniosła na niego oczy.

- Powiedziałeś, że tej nocy, kiedy Michael kazał cię pobić, coś w tobie umarło. Myślisz, że byłbyś w stanie pokochać mnie po raz drugi?

- Naprawdę coś takiego mówiłem? - zdumiał się Gerard. - To prawda, że przez długi czas byłem jak martwy, ale przecież nie teraz, na Boga! Chyba sama w to nie wierzysz? Nie czujesz, jak bardzo jesteś mi bliska, moja ukochana?

- Miałam nadzieję, że z czasem...

- Uwierz mi, jesteś jedyną kobietą, którą pragnę mieć za żonę. Tak było, jest i zawsze będzie.

- Naprawdę?

- Ależ oczywiście.

- A po co teraz przyszedłeś?

- Żebyśmy mogli porozmawiać.

- Myślałam, że w zupełnie innym celu... - Przysunęła się bliżej.

Poczuł kuszący zapach jej perfum.

- Mówiłaś mi, że powinniśmy być ostrożni; zauważyłem też niepojętą dla mnie zmianę w twoim zachowaniu. Zapytałaś mnie o Lisette, a ja ci odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Powiesz mi wreszcie, co cię gnębi?

- Cóż, pewnie powinnam, choć nie spodziewaj się żadnych rewelacji. Martwię się, bo odnoszę wrażenie, że Emily i Marguerite bardzo się nie lubią. Helene też to zauważyła... Poza tym Marguerite sugerowała, że Emily mnie okłamuje.

- Dobry Boże! - Gerard zasepił się. - Co konkretnie powiedziała?

- Ktoś zabrał kilka listów z mojego pokoju. Pytałam Marthę, Emily i Marguerite, ale każda twierdziła, że to nie ona, natomiast Marguerite utrzymuje, że widziała koperty zaadresowane moim pismem na tacy w holu.

Max, jak wiesz, zawsze przygotowuje opłatę za przesyłki swoich gości, żeby oszczędzić adresatom wydatku przy odbiorze. Oznacza te listy...

- Listy... - Gerard zmarszczył czoło. - Nie widzę nic złego w tym, że ktoś zniósł je za ciebie. Co cię tak dziwi?

- Niby nic, tyle że jedna z nich musiała wziąć te listy, ale żadna nie chce się przyznać.

- Pytałaś pokojówkę?

- Tak, ale Martha nigdy nie zabiera przesyłek bez mojego polecenia. Marguerite twierdzi, że widziała Emily wychodzącą z mojego pokoju tamtego ranka, natomiast Max powiedział Helene, że oznaczył trzy moje listy. A ja napisałam cztery.

- Cztery? Jesteś tego pewna? - Gdy skinęła potakująco głową, zacisnął usta. - Czy w tych pismach było coś wartościowego lub ważnego?

- Dwa z nich to były podziękowania za gwiazdkowe prezenty, trzeci do Michaela, w którym powiadomiłam go o naszym ślubie, a czwarty...

- Nie wiesz, który zniknął?

- Nie jestem pewna. Max pamiętał, ile ich było, ale nie mógł sobie przypomnieć, do kogo były adresowane. Ten czwarty był do matki Marguerite, podziękowanie, że pozwoliła córce do nas przyjechać.

- Myślisz, że właśnie ten list mógł zaginąć?

- Nie wiem. - Amelia zawahała się. - Były też te lilie... ktoś wstawił doniczkę do mojego pokoju. Martha poczuła zapach i je wyniosła. Całe szczęście, bo dostałabym od nich bólu głowy. Miały strasznie mocny zapach. To w sumie głupstwo, ale Marguerite powiedziała coś, co kazało mi podejrzewać Emily. Chyba że... - Westchnęła bezradnie. -

Może to zabrzmieć śmiesznie, ale zastanawiałam się, czy Marguerite nie chce zająć miejsca Emily w moim sercu... i czy Emily nie udaje choroby, bo jest zazdrosna.

- Och, błahostki - lekceważąco rzucił Gerard. - Jesteś pewna, że to wszystko?

- Były jeszcze mgliste aluzje, które wcale mi się nie podobały, ale w sumie nic istotnego. Aha, ktoś rozmawiał z Lisą o śmierci jej matki. Musiałam ją pocieszać, że umarła we śnie, bez bólu. Byłoby źle, gdybyśmy jej powiedzieli prawdę. Bała się, że i ja mogę umrzeć albo ją zostawię, dlatego przekonywałam ją, że zamierzam żyć bardzo długo.

- Kto jej to powiedział? Trzeba było porozmawiać z tą osobą, Amelio. Dać jej jasno do zrozumienia, że to niedopuszczalne.

- Emily źle się czuła. Porozmawiam z nią, kiedy wydobrzeje.

- Myślisz, że to panna Barton? - zapytał Gerard, wpatrując się w nią intensywnie. - Czy panna Ross powiedziała ci, że to Emily?

- Nie. Lisa zaczęła mi coś opowiadać, ale po tym, jak jej wszystko wyjaśniłam, uspokoiła się i poszła przejrzeć książkę. Nie chciałam jej dalej wypytywać o incydent, o którym najlepiej zapomnieć. Pomówię z Emily, jak już będzie całkiem zdrowa.

- Może powinnaś obie odesłać? Wzięlibyśmy dla Lisy guwernantkę...

- Gerardzie! Przecież to moje przyjaciółki. Jak mogłabym zwolnić którąkolwiek z nich za takie drobiazgi?

- Drobiazgi, powiadasz? Jesteś tego pewna?

- Dostyc już, Gerardzie. - Amelia dotknęła jego policzka. - Teraz wiesz, dlaczego się wahałam, czy ci to powiedzieć. Ktoś mnie okłamał, ktoś rzucał bezpodstawne oskarżenia, ale gdzie w tym sens, gdzie logika? Porwanie Emily przewróciło wszystko do góry nogami. Łatwo dopatrywać się winy tam, gdzie jej nie ma. - Przerwała na moment. - Tak czy inaczej, musimy poznać prawdę, nie zaś błądzić w próżnych domysłach, choć myślę, że wyjaśnienie jest banalne...

- Proszę, Amelio, nie bagatelizuj sprawy. Jeżeli któraś z nich chciała skrzywdzić ciebie albo Lisę... - W jego oczach błysnął gniew.

Położyła mu palec na ustach.

- Lisa jest bezpieczna, najdroższy. Czemu któraś z nich miałaby ją skrzywdzić? Poza tym obie ją kochają, jestem tego pewna.

- A dlaczego ktoś nie chce dopuścić do naszego ślubu? - upierał się Gerard.

- Ani Emily, ani Marguerite nic by na tym nie zyskały. Moim zdaniem, są tylko o siebie zazdrosne.

- Wobec tego nie przybliżyliśmy się choćby o krok do odkrycia, kto jest naszym wrogiem.

- A może jednak... Gerardzie, mam przeczucie, że posunęliśmy się do przodu. Coś mi świta, ale nie mogę ci jeszcze powiedzieć, o co chodzi.

- Nie możesz? Dlaczego? Chyba niczego przede mną nie ukrywasz? - Jego oczy zdawały się zaglądać w głąb jej duszy. Gdy przecząco potrząsnęła głową, Gerard uśmiechnął się, po czym przyciągnął ją do siebie, a ona poczuła bijący od niego żar podniecenia. - Nie powinno mnie tu być, bo stanowisz dla mnie zbyt wielką pokusę, kochanie. Chcę cię chwycić w ramiona i zanieść do tego łóżka. Chcę poznawać i całować każdy centymetr twego cudnego ciała.

Jej usta rozchyliły się w zachęcającym uśmiechu.

- Wiesz, jak bardzo pragnę być twoja, Gerardzie. Jeżeli chcesz mnie teraz, nie odmówię ci.

- Nieprzeparta pokusa - szepnął - ale intuicja mnie ostrzega, że nie powinienem wykorzystywać sytuacji... że powinienem poczekać... - Przesunął palcami po jej szyi, potem musnął ustami małą pulsującą żyłkę nad obojczykiem.

Amelia przywarła do niego instynktownie.

- Gerardzie... zapomnij o podejrzeniach... zapomnij o ostrożności... Chcę być twoja.

- Gdyby coś mi się stało... gdyby miało być dziecko... - ostrzegał, przyciągając ją do siebie. - Amelio, moja najdroższa Amelio, tak bardzo cię pragnę...

Wtulila się w niego.

- Gdyby coś miało nas rozdzielić, poznam przynajmniej twoją miłość - wyznała namiętnym szeptem. - Nie jestem już podlotkiem, Gerardzie, jestem kobietą, ale nigdy nie zaznałam miłości z mężczyzną. Ani szczęścia, jakim jest połączenie się z tobą w jed-

ność. Nie pozwól, abym zeszła z tego świata, nie wiedząc, jak być kochaną. Błagam cię, mój najdroższy! Gdyby któreś z nas miało nie dożyć ślubu, będziemy mieli przynajmniej tę jedną noc.

Czy mógł się oprzeć takim prośbom? Chwycił ją na ręce, zaniósł do łóżka i położył ostrożnie na miękkich, pachnących prześcieradłach. Koronkowy peniuar rozsunał się, odsłaniając ponętne wzniesienia piersi. Szaleńczo podniecony, zaczął zrywać z siebie koszulę, drąc w pośpiechu kosztowny materiał. Amelia tymczasem wyłuskała się z peniuaru i została tylko w cieniutkiej koszulce, która cudownie uwypuklała jej kształty.

Zrzuciwszy z siebie resztę ubrania, Gerard stanął nagi przed Amelią, która zlustrowała wzrokiem jego ciało, od smukłych, umięśnionych nóg, poprzez gładki brzuch, muskularny, owłosiony tors, szerokie ramiona, a także... Po raz pierwszy widziała mężczyznę w całej okazałości, a ten mężczyzna tak bardzo jej pragnął... Oszołomiona i spragniona ostatecznych doznań, uniosła biodra, by Gerard mógł zdjąć z niej nocną koszulę, po czym znów opadła na pościel.

Położył się obok niej i zanurzył twarz w jej włosach. Ich zapach wprost go upajał. Usta Amelii miały smak wina, a oddech był słodki jak miód. Z cichym westchnieniem rozchyliła wargi i połączyli się w cudownym pocałunku.

Gerard rozpoczął wędrówkę w dół jej ciała, wytyczając szlak wzdłuż smukłej szyi i białego dekoltu, by zatoczyć kręgi wokół różowych czubków piersi. Wreszcie jego usta spoczęły na jej rozkosznym wzniesieniu, a ręką wślizgnęła się między uda.

Wprawnymi pieszczotami jeszcze bardziej rozbudzał Amelię, aż wreszcie całą sobą dała niecierpliwy znak, że jest już całkiem gotowa. Gerard bezbłędnie odczytał ten sygnał i wsunął się w Amelię, wypełniając ostateczny akt połączenia się kochanków.

Pożegnała dziewictwo okrzykiem bólu, który jednak szybko minął pod wpływem kojących pocałunków Gerarda. Ciało ich, tak idealnie zjednoczone, zaczęły się poruszać w zmysłowym rytmie. Wzlatywali coraz wyżej i wyżej, unoszeni przez żywioł, aż wreszcie Gerard jęknął głucho i doznał spełnienia, a ona sekundę później poszła w jego ślady.

Wyczerpana, lecz i przepelniona błogim zadowoleniem, wtuliła się w ukochanego. Policzki miała wilgotne od łez. To, co się stało, przekroczyło jej najśmielsze oczekiwania.

- Marzyłam o tym latami... - wyszeptała. - Śniłam po nocach... ale nawet mi przez myśl nie przeszło, że może być tak... cudownie.

- To dzięki tobie, najdroższa. Nigdy nikogo tak nie kochałem... nie zaznałem takiego poczucia jedności... takiego szczęścia.

- Gerardzie... - wymruczała z ustami wtulonymi w jego ramię. - Staliśmy się odtąd jednym ciałem. Nikt i nic już nas nie rozdzieli.

- Nigdy na to nie pozwolę! - Podparł się na łokciu i spojrzał jej w oczy. - Jesteś moja. Na zawsze.

Amelia nie zasunęła kotar do końca. Blask świec wydobywał z mroku kontury dwóch obejmujących się i całujących postaci.

Stojąca w ogrodzie kobieta przyglądała im się już od jakiegoś czasu. Księżyc wyłonił się na moment zza chmur, oświetlając jej bladą twarz, na której gniew i gorycz wycisnęły swoje piętno. Pochłonięta podglądaniem tego, co działo się w sypialni, nie usłyszała kroków zbliżającego się mężczyzny, i aż podskoczyła, kiedy dotknął jej ramienia. Obróciła się błyskawicznie i byłaby mu przeorała twarz paznokciami, gdyby jej nie chwycił za nadgarstki.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknął. - Przecież to ja, Gordon!

- Przestraszyłeś mnie. Po co się tak skradasz? Myślałam, że mnie ktoś zaatakował.

- Dzika kotka... - Z uśmiechem przyciągnął ją do siebie.

Jednak kiedy zaczął zachłannie ją całować, odepchnęła go ze złością.

- Nie! Mówiłam ci! Najpierw muszę dostać to, czego chcę. Gerard Ravenshead musi umrzeć.

- A co z nią? - Porucznik Gordon wskazał ruchem głowy na okno. - Powiedziałaś, że ma zostać zgwałcona, a on musi na to patrzeć. Szczerze mówiąc, nie bardzo mi to w smak... Chętnie wpakuję mu kulkę w tył głowy, ale ona nic mi nie zawiniła. Nigdy dotąd nie zabiłem kobiety i na myśl o tym wszystko się we mnie burzy.

- Chciałam, żeby cierpiała tak, jak pewna osoba, ale to już nie ma znaczenia. Teraz chcę tylko jednego. Niech on zobaczy ją martwą! Niech cierpi; niech wie, jak to jest stracić wszystko. - Nienawiść wyzierała z jej oczu. - Jego śmierć nie jest wystarczającą karą

za to, czego się dopuścił. Jeżeli chcesz mnie osiąść, musisz się zemścić i za mnie, i za siebie. - Niespodziewanie posłała mu uśmiech tak zniewalający, że aż mu dech zaparło z wrażenia. - Wiem, że mnie pragniesz... ale najpierw zemsta!

- Dobrze, dam ci ją. Zabiję go z najwyższą rozkoszą. Słyszałem, że zamierzają się pobrać. Mam to zrobić przed czy po ślubie?

Spojrzała przez ramię, ku oknom sypialni. Całująca się para zniknęła. Oczyma duszy zobaczyła ich w łóżku... jak się kochają. Gwałtowny przypływ gniewu sprawił, że aż pociemniało jej przed oczami. Przemogła się jednak, aby zdusić w zarodku kolejny atak szału. Już tylko krok dzielił ją od upragnionej zemsty.

- Im prędzej, tym lepiej - powiedziała. - Nie ma na co czekać. Właśnie układam plan. Jak mogę się z tobą skontaktować, gdybym cię wkrótce potrzebowała?

- Będę w zajeździe, w miasteczku. Wyślij list pocztą albo przez stajennego.

- Spotkamy się za tydzień, w tym samym miejscu, i wtedy ci powiem, jaki jest plan.

Kiedy Amelia się obudziła, miejsce obok niej było puste. Popatrzyła na wgniecenie w poduszce, gdzie jeszcze niedawno spoczywała głowa Gerarda. Prześcieradła wciąż przesiąknięte były jego zapachem. Narzeczony opuścił ją, zanim pojawiła się służba, żeby nie zaszkodzić jej reputacji. Przeciągnęła się z błogim uśmiechem. Miniona noc obfitowała w niewyobrażalne rozkosze, kiedy poznawali nawzajem swoje ciała. Dla Amelii ich miłość okazała się wielkim odkryciem, a Gerard wyznał jej, że z nim było tak samo.

- Nigdy w życiu nie było mi tak cudownie jak z tobą, najdroższa - wyznał, nim zapadła w głęboki sen.

Spała tak mocno, że nawet nie poczuła, kiedy wstał z łóżka. Pewnie zresztą starał się jej nie budzić. Trochę śmieszyła ją ta jego galanteria, bo służąca i tak się wszystkiego domyśli, kiedy będzie zmieniała pościel.

Dawniej bałaby się o swoje dobre imię, ale teraz była zbyt zakochana, żeby się tym przejmować. W końcu jest zaręczona z człowiekiem, którego kocha i którego żoną zostanie za kilka tygodni. Tak naprawdę nic innego się nie liczyło... choć zarazem życie musi iść swoim trybem, a każdy ma swoje obowiązki. Ona również.

Wstała, wzięła dzbanek z wodą i obmyła się przy umywalce, po czym włożyła domową suknię i wyszła, zanim Martha pojawiła się, by odsłonić okna. Przemierzyła długi korytarz, po wejściu na półpiętro przystanąła przed drzwiami Emily i delikatnie zapukała.

- Mogę wejść, kochanie? - zawołała półgłosem.

- Drzwi są otwarte. Proszę, wchodź, Amelio.

Jak się okazało, Emily wstała już i zdążyła pościelić łóżko, była jednak jeszcze blada i widać było, że źle spała tej nocy.

- Jak się czujesz? - zapytała Amelia.

- Tak samo jak wczoraj. Nie wymiotowałam już, ale wciąż boli mnie głowa.

- A to mnie zmartwiłaś. - Amelia przyjrzała jej się z niepokojem. - Mam poprosić Gerarda, żeby posłał po doktora?

- Nie chcę sprawiać kłopotu. Zresztą jestem pewna, że to nic poważnego i szybko minie. - Emily zaczęła poprawiać szarfę przy sukni, wygładzając ledwie widoczne zmarszczki. - Chciałabym, żebyś miała ze mnie jakiś pożytek, Amelio. Co mogę dla ciebie zrobić? Może mogłabym pomóc ci przy wysyłaniu zaproszeń? Masz masę rzeczy do zrobienia, a termin ślubu jest bliski.

- Wolałabym, żebyś teraz jak najwięcej odpoczywała, Emily. Bardzo mnie martwi twój stan. Marguerite może mi w tej chwili pomagać, a ty dołączysz do nas, jak odzyskasz formę.

- Już mi zdecydowanie lepiej - zapewniła. - Naprawdę wolę ci pomagać, niż siedzieć w pokoju.

- Dobrze. Przygotowałam listę osób, które trzeba zawiadomić. Przejrzemy ją i zobaczymy, czy o kimś nie zapomniałam. Potem Gerard każe wydrukować zaproszenia, a ja je podpiszę. Mam nadzieję, że poczujesz się już wtedy na tyle dobrze, by zająć się adresowaniem kopert. Będą też listy z podziękowaniami do przyjaciół, no i oczywiście lada dzień trzeba będzie zamieścić ogłoszenie w „Timesie”.

- Wyglądasz na bardzo szczęśliwą, Amelio - powiedziała Emily z uśmiechem. - Nie martw się o mnie. Powinien to być dla ciebie radosny czas, a ja za kilka dni całkiem dojdę do siebie.

- Mam nadzieję, kochanie. Spotkajmy się o jedenastej w saloniku na tyłach domu. Teraz pójde zjrzeć do Lisy, a potem pani Mowbray oprowadzi mnie po domu, ale do jedenastej powinnam być gotowa.

Zgodnie z jej przewidywaniami, Lisa była już na nogach i cała gotowa do zabawy. Spędziły uroczą godzinę, podczas której czytała dziewczynce książkę i pomagała rysować. Lisa wykonała bardzo udany obrazek psa, a potem spojrzała na Amelię i zapytała:

- Czy papa pamięta, że chcę mieć pieska?

- Myślę, że tak, ale gdyby zapomniał, to mu przypomnę - obiecała.

- Jesteś dla mnie taka dobra! Ona powiedziała mi, że papa zapomni... Powiedziała też, że papa mnie nie kocha, bo nie kochał mojej mamy... - Lisa posmutniała. - Och, ale papa mnie kocha... przecież sam mi to mówił.

- Kto ci to powiedział, Liso? Emily?

Lisa pokręciła głową i zerknęła przez ramię.

- Ona powiedziała, że jak ci powiem, to niania wróci i mnie ukarze.

- Niania nigdy nie wróci. Przecież ci to obiecałam, Liso.

- Tak, obiecałaś, ale ją widziałam dziś w nocy, w ogrodzie. Patrzyłam przez okno, bo lubię oglądać księżyc.

- Widziałaś nianię? Pannę Horton? Tutaj, tej nocy?

- Tak. Melio, ona rozmawiała z jakimś panem, a potem odeszli.

- Powiem twojemu papie. Niania nie ma prawa tu być i zostanie natychmiast odesłana. Kto ci powiedział, że ona tu wróci?

Lisa otworzyła usta, a potem szybko je zamknęła, bo ktoś wszedł do pokoju, ale w jej spojrzeniu kryła się odpowiedź.

Amelia wzięła ją za rękę i uśmiechnęła się krzepiąco.

- Papa nie zapomni, kochanie - wyszeptała jej do ucha. - Nie słuchaj, co ci mówią. Nie pozwolę, żeby ktoś cię krzywdził albo zaniedbywał. - Gdy Lisa uściskała ją i znów nie chciała się od niej oderwać, dodała: - Biegnij teraz do Mary, kochanie. Mam mnóstwo roboty, ale po południu zabiorę cię spacer po ogrodach. - Odwróciła się i przywitała uśmiechem Marguerite. - Widzę, że wcześniej dziś wstałaś. Może, tak jak ja, jesteś ranym ptaszkiem?

- Lubię wczesnie wstawać. To najlepsza pora dnia. Lubię też spacerować, zanim inni wstaną.

- Przepraszam cię, moja droga, ale wzywają mnie liczne obowiązki... - powiedziała Amelia.

Rozdział dziewiąty

Po obejrzeniu domu z panią Mowbray Amelia odbyła z nią naradę. Gospodyni zapytała, czy wszystko jej odpowiada i czy chciałaby wprowadzić jakieś zmiany w rozkładzie dnia.

- Na razie jestem zadowolona - odpowiedziała - jednak niania Mary będzie potrzebowała dodatkowej osoby do pomocy. Nie jest w stanie robić wszystkiego, a ja nie chcę, żeby Lisa zostawała sama nawet na chwilę.

- Ktoś nowy? Myślałam, że panna Ross ma się zajmować dzieckiem.

- Panna Ross jest kimś pomiędzy guwernantką a przyjaciółką - wyjaśniła Amelia. - Będzie się zajmowała Lisą, ale potrzebna mi jeszcze jedna sensowna dziewczyna, która pomoże Mary. Taka, która w razie czego nie straci głowy. Ma pani może kogoś odpowiedniego czy sami musimy poszukać?

- Jest Beattie - powiedziała pani Mowbray. - Ma złote serce i ośmioro młodszego rodzeństwa, ale nie jest zbyt bystra. No, głupia też nie, akuratnie robi, co do niej należy, i z pewnością będzie bardzo oddana pannie Ravenshead, tyle że nie pomoże jej w nauce.

- Myślę, że właśnie o kogoś takiego mi chodzi powiedziała Amelia. - Proszę mi ją przysłać do pokoju za kilka minut, dobrze?

- Oczywiście, panno Royston. Będzie to dla niej awans. Jestem pewna, że się bardzo ucieszy.

- Trzeba jej podnieść pensję. Zostawiam to do pani uznania.

- To bardzo szczodry gest. - Gospodyni rozpromieniła się. - Beattie oddaje większość zarobku matce, więc będzie to dla nich duża pomoc. Myślę, że pięć szylingów na miesiąc to godziwa pensja.

- Wobec tego wszystko ustalone - zdecydowała Amelia, wstając. - Pójdę się przebrać. Proszę jak najszybciej przysłać mi Beattie.

Zmieniła suknię i mocowała się właśnie z haftką na karku, kiedy pukanie do drzwi zaanonsowało przybycie Beattie.

- O, jesteś już - powitała dziewczynę. - Mogłabyś mi pomóc z tą haftką?

- Tak, oczywiście, proszę pani.

Beattie zapięła jej suknię, a potem stanęła przed nią ze splecionymi rękami.

- Lubisz dzieci, Beattie?

- Tak, i to bardzo. Mama ma nas dziewięcioro, a ja pomagałam jej przy wszystkich, dopóki nie zaczęłam tu pracować.

- Wobec tego, jak sądzę, zajmowanie się Lisą sprawi ci przyjemność?

- Czyż mogłoby być inaczej? To takie miłutkie dziecko. - Beattie wręcz promieniała.

Była pulchną, pogodną dziewczyną o kręconych włosach i niebieskich oczach, ale widać było, że ma charakter.

Amelia doskonale rozumiała, dlaczego pani Mowbray ją poleciła.

- Będiesz pomagała niani Mary, bo nie chcę, żeby Lisa choćby na chwilę zostawała sama. Macie jej towarzyszyć albo ty, albo Mary, w pokoju dzieciennym, a także kiedy wychodzi, cały czas, bez przerwy. Chyba że będzie ze mną albo z hrabią. Niania Mary sprawuje pieczę nad wszystkim, ale gdyby coś cię zaniepokoiło, o każdej porze możesz przyjść do mnie.

- Tak, proszę pani, rozumiem - odparła Beattie. - Może mi pani zaufać. Nie spuszczę z niej oka.

- Świetnie. O to właśnie mi chodzi.

W małym saloniku, którego okna wychodziły na rosarium, Amelia wraz z Emily przeglądały listę gości. Kiedy Gerard wszedł do pokoju, Emily wstała.

- Przepraszam, ale pójdę się położyć. Znów mnie zaczyna boleć głowa, więc spróbuję się zdrzemnąć pół godziny przed lunchem.

- Nie powinnaś schodzić na dół, skoro się źle czujesz, kochanie - powiedziała Amelia. - Każę pokojówce, żeby ci przyniosła tacę z jedzeniem.

- Nie, dziękuję. Martha zaparzy mi ziółka.

Po wyjściu Emily Gerard zwrócił się do Amelii:

- Myślisz, że przyczyną słabości panny Barton jest zawód miłosny? Mogę napisać do Sinclaira i zażądać, żeby się wytłumaczył.

- Nie, on miał swoje powody. Myślę jednak, że przyjedzie, jak tylko do tego dojrzeje. Poza tym nie przypuszczam, aby to było przyczyną bólów głowy Emily.

- Jeżeli jest naprawdę chora, powinniśmy wezwać lekarza.

- Tak zrobię, gdyby jej się nie poprawiło w ciągu najbliższych dni. Jak się czujesz tego pięknego ranka, Gerardzie? - dodała z uśmiechem, wstając, kiedy do niej podszedł.

Uśmiechnął się szeroko.

- Może uszło to twojej uwadze, ale od rana pada i wieje silny wiatr. - Wyciągnął do niej rękę. - Ranek jest rzeczywiście cudowny, moja najdroższa. Niczego nie żałujesz? - zapytał, spoglądając jej w oczy.

- Nie. A ty?

- Znasz moją odpowiedź, Amelio. - Pocałował ją w usta. - Przed tą nocą kochałem cię, ale teraz wręcz uwielbiam, moja boska, namiętna damo.

- Pewnie myślisz, że jestem rozwiązła? - spytała zaczerwieniona.

- Tak, i to w najrozkoszniejszy sposób. Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

- Och, Gerardzie, było tak cudownie... tyle lat o tym marzyłam...

- I tyle lat zmarnowaliśmy - stwierdził ponuro. - Jakim byłem głupcem, że pozwoliłem twojemu bratu nas rozdzielić. Jednak teraz nikt i nic już nie stanie na drodze naszemu szczęściu. Tylko śmierć może nas rozłączyć.

- Czy twoi ludzie nadal patrolują okolice? Teraz też? - zapytała.

- Oczywiście. Rano wydałem nowe dyspozycje. A czemu pytasz?

- Bo tej nocy Lisa widziała w ogrodzie niańkę Horton z jakimś mężczyzną...

- A niech to... - Gerard nie zdołał powstrzymać przekleństwa. - Musieli nas śledzić, a przecież moi ludzie jechali za nami i żaden z nich niczego nie zauważył. Myślałem, że jeszcze przez kilka dni nikt nie będzie wiedział, że tu jesteśmy... - Urwał, marszcząc czo-

ło. - Ciekawe, bardzo ciekawe, co niańka Horton robiła w ogrodzie... Nic już z tego nie rozumiem.

- A ja chyba wreszcie zaczynam rozumieć... - Nie dokończyła, bo drzwi saloniku otworzyły się. - Dzień dobry, Marguerite. Wracasz od Lisy?

- Tak. Czytałam jej przez godzinę. Była też ta nowa dziewczyna do dziecka, ale kiedy chciałam ją po coś posłać, odmówiła. Powiedziała, że nie wyjdzie z pokoju. Może się okazać nieposłuszna. Boję się, że trzeba ją będzie zwolnić.

- Nie sądzę - zaproponowała Amelia z uśmiechem. - Beattie ma przykazane, że nie wolno jej zostawiać Lisy samej. - Spojrzała znacząco na Gerarda. - Sądzę, że powinniśmy ci o czymś powiedzieć, Marguerite. Otóż hrabia otrzymał ostrzeżenie. Była to zepsuta lalka. Mamy podstawy do obaw, że chodzi o panienkę Lisę. Może ktoś chce ją porwać dla okupu? Dlatego jedna ze służących musi być zawsze pod ręką. Gdyby coś złego zaczęło się dziać, nie poradziłabyś sobie sama, a jeśli będą dwie osoby, przynajmniej jedna zawsze zdąży wszczać alarm. Nie mam racji?

- Ktoś miałby porwać Lisę? - Marguerite była zaszokowana. - To straszne, Amelio! Teraz już rozumiem, skąd ta ostrożność. Jak można być takim potworem, żeby grozić dziecku! A Lisa jest taka urocza!

- Owszem - przytaknęła Amelia. - Wolałabym, żeby to mnie grożono. Gdyby ktoś próbował skrzywdzić Lisę, nigdy mu nie wybaczę.

- Pewnie, że nie - powiedziała Marguerite. - Byłoby to niemożliwe.

- Potrzebujesz czegoś ode mnie? - zapytała ją Amelia. - Szukałaś mnie w konkretnym celu?

- Och... Emily powiedziała mi, że się znowu źle czuje i poprosi Marthę o ziółka. Nie wiem, jakich ziół używa wasza służąca, ale niektóre mogą u pewnych osób powodować bóle głowy. Moim zdaniem herbatka z rumianku jest bardzo skuteczna. Mogłabym Emily taką zaparzyć...

- Pytałaś ją?

- Odmówiła, ale gdybym jej zaniósła do pokoju...

- Byłoby to bardzo miłe z twojej strony, Marguerite. Mnie rumianek zawsze pomagał.

- Wobec tego zaparzę jej te ziółka. - Marguerite skinęła głową i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- O co tu chodzi...? - zaczął Gerard, ale Amelia potrząsnęła głową, podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz. Gerard śledził jej poczynania ze zdumieniem. - Co ty planujesz, Amelio? Dlaczego nic nie wiem o dodatkowej pokojówce dla Lisy?

- Miałam ci już powiedzieć, kiedy nam przerwano. Zdecydowałam się na to po tym, jak Lisa powiedziała mi o pani Horton.

- A ta bajeczka z lalką? Przecież wiemy, że przysłał ją Northaven.

- My wiemy, ale niech inni myślą, że ktoś groził Lisie.

- Ci inni to Marguerite Ross, tak? - zapytał, patrząc jej w oczy. - Coś w tej dziwnej panie od początku nie dawało mi spokoju, ale nadal nie potrafię powiedzieć co... Ty coś wiesz, Amelio. Powiedz mi, proszę.

- Nie mam pewności, ale podejrzewam, że Alice Horton mogła kiedyś pracować u państwa Ross. Dawno, kiedy dziewczynki były małe. Potem została zwolniona, mogła jednak nadal utrzymywać kontakt z Marguerite... Wiesz, ona, tak samo jak ja, lubi pisać listy. - Spojrzała na Gerarda. - Powiedz mi, jak to się stało, że Alice Horton trafiła do ciebie.

- Zgłosiłem się do agencji, a ona była jedną z kandydatek na tę posadę. Miała dobre referencje, ostatni pracodawca zapewniał, że to solidna osoba.

- Może i tak, ale jak na mój gust jest zbyt surowa dla dzieci.

- Nie wiedziałem, że one się znały. - Gerard spojrzał na nią z wyrzutem. - Mówiłaś, że Marguerite to twoja przyjaciółka i zaprosiła ją do nas, żeby ulżyć jej niedoli.

- To jej siostra była moją przyjaciółką. W jakiś czas po śmierci Lucindy napisałam list do jej rodziny, pani Ross odpisała mi, i tak się zaczęła nasza korespondencja. Potem Marguerite doniosła mi o swoim smutnym życiu, prosząc, abym nie wspominała o tym jej matce, która wtedy chorowała.

- Nie rozumiem... Gdzie tu sens, gdzie logika? Po co panna Ross tu przyjechała?

- Sądziłam, że przyjechała nam pomóc. Wiedziałam, że kocha dzieci, ale nie ma raczej szans na zamążpójście, bo rodzice bardzo ograniczyli jej kontakty towarzyskie, a znajomi ojca są dla niej zbyt starzy. - Amelia zamyśliła się na chwilę. - Kiedy zaprasza-

łam Marguerite, nie wiedziałam, czy rodzice ją puszcza. Napisałam do jej matki, dziękując za to, że się zgodziła, ale teraz jestem pewna, że ten list nie został wysłany.

- Zatem wyjaśniła się zagadka tych listów - stwierdził Gerard.

- Owszem. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego ktoś chciał ukraść jedną z moich przesyłek. Podejrzewałam Emily, Marthę... i Marguerite.

- A teraz uważasz, że to Marguerite? Na jakiej podstawie? Czemu miałyby jej na tym zależeć, żeby twój list nie dotarł do jej matki?

- Nie mam pojęcia. Panna Horton wiedziała, że tu będziemy, i mogła przyjechać zawczasu. Natomiast mężczyzną, z którym widziała go Lisa, mógł być... - Spojrzała na niego znacząco.

- Porucznik Gordon? - Gerard zacisnął usta, gdy Amelia skinęła głową. - To wyjaśniałoby częściowo tę zagadkę.

- Tak. Korespondowałam z Marguerite od ponad roku, więc to od niej panna Horton dowiadywała się, gdzie będziemy.

- W takim razie Marguerite wiedziała, że poprzedniego lata byłaś w Pendleton?

- Tak.

- Niech to diabli! - Gerard zaczął nerwowo przemierzać pokój. - Wpuściliśmy wroga pod swój własny dach, Amelio.

- Mój Boże, przecież Marguerite nigdy nie skrzywdziłaby dziecka... Chyba że ten człowiek ma na nią taki wpływ...

- Myślisz, że mu o wszystkim donosi? Może jest w nim zakochana?

- Może... A miłość potrafi zaślepić... Nie wiem, czy jest świadoma tego, co on knuje.

- Chciałbym to zrozumieć. - W tonie Gerarda pobrzmiwała frustracja. - Wszystko to tylko domysły. Nie mamy dotąd żadnych wiadomości od Northavena... - Urwał, bo usłyszeli w korytarzu kroki. Drzwi otworzyły się i w progu stanęła pani Mowbray. - Tak, słucham? - rzucił Gerard.

- Wybacz pan, że przeszkadzam, ale przybył pewien dżentelmen...

Toby Sinclair niecierpliwie ją wyminął, wszedł do pokoju i powiedział:

- Przepraszam, ale muszę porozmawiać z Emily. To bardzo ważne.

- Toby! - Amelia rzuciła Gerardowi przepaszające spojrzenie. Po raz kolejny przerwano im ważną rozmowę, ale wizyta Toby'ego mogła mieć ogromne znaczenie dla Emily. - Cieszę się, że cię widzę. Przyjmij wyrazy współczucia po tak ciężkiej stracie.

Cień przemknął przez jego twarz.

- Spodziewaliśmy się tego od dłuższego czasu, ale wszystko stało się tak nagle. Ojciec wiedział, że ma przed sobą tylko kilka miesięcy, liczyliśmy jednak, że pożyje dłużej. Mama była załamana. Nie mogłem jej zostawić... Teraz jednak muszę zobaczyć się z Emily.

- Oczywiście, że tak. Co stoi na przeszkodzie?

- Powiedziano mi, że jej nie zobaczę, bo jest chora. - Toby aż poblądł z rozpacz. - Miała podstawy, żeby mnie znienawidzić, mimo to muszę z nią porozmawiać. Mam jej coś bardzo ważnego do przekazania.

- Przywiozłeś jakieś wieści dla Emily? - Amelia zobaczyła w jego oczach triumfalny błysk, i nagle ją olśniło. - Czy Harry odnalazł jej dziecko?

- Jego agenci naprowadzili mnie na właściwy trop, ale to ja ją odnalazłem. Stało się dopiero wczoraj. Byłbym tu wcześniej, lecz mój przyjazd opóźnił się z przyczyn ode mnie niezależnych...

- Przyjechałeś powiedzieć Emily, że odnalazłeś jej córeczkę? - Rozpromieniona Amelia spojrzała na niego.

- Tak, mam przyjemność zakomunikować, że tak, ale Harry kazał mi najpierw porozmawiać z Gerardem. - Toby odwrócił się do niego. - Otóż Harry dowiedział się, że trzy dni temu ktoś próbował zabić Northavena. Morderca strzelił mu w plecy, ale źle wycelował i kula drasnęła tylko ramię. Harry opowiedział mi o porwaniu Emily i o tym, że to Northaven wykradł ją z rąk tych zbirów... Pewnie dlatego próbowali go zastrzelić.

- Dobry Boże! Czy Harry już się z nim widział?

- Ma się z nim spotkać dziś, a potem tu przyjedzie, i może nawet przywiezie go ze sobą.

- Tak więc sprawa stała się naprawdę poważna - powoli powiedział Gerard. - Jeżeli postrzelili Northavena, to znaczy, że nie cofną się przed niczym.

- Jest nawet gorzej, niż myślałam - odezwała się Amelia. - Skoro chcieli zabić markiza za to, że pomógł Emily...

- Idź do niej! - powiedział Gerard. - I spróbuj ją namówić, żeby zeszła na dół. Natomiast ja muszę na osobności zamienić parę słów z Tobym.

- Tak, oczywiście. - Amelia spojrzała na Sinclaira. - Emily leży z migreną ale poproszę ją, żeby z tobą porozmawiała w salonie od frontu. Powiedz mi, czy poza odnalezionym dzieckiem masz dla niej jeszcze jakieś inne dobre wieści?

- O tak, myślę, że wspaniale.

- Wobec tego sam jej wszystko powiesz. Pobiegnę na górę. Przed drzwiami przyjaciółki zatrzymała się na moment, żeby się opanować, a potem zapukała. Gdy została poproszona do środka, zobaczyła, że Emily ma podejrzenie zaczerwienione oczy.

- Amelio, nie proś mnie, żebym się z nim zobaczyła. Nie mogę...

- Byłabyś niemądra, gdybyś tego nie zrobiła, kochanie. Przyjechał tu specjalnie do ciebie i ma ci coś ważnego do powiedzenia. Nie denerwuj się tak, Emily - dodała, widząc lęk i zwątpienie w jej oczach. - Musisz go wysłuchać. Wieści mogą być lepsze, niż myślisz. Chodzi mu o twoje szczęście.

Emily uniosła głowę. Na jej twarzy odmalowała się nadzieja.

- Skoro uważasz, że muszę się z nim zobaczyć...

- Tak, musisz. Oddał ci wielką przysługę. Sama chciałam to zrobić dla ciebie, ale Toby przywiózł konkretne wiadomości. Zresztą sam ci wszystko opowie. Obmyj twarz i zejdź do niego... - Amelia urwała. - Czy Marguerite przyniosła ci herbatkę z rumianku?

- Tak, ale ją wylałam.

- To dobrze. Spodziewałam się, że tak zrobisz. Podejrzewałaś ją od początku, prawda? A teraz doprowadź się do ładu i przyjdź do salonu, kochanie. Powiem Toby'emu, że chcesz się z nim zobaczyć.

Kiedy Amelia zeszła na dół, Toby był w saloniku sam. Odetchnął z ulgą, kiedy potakująco kiwnęła głową.

- Emily zejdzie za kilka minut.

- Nie wiem, jak ci dziękować - powiedział zmieszany. - Tak okrutnie zraniłem Emily. Musisz bardzo źle o mnie myśleć.

- To jej jesteś winien przeprosiny, nie mnie. Mam nadzieję, że już nigdy nie sprawisz jej przykrości.

- Za nic na świecie!

- Wobec tego ani słowa więcej na ten temat. - Amelia rozejrzała się z uśmiechem. - Czy Gerard mówił, dokąd się wybiera?

- Powiedział, że musi porozmawiać z Maksem, i żeby tu na ciebie poczekał. Kazał ci powtórzyć, że później wszystko wyjaśni.

- Mam nadzieję. Powiedz mi, czy córeczka Emily miała odpowiednią opiekę?

Uśmiech zniknął z twarzy Toby'ego.

- Przykro mi to mówić, ale nie była traktowana jak należy. Oczywiście teraz jest w dobrych, najlepszych rękach. Zostawiłem ją u mojej matki, która już zaczyna ją rozpieszczać.

- Czy lady Sinclair wie, czyje to dziecko?

- Mama wie tylko tyle, ile powinna wiedzieć w tym momencie. A teraz przepraszam, ale muszę już iść, bo nie chciałbym, żeby Emily na mnie czekała.

- Oczywiście. - Patrzyła za nim z uśmiechem.

Nie zapytała go o intencje, przeczucie podpowiadało jej jednak, że może być spokojna o przyszłość przyjaciółki. Toby Sinclair miał naturę impulsywną, nic więc dziwnego, że gwałtownie zareagował na wiadomość o nieślubnym dziecku ukochanej. Jednak późniejsze wydarzenia, w tym śmierć ojca, pomogły mu zrozumieć, co jest dla niego naprawdę ważne. To, że odnalazł dziecko i wziął je do domu, mówiło samo za siebie.

Amelia chciałaby, aby jej problemy doczekały się równie szczęśliwego rozwiązania. Miała wyrzuty sumienia, że naraziła Lisę, przyjmując pod swój dach osobę, którą uważała za przyjaciółkę. Nadal też nie mogła zrozumieć, dlaczego Marguerite tak źle im życzyła. Chyba że uległa wpływom pewnego mężczyzny...

Pełna wątpliwości, postanowiła wstąpić do pokoju dziecinnego, chociaż dawno minęła pora lunchu. Zastała tam Beattie i Lisę. Były pochłonięte zabawą polegającą na przeplataniu między palcami pasemek włóczki. Amelia przyglądała im się przez chwilę, a potem wyszła uspokojona. Beattie naprawdę potrafiła zajmować się dziećmi. Oczywiście

ście z czasem trzeba będzie pomyśleć o guwernantce, ale najważniejsze, że Lisa jest szczęśliwa i bezpieczna.

Gdy zeszła do małej jadalni, zastała tam tylko Marguerite, która wstała na jej widok.

- Nikt prócz mnie nie przyszedł na lunch, więc odesłałam służącą, bo potrafię się sama obsłużyć. Może podać ci coś?

- Nie, dziękuję. - Amelia podeszła do bufetu, na którym wystawiono spory wybór mięs, serów i pieczywa z masłem oraz konfitur. - Nie jestem specjalnie głodna. Nie przeszkadzaj sobie, Marguerite. Rozmawiałam właśnie z Emily. Powiedziała mi, że bardzo jej pomogła twoja herbatka.

- Bardzo się cieszę - odparła Marguerite. - To ten napar Marthy musiał jej zaszkodzić. Niektórzy ludzie są uczuleni na pewne zioła.

- Często zaparzasz ziółka?

- Parzyłam je dla mamy. Po śmierci Lucindy długo cierpiała na nerwy i nie mogła zasnąć bez swoich ziółek.

- Też czasami cierpię na bezsenność, ale napary Marthy zawsze mi pomagały.

- Mam nadzieję, że nie stosuje laudanum. To może być niebezpieczne, jeżeli doda się za dużo. Można nawet zabić człowieka.

- Nie, ona używa tylko ziół. - Amelia usiadła przy stole z pełnym talerzem. - Czy twoja matka już się lepiej czuje?

- Oczywiście. Gdyby było inaczej, nie mogłabym jej zostawić. - Marguerite upiła łyk wody.

- Dobrze, że ma w tobie oparcie. Gdyby cię znów potrzebowała, powiedz mi od razu.

- Jestem pewna, że nie będzie mnie teraz potrzebować. - Twarz Marguerite przybrała nagle nieobecny wyraz. - Mam zanieść Emily trochę jedzenia?

- Nie, bo nie chce nic jeść w tej chwili. - Amelia wbiła widelec w plaster szynki. - Wiem, że kochasz dzieci, sama mi to mówiłaś, ale czy naprawdę nigdy nie znałaś nikogo, kogo chciałabyś poślubić?

Marguerite zawahała się.

- Był swego czasu ktoś, kto mi się podobał - powiedziała, unikając wzroku Amelii - ale Lucinda wszystko popsuła. On odszedł i już go nigdy więcej nie widziałam. Zresztą nawet gdyby się o mnie oświadczył, papa i tak by się nie zgodził.

- Tak mi przykro, moja droga. Jakie to smutne. Musiało ci być bardzo ciężko po śmierci siostry.

- Lucinda była głupia. - Marguerite wstała. - Poza tym nie należy ufać mężczyznom. Pamiętaj o tym, Amelio. Nie pokładaj zbyt wielkiej ufności w mężczyźnie, za którego wychodzisz, bo możesz później cierpieć. Przepraszam, ale muszę przygotować lekcje dla Lisy. Gdybyś mnie potrzebowała, będę w swoim pokoju.

- Tak, oczywiście.

Amelia dokończyła lunch w samotności. Podejrzewała, że swoimi pytaniami wygnała Marguerite z jadalni, niemniej jednak musiała je zadać. Już miała wychodzić, kiedy usłyszała stukot butów na marmurowej posadzce w holu. Spojrzała w stronę drzwi, spodziewając się Gerarda, tymczasem w progu ukazał się jej brat.

- Co ty tu robisz, Michael?

- Myślałaś, że puszcę ci płazem twój list? - Spojrzał na nią ze złością. - Nie wierzę, że naprawdę zamierzasz poślubić tego łajdaka! Masz za nic moje ostrzeżenia...

- Proszę, przejdźmy do pokoju na tyłach domu, gdzie będziemy mogli porozmawiać na osobności - powiedziała Amelia. - Byłabym ci też wdzięczna, gdybyś mówił trochę ciszej. Służba nie musi słuchać naszej kłótni. Nie chcę, żeby moje prywatne sprawy stały się własnością publiczną.

- Jeżeli postawię na swoim, i tak wszyscy się dowiedzą. Ten ślub nie może się odbyć. Zabraniam ci, i basta!

Zaprowadziła go do przytulnego saloniku z wyjściem na ogród i małym tarasem. Na kominku buzował ogień, więc mimo zimowej pogody panowało tu miłe ciepło.

Po zamknięciu drzwi odwróciła się do brata. Był czerwony ze złości, a na jego nosie i policzkach dostrzegła drobne sine żyłki. Jego temperament oraz styl życia odbiły się niekorzystnie na wyglądzie, a przecież za młodu był bardzo przystojny.

- Będę z tobą szczerą, Michael. Miałam nadzieję, że nie przyjedziesz. Powiem ci też od razu, że nie zamierzam zmieniać zdania. Nie widzę najmniejszego powodu. Może

przed laty Gerard nie odpowiadał twoim wymaganiom, ale teraz jest hrabią i posiada majątek, który aż nadto wystarcza na jego potrzeby.

- Czy ty nie rozumiesz, że interesuje go wyłącznie twoja fortuna? Jesteś już starą panną, Amelio, a on mógłby przebierać w młodych, atrakcyjnych kandydatkach. Chodzi mu tylko o twoje pieniądze. To hultaj, w żadnym razie nie wolno mu ufać.

Amelia z kamienną twarzą wysłuchiwała tych okrutnych słów, tak bardzo przypominających słowa Marguerite Ross.

- Mylisz się, Michael. On powiedział, że mogę dowolnie dysponować moimi pieniędzmi. Większość przeznaczymy na zabezpieczenie naszych dzieci, a reszta pójdzie na utrzymanie ochronki i moje osobiste wydatki.

- I ty mu wierzysz? Ten człowiek to nikczemnik. Posłuchaj mnie, siostrze, bo jak nie, to możesz później gorzko żałować. Dostałem list z informacją, że jego pierwsza żona popełniła samobójstwo, gdyż się nad nią znęcał. List był wprawdzie anonimowy, ale wierzę w każde jego słowo.

- To wstrętne kłamstwo. Ja wiem, jak to było. Lisette rzeczywiście odebrała sobie życie, ale nie było w tym winy Gerarda. - Spojrzała bratu w oczy. - Jeżeli masz jakiś poważny powód, żeby tak zawzięcie protestować przeciwko naszemu małżeństwu, powiedz mi teraz... albo raz na zawsze zostaw mnie w spokoju.

- W głowie ci się przewróciło, panienko. Nie doszłoby do tej afery, gdybyś spełniła swój obowiązek względem rodziny i pozwoliła, abym to ja dysponował twoim majątkiem.

- Przecież gdyby ciotka Agatha tego chciała, ciebie by uczyniła swoim spadkobiercą - odparowała ostro. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego tak nie znosisz Gerarda?

- Nie zmuszaj mnie, żebym ci powiedział. - Michael jeszcze bardziej poczerwieniał. - Próbowałem przemówić ci do rozumu, Amelio. Nie chciałem łamać ci serca...

- Doprawdy? Nie miałeś takich skrupułów, kiedy kazałeś go pobić i posłałeś w diabły.

- Nie oberwał za nic. Miałem i nadal mam poważne podstawy, by podejrzewać, że był kochankiem Lucindy Ross. Myślę też, że przyłożył swoją rękę do jej śmierci... po

prostu zepchnął do rzeki, kiedy się dowiedział, że nosi jego dziecko. Nawet wtedy byłaś dla niego lepszą partią.

Amelia zachwiała się, jakby ją uderzył. Zakręciło jej się w głowie.

- Nie! To nieprawda. Chcesz nas tylko poróżnić. Nie będę słuchać twoich łągarstw. Masz w ogóle jakieś dowody? - Błada jak kreda, patrzyła na niego z przerażeniem. - Nie, to nie tak... - To jakieś potworne kłamstwo, a jednak gdyby w nie uwierzyć, wszystko, co mówiła Marguerite, zaczynało się układać w logiczny ciąg. Przecież Marguerite próbowała ją ostrzec... - Nie wierzę! Nie byłby do tego zdolny... przecież mnie kochał.

- Posłuchaj mnie, głupia! - huknął Michael. - Widziałem ich razem w lesie kilka tygodni przed jej śmiercią. Wisiała mu na szyi i całowała go jak szalona, jakby od tego zależało jej życie. Myślę, że tego dnia, kiedy zginęła, mógł także być nad rzeką.

- Nie wierzę ci! Kłamiesz! Gerard nie mógłby... - Osunęła się na krzesło, kolana miała jak z waty. Czy to możliwe, że Gerard jej nie kochał? Że starając się o jej względy, uwiódł jednocześnie Lucindę? Tak szybko się ożenił po ich rozstaniu. Przysięgał, że nie kochał Lisette... ale mógł kłamać. Jej serce nie chciało w to wierzyć, jednak rozum podpowiadał, że w słowach Michaela może się kryć żdźbło prawdy. Mimo to z uporem zaprzeczała: - Nie mogło go tam być, bo pojechał w tym czasie odwiedzić wuja. Gerard nigdy by czegoś takiego nie zrobił... Nigdy!... - Zaszlochała.

- Czego bym nie zrobił?

Amelia odwróciła się gwałtownie. Jej narzeczony stał w drzwiach. Patrzył na nią, mrużąc oczy. Bez dwóch zdań, był wściekły.

- Gerardzie, ile usłyszałeś?

- Tylko twoje ostatnie słowa. - Podeszedł do jej brata. - Czemu zawdzięczamy tę przyjemność, sir?

- Wizyta w pańskim domu to żadna przyjemność - pogardliwie odparł Michael. - Powiedziałem już, co miałem powiedzieć. Nie zamierzam przedłużać wizyty.

- Już pan wychodzi? - Gerard zastąpił mu drogę. - Najpierw mi pan powtórz to, co pan mówił Amelii. Wiem, że mnie pan nie cierpi, ale chciałbym usłyszeć powody z pańskich ust.

- Doskonale - mruknął sir Michael. - Znam twoje nikczemne serce, Ravenshead. Byłeś kochankiem Lucindy Ross i jestem przekonany, że ją zabiłeś, kiedy ci powiedziała o ciąży.

Gerard zrobił się blady jak ściana.

- To ohydne kłamstwo! Jak może pan rzucać takie oskarżenia? Nie ma pan żadnych dowodów!

- Widziałem, jak całowałaś się z Lucindą w lesie... w moim lesie - wyszczał sir Michael. - To były pocałunki kochanków. Zabiłeś ją, bo ci zagroziła, że ujawni wasz romans.

- Lucinda pocałowała mnie tylko raz w tym lesie, tego się nie wypieram. - Gerard zerknął nerwowo na Amelię. - Wyleciało mi to z głowy, ale ostatnio sobie przypomniałem. Wyznała mi miłość i rzuciła mi się na szyję. Odepchnąłem ją i powiedziałem, żeby nie była głupia. Nigdy nie była moją kochanką, nigdy też nie groziła, że poda mnie jako ojca swego dziecka. Nie mogła tego zrobić, bo nigdy z nią nie spałem. Kiedy się zabiła, odwiedzałem przyjaciół w innych okolicach. Wróciłem, żeby poprosić o rękę Amelii, a ty już na mnie czekałaś, Royston. - Uniósł dumnie głowę, jego oczy miały błyskawice. - Nie miałem pojęcia, co stało się z panną, której prawie nie znałem. Dopiero później ktoś mi to powiedział.

Amelia wpatrywała się w jego twarz, na której gniew mieszał się z poczuciem winy. A więc coś przed nią ukrywał. To było jak cios w samo serce.

- Mam w to uwierzyć? - drwiąco spytał Michael. - Widziałem was w lesie kilka tygodni przed jej śmiercią. Byłem świadkiem waszego pocałunku. Nie odepchnąłeś jej tak od razu.

- Obszedłem się z nią łagodnie - przyznał Gerard. - Pochlebili mi jej miłosne wyznania, ale przysięgam, że jej nie zachęcałem. Nic dla mnie nie znaczyła. - Spojrzał na Amelię i zasepił się, widząc jej bladość i pociemniałe oczy. - Nie wierzysz chyba w jego kłamstwa, Amelio? Nie byłem kochankiem Lucindy, tym bardziej jej nie zabiłem.

- Wierzę ci, skoro tak twierdzisz. - Przeniosła wzrok z niego na brata. Bolało ją, że Gerard coś przed nią ukrywa, a Lucinda nie okazała się aż tak naiwna i niewinna. Może

jednak spali ze sobą? Nie, nie chciała o nim tak źle myśleć, bo by ją to zabiło. - Mylisz się, Michael...

Nagle dobiegł ich od progu ostry głos:

- Czemu miałyby się mylić? - Marguerite stała w drzwiach. Patrzyła z nienawiścią na Gerarda, jej usta wykrzywiały się w pogardliwym grymasie. - Lucinda wszystko mi powiedziała. Ludzie myślą, że zabrała swój sekret do grobu, ale to nieprawda. Przechwalała się, że wyjdzie za Gerarda Ravensheada, który jest ojcem jej dziecka. Ostrzegałam ją, że to nieodpowiedni kandydat. Ojciec nigdy by się na to nie zgodził, bo liczył na znacznie lepsze partie. Dopiero kiedy jej hańba wyszła na jaw, powiedział, że nigdy nie pozwoli nam wyjść za mąż.

- Nie! - Amelia spojrzała na narzeczonego ze zważeniem w oczach. Nie chciała wierzyć Marguerite, ale Michael także ją zapewniał, że Gerard był kochankiem Lucindy. Co gorsza, wydało jej się, że miał przez moment skruszoną minę. Oby nie było to prawdą!

- Próbowałam cię ostrzec! - krzyknęła Marguerite. - Mówiłam, że nie można mu ufać, ale ty mnie nie słuchałaś.

- Niech cię diabli! - Gerard ruszył w jej stronę. - Masz natychmiast opuścić mój dom, ty wiedzmo! Twoja siostra była ładacznicą, ale ja nie byłem jej kochankiem. Nie powiedziała, kto był ojcem jej dziecka, bo miało zbyt wielu ojców.

- Gerard! - Amelia zasłoniła sobą Marguerite. - Nie mów tak do niej! Lucinda była moją przyjaciółką. To niemożliwe, żeby była taka, jak ją opisujesz.

- Więc stawiasz jej słowo ponad moje słowo? - rzucił z furją. - Nie będę już ani chwili dłużej tolerował tej kobiety w swoim domu. Mój powóz odwiezie ją do rodziców, i to jeszcze dziś!

- Nie musisz mnie bronić, Amelio - odezwała się Marguerite. - Przyszłam powiedzieć ci, że odchodzę. Mama mnie potrzebuje. - Odwróciła się i wyszła z pokoju.

- No więc jak... - zwrócił się Gerard do narzeczonej szorstkim tonem. - Wierzysz jej czy mnie?

Amelia milczała. Gerard był taki rozgniewany i rozgoryczony. Takim go jeszcze nie знаła. Gdzie się podział ten czarujący młody dżentelmen, który przed laty skradł jej

serce? Miejsce czulego kochanka z ostatniej nocy zajął zimny, obcy mężczyzna o chmurnym spojrzeniu. Chciała mu wierzyć, aby ocalić ich miłość, ale nie mogła zapomnieć tego przebłysku winy w jego oczach. Przyciśnięty do muru, przyznał przecież, że się całował z Lucindą. Co jeszcze ukrywał?

- Gerardzie, ja... - Słowa uwięzły jej w gardle.

- Jeżeli ona ci uwierzy, to znaczy, że jest skończoną idiotką - rzucił z furią sir Michael. - Ja już powiedziałem swoje, Amelio. Jeżeli po tym wszystkim wyjdiesz za tego hultaja, to ja umyвам ręce. I nie spodziewaj się, że będę na twoim ślubie.

Amelia zamrugnęła, aby odpędzić łzy, i uniosła dumnie głowę.

- Będiesz zawsze mile widziany w moim domu, jednak pod warunkiem, że będziesz się zachowywał jak dżentelmen.

Sir Michael skinął głową, po czym wymaszerował z pokoju. Amelia podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Przestało już padać i przejaśniło się, wciąż jednak miała wrażenie, że spowija ją czarna chmura.

- Czekam na twoją odpowiedź, Amelio.

- Próbuję ci uwierzyć, Gerardzie - powiedziała, nie odwracając się.

- Próbujesz! - Chwycił ją za ramiona i odwrócił do siebie. Jego oczy miały błyskawice. - Dobry Boże! O co ty mnie podejrzewasz? O zabójstwo dziewczyny z dobrego domu, której zrobiłem dziecko? Masz mnie za takiego potwora?

- Lucinda chwaliła się Marguerite, że byłeś jej kochankiem... - Amelii głos uwiązł w gardle. - Wiem, że jej nie zabiłeś, wierzę, że popełniła samobójstwo, ale...

- Ale dopuszczasz myśl, że mogłem być jej kochankiem? Że ją niecnie wykorzystałem, starając się jednocześnie o twoją rękę, a potem porzuciłem, doprowadzając do samobójstwa? - Z wielkiego bólu aż poszarzała mu twarz. - Zaklinałaś się, że nie obwiniasz mnie o śmierć Lisette, mogłaś jednak kłamać. Powiedziałem ci prawdę. Nie widzę w sobie innej winy prócz tej, że nie potrafiłem jej pokochać. Cóż, ale jeśli wolisz wierzyć swojej przyjaciółce Marguerite...

Potrząsnęła głową. Ziarno zwątpienia zakiełkowało w jej duszy. Zraniona do żywego, nie była w stanie zebrać myśli.

- Przykro mi... - zaczęła, lecz przerwało jej przybycie Emily, w ślad za którą podążał Toby Sinclair. Jeden rzut oka na ich rozanielone twarze wystarczył za słowa. Chciała im powiedzieć, że to nie jest dobra pora, ale zanim zdążyła to zrobić, Gerard wyszedł z pokoju.

Powinna za nim zawołać, ale gardło miała ściśnięte. Zbierało się jej na płacz, zdołała się jednak opanować i z wymuszonym uśmiechem odwróciła się do Emily.

- Więc jak, kochanie? Wszystko już ustalone?

- Toby odnalazł moją córeczkę! - Twarz Emily jaśniała szczęściem. - Mówi, że nie była dobrze traktowana, ale jest zdrowa. Zaniedbywano ją, ale nie działa jej się fizyczna krzywda. Adopcyjni rodzice nie kochali jej, pewnie dlatego, że mieli swoje własne dzieci i dawno wydali pieniądze, które dostali na jej utrzymanie. Oddali ją bez protestów, więc Toby zawiózł Beth do swojej matki. Lady Sinclair chce ją adoptować, a ja będę mogła codziennie widywać moją córkę. Zadbam o nią, obdarzę miłością i nauczę ją być szczęśliwą, lecz jej pochodzenie pozostanie naszą tajemnicą. - Zarumieniła się lekko i spojrzała nieśmiało na ukochanego. - Toby wytłumaczył mi, że to dla mojego dobra, a nie dlatego, że się mnie wstydzi... on naprawdę mnie kocha.

- Możemy, oczywiście, ogłosić to całemu światu powiedział Toby. - Jednak przez wzgląd na ciebie, kochanie, lepiej, żeby Beth się chowała jako adoptowana córka mojej mamy. Twoja miłość do niej nikogo nie zdziwi, a któregoś dnia będziesz mogła powiedzieć córce prawdę, jeśli tak zdecydujesz.

- Czy Toby już zna wszystkie okoliczności twojej tragedii? - zapytała Amelia.

- Sam się w końcu domyśliłem. - Ujął czule dłoń Emily. - Kocham ją. I kochałbym nadal, nieważne, jaka by była prawda, ale kiedy się dowiedziałem, co ją spotkało, wiedziałem już, jak mam postąpić.

- A jak się dowiedziałeś?

- Harry Pendleton do mnie napisał. Znał moje uczucia do Emily, więc kiedy mu opowiedziałeś jej historię, uznał, że też powinienem poznać fakty. Odnalezienie dziecka okazało się dosyć łatwe, bo nikt nie próbował ukryć jego tożsamości. Agent Harry'ego powiedział mi, co wie na ten temat, a reszta była prosta. - Podniósł dłoń Emily do ust. -

Zabieram narzeczoną do domu, do mamy. Spędzimy u niej kilka tygodni i wrócimy na wasz ślub, Amelio. Emily nigdy by nie przepuściła takiego wydarzenia.

Nie śmiała im powiedzieć, że nie wie, czy dojdzie do ślubu, nie chciała jednak, by cokolwiek miało przyćmić szczęście tej pary.

- Bardzo się cieszę - powiedziała. - Kiedy wyjeżdżacie?

- Natychmiast. Emily weźmie tylko małą torbę. Czy mogłabyś kazać przesłać resztę jej rzeczy na adres mojej matki? - Toby jak zwykle tryskał energią.

- Oczywiście. Martha dopilnuje pakowania. - Amelia serdecznie pocałowała w policzek Emily, a potem Toby'ego. - Mam nadzieję, że zostanę zaproszona na wasze wesele?

- Będziesz naszym honorowym gościem - zapewniła Emily. - Toby mówi, że za kilka miesięcy będziemy mogli wydać bal i ogłosić zaręczyny, a ślub mógłby się odbyć latem. Wcześniej nie można ze względu na żałobę, ale przecież będę mieszkała u jego matki i będziemy się codziennie widywać... - Nagle się zaniepokoiła. - Nie będę ci potrzebna, Amelio? Stawiam cię w niewygodnej sytuacji, ale Marguerite zawsze może ci dotrzymać towarzystwa.

- Tak, oczywiście. - Czy mogła im powiedzieć, że Marguerite też już nie będzie, bo została wyrzucona? Po co zakłócać ich sielankę? - O mnie się nie martw, kochanie. Strasznie się cieszę, że sprawy przybrały tak korzystny obrót. Życzę wam oboju szczęścia.

- Tak cię kocham, Amelio. - Emily gorąco ją uściskała. - W innej sytuacji nie wyjechałabym tak nagle, ale wiem, że jesteś szczęśliwa i już niedługo zostaniesz mężatką.

- Tak, oczywiście... Idź się spakować, kochanie.

- Moja mama nie może się już doczekać, kiedy pozna Emily - powiedział Toby po jej wyjściu. - Harry zdradził mi, że zamierzałaś odszukać jej dziecko. Jestem wam bardzo wdzięczny, bo jego agent zaoszczędził mi trudu.

- Emily była zrozpaczona po twoim wyjeździe. Czułam, że muszę coś zrobić.

- Nie zachowałem się zbyt rycersko - przyznał skruszony Toby - ale rewelacje Emily spadły na mnie jak grom z jasnego nieba. Wróciłbym wcześniej, gdyby nie śmierć ojca.

- Cieszę się, że Emily ci wybaczyła. Chorowała, ale ufam, że już wkrótce wróci do zdrowia.

Zostawiła Toby'ego, aby mógł przygotować powozik do podróży, a sama poszła do swojego pokoju. Klucz do garderoby tkwił w drzwiach od jej strony, więc go przekreśliła, po czym usiadła na łóżku i z ciężkim westchnieniem ukryła twarz w dłoniach.

Nie płakała, bo z wielkiego przygnębienia zabrakło jej sił na łzy. Rano czuła się jak królowa tego świata, lecz wystarczyło kilka nienawistnych słów, aby ją strącić na dno. Czy ma spędzić resztę życia w czarnej rozpacz? Nie! Uniosła głowę, w oczach błysnęła determinacja. Musi wszystko przemyśleć na zimno, pozostać w zgodzie z rozumem i logiką. Przecież najgorszy błąd to bezmyślnie ulegać emocjom!

Owszem, była wyczerpana i zdeptana psychicznie, lecz musi się zdobyć na ten wysiłek. Pozbierała się z wielkim trudem. Wiedziała, że przede wszystkim trzeba zrekapitułować to wszystko, co wiedziała dotąd

Zacząła od brata. Michael przed laty tak bardzo był pewny swoich racji, że kazał Gerarda pobić, a potem go przepędził. Nie wziął jej uczuć pod uwagę, nie zapytał o zdanie, lecz najpewniej głęboko wierzył, że robi to dla jej dobra.

Wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

Najcięższe oskarżenia padły z ust Marguerite. Była święcie przekonana, że Gerard uwiódł jej siostrę. Amelia mogłaby przysiąc, że Marguerite nie kłamała. A w każdym razie w to wierzyła.

Amelia słyszała takie pogłoski już wcześniej, ponieważ Gerard był jednym z młodych mężczyzn bawiących owego lata w tamtych stronach. Dość szybko wydało jej się to jednak niemożliwe, i zaczęła podejrzewać Northavena, ale i jego później wykluczyła. A teraz dwie osoby mówią jej, że to jednak Gerard przyczynił się do hańby i śmierci Lucindy, i zrobił to w tym samym czasie, kiedy chciał się z nią żenić. Gdyby tak było, to już koniec! Nie byłby tym samym człowiekiem, którego pokochała.

To jednak niemożliwe! Wszystko, co o nim wiedziała, zdawało się temu przeczyć. Poza tym w całej tej aferze uderzył ją kompletny brak logiki...

Po co Marguerite przyjechała do domu Gerarda, skoro uważała go za uwodziciela i mordercę? Wiedziała o jego planowanym ożenku i przyjechała zająć się jego dzieckiem? Czemu miałyby to robić, jeśli była przekonana o jego winie?

Amelia zamyśliła się. A może powinna zrewidować swoją teorię? Dotąd sądziła, że wrogiem Gerarda był porucznik Gordon, który chciał pomścić śmierć swojej Lisette. I że to on był inicjatorem porwania i wciągnął w to Marguerite. A może nawet rozkochał ją w sobie.

Nie wzięła jednak pod uwagę tego, że Marguerite mogła mieć własne powody, aby nienawidzić Gerarda...

Pomyślała, że nie zazna spokoju, dopóki nie dowie się prawdy.

Postanowiła porozmawiać z Marguerite przed jej wyjazdem, lecz gdy weszła do jej pokoju, jej oczom ukazało się istne pobjawisko. Zniknęły rzeczy z otwartej na oścież szafy i wybebeszonej komody, a suknie, które Marguerite od niej dostała, leżały na łóżku pocięte ostrym narzędziem. Na dywanie wałała się zapomniana pończocha. Kryształowy komplet został zrzucony z toaletki na podłogę i część słoiczeków potłukła się, brakowało też kilku srebrnych drobiazgów. Marguerite, oburzona swoim zwolnieniem, wyładowała gniew na tym, co miała pod ręką.

Zdegustowana, ale i zdjęta lękiem, Amelia pośpieszyła do pokoju dziecinnego. Na widok Beattie bawiącej się z Lisą, i Mary, która składała czystą bieliznę wpatrzona w roześmiane dziecko, odetchnęła z ulgą. Dziewczynka była bezpieczna!

Przyoblókłszy twarz w miły uśmiech, zwróciła się do służących:

- Nie widziałyście panny Ross w ciągu ostatniej godziny?
- Nie. Owszem, była tu, ale wcześniej - odparła Mary. - Coś się stało, panno Royston?
- Panna Ross nas opuszcza. Nie wolno jej się już nigdy więcej zbliżyć do Lisy.
- Cieszę się, że sobie poszła, naprawdę - powiedziała Beattie. - Na jej widok dostawałam gęsiej skórki.

Amelia nie prosiła jej o bliższe wyjaśnienie, świadoma tego, że popełniła błąd, zapraszając Marguerite na podstawie zaledwie kilku listów. Gdyby na skutek jej pomyłki

coś złego stało się Lisie, nigdy by sobie tego nie wybaczyła. Opętana nienawiścią do ojca, Marguerite mogła odegrać się na dziecku.

Kiedy wracała do swojego pokoju, zobaczyła idącą ku niej Emily. Torbę trzymała w ręku, pelerynę przewiesiła przez ramię.

- Chciałam się z tobą pożegnać, Amelio - powiedziała. - Zwracam ci twoją pelerynę. Byłaś na tyle miła, że mi ją pożyczyłaś, ale po tym, jak mnie w niej porwano, już nigdy więcej jej nie włożę.

- Ja też nie. Dam ją jednej z pokojówek, bo jest ciepła i wygodna. - Pocałowała Emily w policzek. - Życzę ci szczęścia, moja kochana.

- Jestem szczęśliwa, ale trochę się denerwuję. Co będzie, jeżeli Beth mnie nie polubi?

- To po prostu niemożliwe! Bądź pewna, że cię pokocha tak jak ja. A teraz idź, bo Toby kazał już podstawić powóz.

- Tak, nie chcę, żeby na mnie czekał. Będę często pisywać, i oczywiście przyjedziemy na wasz ślub.

Amelia pokiwała głową, pomachała jej na pożegnanie, a potem zniosła pelerynę do pokoju i rzuciła na krzesło. Spojrzała niepewnie na drzwi garderoby, zamknięte teraz na klucz, i nagle spostrzegła, że klamka poruszyła się delikatnie.

- Amelio, jesteś tam? Otwórz. Chciałbym z tobą pomówić.

Zawahała się. Nie była jeszcze gotowa na rozmowę z Gerardem, bo nie wiedziała, co mu powiedzieć. Wzięła z krzesła błękitną pelerynę, zarzuciła ją na ramiona i wyszła z pokoju. Zbiegła na dół i bocznymi drzwiami wymknęła się z domu. Deszcz przestał padać, wiatr ucichł, ale niebo zasnuły ciemne chmury i było bardzo zimno.

Amelii zimno jednak nie przeszkadzało. Chciała odetchnąć świeżym powietrzem i pobyć przez chwilę sama.

Rozdział dziesiąty

Do diabła! Za kogo ona go uważa?

Gerard wyszedł z salonu, bał się bowiem, że w gniewie powie coś, czego będzie później żałował. Nie chciał też ciągnąć dalej tej rozmowy w obecności Toby'ego i Emily, poza tym Amelia po przeżytych wstrząsach przestała być sobą. Mógł tylko mieć nadzieję, że gdy trochę ochłonie, pójdzie po rozum do głowy.

Był w swoim pokoju, kiedy mu się wydało, że słyszy jakieś odgłosy dobiegające z sypialni Amelii. Przeszedł więc przez garderobę, nacisnął klamkę i zawołał, żeby go wpuściła. Nie odezwała się jednak, choć z całą pewnością była w pokoju. Dlaczego nie chciała z nim rozmawiać?

Co za nieznośna sytuacja! Jak mogła wierzyć w te nikczemne oskarżenia? Gdyby go kochała, nigdy nie dałaby im wiary.

Jak przez mgłę przypomniał sobie tamtą scenę sprzed lat, która rozegrała się w lesie, w pobliżu domu Amelii. Właśnie szedł ją odwiedzić, gdy natknął się na młodą pannę. Powiedziała mu, że wraca od Roystonów. Długie, rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona, jasna cera przybrała w słońcu odcień złocisty, a bujne kształty rysowały się po nętnie pod muślinową sukienką.

- Byłam z wizytą u Amelii - powiedziała z uśmiechem. Miała pełne, różowe wargi i niebieskie oczy o figlarnym spojrzeniu. - Strasznie dziś gorąco. Chyba pójdę popływać w rzece.

Wyteżył pamięć, by sobie przypomnieć swoją odpowiedź. Chyba powiedział coś w rodzaju:

- Tak, rzeczywiście jest gorąco, panno Ross. Tylko proszę, niech pani uważa, bo rzeka jest głęboka i są w niej wiry, które mogą wessać pani spódnice i pociągnąć na dno.

Następne wspomnienie było zdecydowanie wyraźniejsze. Wymazał je z dawno z pamięci jako nieistotne, lecz teraz musiał sobie dokładnie wszystko przypomnieć. Było to naprawdę bardzo ważne.

- Nie będę miała nic na sobie... - Oblizwała wargi, w jej oczach malowało się zaproszenie. - A ty nie wykapałbyś się ze mną? Moglibyśmy popływać i... - Jej przytłumiony

śmiej zabrzmiął bardzo zmysłowo. - Kto wie, co jeszcze przysłoby nam do głowy, Gerardzie? - Gdy podeszła do niego, owionął go zapach różanej wody. - Zawsze cię uważałam za jednego z najprzystojniejszych mężczyzn...

- Nie powinnaś mówić takich rzeczy, Lucindo - powiedział, ale nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, bo rzeczywiście była prześliczna. Wprawdzie kochał Amelię, lecz niewinny flirt w letnie popołudnie to przecież nie grzech. - Niektórzy mężczyźni mogliby cię wziąć za słowo.

Czy uznała jego odpowiedź za wyzwanie? A może wręcz za jawną zachętę? Nie miał takiego zamiaru, ale może było w tym jednak trochę jego winy, bo odpowiedziała natychmiast, i to bez owijania w bawełnę:

- Chciałabym, żebyś wziął mnie za słowo...

- Lucindo...

Nie dała mu dokończyć, tylko rzuciła mu się na szyję i przywarła do niego całym ciałem. Chwycił ją za ramiona i próbował odepchnąć, jednak Lucinda przycisnęła usta do jego ust w dzikim, namiętym pocałunku, który nim wstrząsnął do tego stopnia, że przez moment odwzajemniał tę szaloną pieśczętę. Był w końcu młodym mężczyzną, miał w żyłach krew, nie wodę.

- Weź mnie w rzece, kiedy będziemy pływać... - szeptała namiętnie - zrobmy to dziś... Kochaj się ze mną, Gerardzie.

- Nie! - Czar prysł i Gerard wreszcie odepchnął ją z całej siły. Pojął ze zgrozą, czego się od niego domagała. Tyle że on jej nie chciał. Był zakochany w Amelii Royston. Owszem, ta rozpustna dziewczyna była piękna, więc dał się skusić na jej pocałunek, teraz jednak jej śmiałość budziła w nim odrazę. - Zachowuj się przyzwoicie! Pomyśl o wstydzie, którym okryłabyś swoją rodzinę, gdyby ktoś cię zobaczył, jak pływasz nago w rzece.

Lucinda zaśmiała się szyderczo.

- Nie rozumiem, jak Marguerite może się wydawać, że jest w tobie zakochana. Straszny z ciebie nudziarz i tchórz, Gerardzie. Nie chcę cię. Zresztą mam już kochanka, który nie ma nic przeciwko temu, żeby brać mnie w wodzie, a potem leżeć ze mną na łące w letnie popołudnie.

Wybuchnęła gardłowym śmiechem i umknęła przez las. Gerard też się roześmiał, bo uznał to za przechwałki odtrąconej panny. Cały ten incydent szybko wyleciał mu z pamięci. Przypomniawszy sobie o nim, dopiero gdy dowiedział się o skandalu i tragicznej śmierci Lucindy.

Nigdy z nikim nie rozmawiał o tym popołudniu. Nie miał pojęcia, że ktoś go widział w trakcie czegoś, co musiało wyglądać na scenę miłosną. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że to była prawdziwa przyczyna, dla której ludzie sir Michaela Roystona spuścili mu baty.

„Nie rozumiem, jak Marguerite może się wydawać, że jest w tobie zakochana”.

Gerard zasepił się. Już od pierwszej chwili, kiedy zobaczył pannę Marguerite Ross w Pendleton, coś mu zaczęło świtać.

Wtedy nie potraktował poważnie słów Lucindy. Teraz przypomniał sobie pogardliwy ton, jakim mówiła o siostrze. Dlaczego Marguerite Ross miałaby sobie wyobrażać, że się w nim kocha? Przecież ledwie się znali. Zatańczyli ze sobą może dwa, najwyżej trzy razy. Siedział też koło niej przy stole podczas pewnej kolacji, gawędząc uprzejmie, ale jej prawie nie zauważał, bo był już zakochany w Amelii.

Powrócił myślami do sceny, kiedy Marguerite cisnęła mu w twarz te straszne oskarżenia. Popatrzył wtedy na Amelię w niemym błaganiu, by mu uwierzyła, lecz w jej oczach dostrzegł zwątpienie.

Za co Marguerite tak go nienawidziła? A musiała go nienawidzić, skoro spotykała się i spiskowała przeciwko niemu z porucznikiem Gordonem. To od niej Gordon miał wszystkie informacje, a ona czerpała je z niewinnych listów Amelii.

Zacząła podejrzewać Marguerite jeszcze przed jej wściekłym wybuchem. Sądziła, że działa pod wpływem porucznika Gordona, lecz prawda zapewne jest inna. To panna Ross była inspiratorką porwania, którego ofiarą padła biedna Emily. Tak, w tej wersji to zaczynało mieć sens. Gordon mógł go obwiniać o śmierć Lisette, ale z początku nie szukał zemsty. Pod czyim wpływem podjął decyzję, że ukarze go, odbierając mu Amelię? Jeżeli tą osobą była Marguerite, jej nagłe pojawienie się w Pendleton przestaje dziwić.

Poczuł zimny dreszcz. Wyhodowali żmiję na własnym łonie! Jego pierwszą myślą była Lisa, bo przecież bezbronne dziecko nikomu nic nie zawiniło. Skoro Amelia nie od-

powiadała, pośpieszył prosto do pokoju córki, gdzie natknął się na tę samą sielankową scenę, co przedtem Amelia. Odetchnął z ulgą, ale zaraz gniew wziął górę.

Niech to diabli! Nie zamierza brnąć dalej w ten nonsens. Wrócił na górę i wszedł głównymi drzwiami do pokoju narzeczonej. Nie było jej tam, więc ruszył w kierunku schodów, pytając po drodze lokaja, czy nie widział ostatnio panny Royston.

- Wyszła kilka minut temu, milordzie. No, może przed kwadransem. Patrzyłem za nią przez chwilę, bo była jakaś taka nieswoja, całkiem niepodobna do siebie, jeżeli wolno mi tak powiedzieć. Chyba poszła w stronę jeziora.

- Dziękuję.

Gerard zmarszczył brwi. Nie był ubrany do wyjścia. Weźmie płaszcz, co mu zajmie minutę, a potem pójdzie za Amelią, wiedziony nadzieją, że zdołają się wreszcie porozumieć.

Zimne powietrze szczypało Amelię w oczy i policzki, mimo to nie przerwała marszu, naciągnęła tylko kaptur na głowę. Czuła, że postąpiła niemądrze, uciekając przed Gerardem, bo i tak prędzej czy później będą musieli porozmawiać. Jednak rany były zbyt świeże, by potrafiła spojrzeć mu w oczy.

Aż do niedawna nie była pewna jego uczuć, lecz pełna miłości noc sprawiła, że poczuła się wreszcie bezpieczna. A teraz, przez te okropne oskarżenia, które padły z ust aż dwóch osób, znowu opadły ją wątpliwości.

Tłumiąc szloch, zadawała sobie wciąż te same pytania. Czy Gerard ją okłamywał? Czy okazał się zdrajcą? Czy to możliwe, że mężczyzna, który kochał ją tak czule, to ten sam człowiek, którego sumienie obarczały tak ciężkie grzechy?

Nie, oczywiście, że nie! Nie będzie już więcej słuchać oszczerców. Jeśli go kocha, musi zdać się na intuicję, posłuchać głosu serca.

A kocha go mimo oskarżeń i wątpliwości, i zawsze będzie go kochała. Bez Gerarda jej życie byłoby smutne i puste. Po latach jałowej, bezsensownej egzystencji czekałaby ją tylko gorzka starość.

Jeżeli przyjąć, że jej brat mylnie ocenił to, co widział, powinna uwierzyć Gerardo-
wi, że Lucinda okazała się ladacnicą i to ona chciała go uwieść, a nie na odwrót.

Gotowa była wybaczyć mu ten pocałunek i żartobliwy flirt, nie mogła się natomiast pogodzić z tym, że jej przyjaciółka okazała się zwykłą lafiryndą.

Czy to możliwe, że nigdy tak naprawdę nie znała Lucindy? Że choć się przyjaźniły, ukrywała przed nią pewne rzeczy? Odpowiedź musi brzmieć „tak”, bo jej nigdy nie wyznała, że ma kochankę. Dopiero kiedy się zorientowała, że będzie miała dziecko, i oznajmiła rodzicom, że kochanek się z nią nie ożeni, cała sprawa wyszła na jaw.

Amelia żałowała, że nie zna prawdy. Myśl o samobójczej śmierci Lucindy zawsze napawała ją smutkiem... Tymczasem Marguerite sugerowała, że to Gerard ją zabił z obawy przed skandalem.

Nie! On nie byłby zdolny do morderstwa! Lucinda mogła sobie odebrać życie w przyływie rozpaczki lub też ktoś ją zabił, ale z pewnością nie Gerard. Zapewniał przecież solennie o swojej niewinności. A skoro mu uwierzyła, że nie jest winny zbrodni, to powinna także uwierzyć, że nie jest uwodzicielem i zdrajcą.

I uwierzyła mu! Nagle rozwiały się wszelkie wątpliwości i ogromny ciężar spadł jej z serca. Gerard by jej nie okłamał! Po tym, czym stali się dla siebie, w żaden sposób nie mógłby tak postąpić. Swoją niewiarą zraniła go i rozgniewała. Dlaczego uwierzyła, że Lucinda została zepchnięta do rzeki? Przecież zawsze myślała, że rzuciła się z mostu, nie mogąc znieść hańby. Dlaczego Marguerite sądziła inaczej?

Przecież nawet pani Ross mówiła o samobójczej śmierci córki. Doskonale pamiętała jej słowa:

- Miałam za złe mojej córce nieroztropne zachowanie, ale bym się nią zaopiekowała. Nie musiała odbierać sobie życia. Jej ojciec był na nią zły, ale dla mnie najważniejsze było to, że ją kochałam.

Amelia przypomniawszy sobie łzy zbolącej matki i spróbowała odtworzyć w pamięci tamto popołudnie. Poszła do państwa Rossów, by złożyć im kondolencje. Przyjęła ją pani Ross, a potem... weszła Marguerite. Miała taką zaciętą twarz. Była zła...

Tak, zła. Wcale nie wyglądała na osobę w żałobie. Nie miała czerwonych oczu jak jej matka.

- Marguerite była zazdrosna o siostrę... i zła. - Amelia mimowolnie wypowiedziała na głos te słowa.

Tylko dlaczego była taka zła?

Wciąż brakowało ostatnich fragmentów układanki.

Dotarła nad brzeg jeziora i stała przez chwilę, patrząc na stromy brzeg i ciemną toń, w której odbijały się ołowiane chmury. W słoneczny dzień mogło tu nawet być bardzo przyjemnie, ale tego dnia było pusto i ponuro, mgła zaczynała się zbierać nad wodą. Amelia westchnęła głęboko. Czuła się tak bardzo samotna i zagubiona.

Nagle trzask łamanej gałęzi wyrwał ją z zadumy. Odwróciła się i zobaczyła przed sobą Marguerite. Twarz jej wykrzywiała złość, tak samo jak wtedy, podczas kondolencyjnej wizyty po śmierci Lucindy.

- Co ty tu robisz? - zapytała ją. - Myślałam, że wyjechałaś.

- Spotkałam kogoś, kto sprawił, że postanowiłam poczekać. - Marguerite spojrzała ponad jej ramieniem. - Wygląda na to, że mamy szczęście, nianiu. Mówiłaś, że jak wpadnie w przygnębienie, to sama wyjdzie, i nie pomyliłaś się.

Amelia odwróciła się i stanęła oko w oko z Alice Horton spowitą w czarną pelerynę. Spod kaptura spojrzały na nią nienawistne oczy.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Była tu całkiem sama, bo kto chciałby wychodzić na dwór w taki dzień, a najemni robotnicy pośpieszyli już do domów na kolację.

- To teren prywatny. Nie ma pani prawa tu być, skoro hrabia panią zwolnił.

- Bo ty mu kazałaś - rzuciła z goryczą nianka. - Ukradłaś mojej dziewczynce wielbiciela, a potem zasypałaś ją żalonymi listami, błagając, aby została... guwernantką! Przecież ona jest damą... sto razy lepszą od ciebie...

- O czym pani mówi? Nikomu nie ukradłam wielbiciela. - Amelia spojrzała na Marguerite. - Czy ona mówi o tobie? Nie było moim zamiarem okazywać ci wyższości, kiedy cię zapraszałam do siebie. Myślałam, że pomogę ci znaleźć szczęście.

- To ja mu się podobałam, zanim zaczęłaś robić do niego słodkie oczy. - Głos Marguerite ociekał nienawiścią. - Lucinda знаła moje uczucia. Śmiała się ze mnie, kiedy mi mówiła, że on się do ciebie zaleca... Ale cóż, zapomniała, że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Amelia z narastającą trwogą patrzyła na jej wykrzywioną groźnie twarz.

- Co się stało z Lucindą? - wykrztusiła. - Nie popełniła samobójstwa?

- Lucinda? - Marguerite prychnęła pogardliwie. - Pływała jak ryba, odkąd skończyła pięć lat. Wyśmiewała się ze mnie, bo ja bałam się wody, a ona nie bała się niczego.

- Skoro tak dobrze pływała, to czemu utonęła?

- Spadła z mostu i uderzyła głową o żelazne przesłó. To był wypadek... Śmiała się... i nagle przestała się śmiać, bo ją zepchnęłam. - Marguerite zachichotała. - Nie powinnam była ci tego mówić, prawda? Teraz już wszystko wiesz, więc musisz umrzeć... ale jakie to ma znaczenie, skoro tak czy inaczej każdy kiedyś umrze. - Chichocząc histerycznie, spojrzała na Alice Horton. - Mam ją zepchnąć do jeziora? Ludzie pomyślą, że się zabiła, bo odkryła zdradę narzeczonego. Już raz coś takiego mi się udało, więc znów mogę spróbować.

- Cicho, mój skarbie, po co się tak denerwować? - zaczęła ją uspakajać niańka Horton. - Lucinda popełniła głupstwo, ale ty nie chciałaś jej zabić. To był nieszczęśliwy wypadek.

- Ależ ja ją zabiłam... - Oczy Marguerite pałały złowieszczym blaskiem. - Chciałam, żeby umarła. Po co się chwaliła, że był jej kochankiem? Przecież wiedziała, że go kocham. Tylko dlatego się go uczepiła, chociaż miała już innego, który zrobił jej dziecko. Lecz taka już była, że zawsze musiała mieć wszystko. I oto niespodzianka, bo tym razem jej się nie udało.

- Kim był ten drugi? - Amelia zacisnęła do bólu pięści, zdecydowana poznać prawdę. - Powiesz mi, jak się nazywał?

- Nie udawaj, że nie wiesz! - syknęła Marguerite. - Obiecywał jej, że odejdzie od żony, świata za nią nie widział, obsypywał bizuterią. Mówił, że Louisa to jędrza z piekła rodem, więc się z nią rozwiedzie, ale potem, kiedy ją nakrył z Gerardem, był taki wściekły, że nie chciał jej już pomóc. Nazwał ją dziwką i powiedział, że nie chce jej więcej widzieć... Lucinda sama mi to powiedziała, zanim ją...

- Mój brat? - Amelię замуrowało.

Nagle wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Michael nie dlatego kazał pobić Gerarda, że miał na względzie jej dobro, lecz z zazdrości o kochankę. Cała nienawiść do Gerarda brała się stąd, że widział w nim rywala, który odbił mu Lucindę. W imię tej nienawiści gotów był nawet poświęcić szczęście swej rodzonej siostry!

Zatem to Michael uwiódł Lucindę, i to on był ojcem jej dziecka, ale przecież nie jej zabójcą! W takim razie co tak naprawdę zrobiła Marguerite?

- Zabiłaś Lucindę, bo myślałaś, że odebrała ci Gerarda?

Marguerite patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, jednak zwróciła oczy na Amelię i jakby nagle się ocknęła.

- To ty mi go ukradłaś... a ja myślałam, że to ona! Śmiała się ze mnie, mówiła, że miał się z tobą żenić. Rzuciłam się na nią, zaczęłyśmy się mocować... a potem ona spadła z mostu i uderzyła się w głowę. Widziałam, jak się unosiła na wodzie twarzą w dół...

- Nie mogłaś jej wyciągnąć albo wezwać pomoc?

- Nie umiem pływać. Boję się głębokiej wody i... - Oczy jej zwęziły się w szparki. Ziało z nich samo zło. - Chciałam, żeby umarła. I ty też musisz umrzeć. Dlaczego miała-bys mieć wszystko, a ja nic? Mój ojciec powiedział, że nigdy nie wyjdę za mąż... to przez nią... i przez ciebie... - Ruszyła ku niej z wyciągniętymi rękami, żeby ją chwycić za gardło. - Jeżeli się utopisz, to jego obarczą winą... i on także umrze. Dowie się, jak to jest, kiedy się traci wszystko!

- Nie! - Amelia próbowała ją oderwać, ale Marguerite była silniejsza. - Ratunku! Pomocy...

Alice Horton wahała się przez chwilę, wreszcie jednak podjęła decyzję i chwyciła Marguerite za dłoń.

- Przestań, złotko. To nie jej wina, że nie możesz wyjść za mąż. Przecież wiesz, co twój papa powiedział...

- Puszczaj! - Marguerite gwałtownie wyszarpnęła rękę, przez co Alice Horton straciła równowagę i osunęła się na kolana. Korzystając z zamieszania, Amelia rzuciła się do ucieczki, ale Marguerite dogoniła ją, i objąwszy w pasie, pociągnęła na ziemię. - Musisz umrzeć - wysyczała. - Nie możesz żyć, bo za dużo wiesz. On miał mi pomóc, ale to tchórz, więc muszę zrobić to sama.

Amelia zaczęła krzyczeć i próbowała ją zrzucić z siebie, ale ręce Marguerite coraz mocniej zaciskały się na jej szyi, odcinając dopływ powietrza. Poczowała, że robi jej się czarno przed oczami, i wtedy usłyszała jakieś głosy... jakieś krzyki. Ludzie z pałacu już biegli w ich stronę.

- Morderczyni! Suka! Niech cię piekło pochłonie!

Głos Gerarda! Amelia słyszała go jak przez mgłę, gdzieś z oddali. Męskie krzyki wzmogły się i dały się słyszeć odgłosy bójki. Potem krzyki Marguerite, plusk wody, znów krzyki, zawodzenie, i wreszcie płacz. Jakaś kobieta szlochała rozpaczliwie.

- Czy ona nie żyje, sir? Moja mała, obłąkana dziewczynka?

Amelia powoli usiadła. Wirowało jej przed oczami, więc widziała niewiele, ale wiedziała już, że Gerard nie był sam. Przyszli z nim inni mężczyźni, niektórzy z nich byli uzbrojeni. Wydawało jej się, że jeden z głosów należał do markiza Northavena, ale nie była pewna, bo świat znów zatonął we mgle, a ona opadła na moką ziemię.

Kobieta nie przestawała szlochać. Czy to była Alice Horton? Wokół panował rozgardiasz, ktoś kazał natychmiast posłać po doktora. Amelia poczuła, jak podnoszą ją z ziemi i ktoś wziął ją na rękę, a potem już nie widziała i nic nie słyszała...

Gerard stał przy łóżku Amelii i ze ściśniętym sercem patrzył, jak cała spocona miota się w malignie, krzycząc coś niezrozumiale. Zmieniane na okrągło prześcieradła już po chwili były mokre, a lekarz bał się, że gorączka może się przerodzić w zapalenie płuc.

- Milordzie, jeżeli rozwinie się ropna gorączka, pańska narzeczona może umrzeć - powiedział Gerardowi na pożegnanie. - Jedyne, co można zrobić, to czuwać nad nią i modlić się o cud.

- Boże, nie pozwól jej umrzeć... - wyrwało mu się z głębi serca. - Jeżeli zgrzeszyłem, skieruj swój gniew na mnie; weź mnie zamiast niej. Błagam...

Do kogo właściwie adresował te modły? Przecież już dawno doszedł do wniosku, że Bóg to mit czy też zwykła bajka dla maluczkich. Przecież dobry Stwórca nie dopuściłby do tych wszystkich okropieństw, których świadkiem był on i jego przyjaciele podczas wojny.

Łzy płynęły mu po policzkach, kiedy nachylał się nad Amelią, aby ją pocałować w zroszone potem czoło.

- Musisz żyć. Dla mnie, najdroższa - wyszeptał. - Dla mnie. Nie możesz mnie opuścić. Nie zniósłbym tego... wybacz mi... wybacz...

To jego wina. Gdyby porozmawiał wcześniej z Amelią, nie poszłaby sama nad jezioro. Już dawno powinien był ją przekonać, że nie miał nic wspólnego z Lucindą oraz jej śmiercią.

Amelia otworzyła oczy. Przesłaniająca wzrok mgła rozwiała się już na tyle, że zdołała z niej wyłowić znajomą twarz... Susannah. Spróbowała coś powiedzieć, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Gardło paliło ją żywym ogniem, w ogóle całe ciało miała obolałe.

Susannah dotknęła jej ręki, po policzku przyjaciółki spłynęła pojedyncza łza.

- Byłaś taka chora, kochanie - powiedziała. - Miałaś straszną gorączkę. Doktor mówił, że to ropne zapalenie płuc. Tak bardzo się baliśmy, że możemy cię stracić. Biedny Gerard odchodził od zmysłów.

- Marguerite... - Głos Amelii zabrzmiał jak ochryply szept.

Susannah chwyciła ją za rękę.

- Nie martw się, kochanie, ona już nie zrobi nikomu krzywdy. Jej ojciec zgodził się na umieszczenie jej w bezpiecznym miejscu, gdzie będzie miała zapewnioną opiekę do końca życia. Mówił, że byłby to uczynił wiele lat temu, ale jej matka nie chciała się zgodzić.

- A więc żyje? A ja myślałam... - Amelia westchnęła ciężko.

- Nie... próbowała się utopić, ale markiz Northaven wyciągnął ją z wody. Gerard spotkał go parę minut wcześniej, kiedy wychodził z domu, żeby cię szukać. Markiz przywiózł mu pewne wiadomości i rozmawiali w drodze nad jezioro, a potem zobaczyli, co się dzieje. Ludzie Gerarda już biegli ci na ratunek, ale on był pierwszy.

- Chciała mnie zabić... - Amelia spróbowała sobie przypomnieć to, co się stało, ale zakreśliło jej się w głowie. - Była strasznie... silna.

- Silna jak osoba szalona... Ona jest chora, Amelio. Northaven dowiedział się prawdy od porucznika Gordona. Gordon był jej kuzynem i kochał się w niej od zawsze, choć potwierdził, że już jako dziecko była dziwna i niesforna. Panna Horton powiedziała nam więcej na ten temat. Marguerite już w dzieciństwie miewała napady furii. To dlatego państwo Rossowie zatrudnili tak surową niańkę. Kiedy dorosła, trochę się uspokoiła, ale gdy Lucinda zaszła w ciążę, ojciec zabronił córkom bywać w towarzystwie, co fatalnie

wpłynęło na Marguerite. Znów stała się, jak to nazywano dość niewinnie, humorzasta. Nocami wykradała się z domu i spacerowała po lesie, miewała też ataki melancholii. Pan Ross podejrzewał ją o zamordowanie siostry i zdecydował, że nigdy nie pozwoli jej wyjść za mąż, był jednak zbyt dumnym szlachcicem, by się przyznać przed światem do tak strasznego skandalu i zszargać swoje nazwisko.

Amelia zamknęła na moment oczy.

- Więc to ona wszystko zaplanowała, tak? Porwanie i całą resztę?

- Porucznik Gordon powiedział, że go namówiła. Miał cię porwać, a potem zabić na oczach Gerarda. Tylko pod tym warunkiem zgodziła się dać mu to, na czym mu najbardziej zależało. Przystał na to, bo był przekonany, że Gerard odpowiada za śmierć Lisette, a Marguerite omotała go bez reszty. Koniec końców jednak nie zrobił tego, czego od niego żądała. Kiedy Northaven oskarżył go, że mu strzelił w plecy, załamał się i przyznał, że umyślnie źle wycelowwał, bo chciał go tylko przstraszyć.

- Mam rozumieć, że markiz wymusił na nim te zeznania? - Amelii rozjaśniło już się trochę w głowie, usiadła więc z pomocą Susannah i wypila łyk wody. - Zastanawiam się, dlaczego Marguerite zdecydowała się zabić mnie własnymi rękami.

- To był impuls. Byłaś sama w ustronnym miejscu, więc zaryzykowała. Zawsze była niezrównoważona... dręczona przez napady szaleństwa... o czym jej niania doskonale zresztą wiedziała. Powiedziała, że obie córki Rossów miały skłonności do różnych dziwactw, ale stan Marguerite znacznie się pogorszył po śmierci Lucindy. Może sprawiły to wyrzuty sumienia.

- Biedna Marguerite...

- Nie żałuj jej, Amelio.

- Mogę się tylko nad nią litować, choć przecież wiem doskonale, co zrobiła.

- Alice Horton była rozgoryczona, bo ją zwolniliście, ale kiedy Marguerite zaczęła cię dusić, próbowała ją powstrzymać. Może i pomagała przy porwaniu dla okupu, ale zdecydowanie odcięła się od morderstwa.

- Naprawdę? - Amelia zmarszczyła brwi. - Nie pamiętam.

- Ciężko chorowałaś, Amelio.

- Czy posłali po ciebie?

- Jak tylko usłyszałam, co się stało, od razu ruszyłam w drogę do ciebie. Helene też tu jest, i oczywiście Emily, która przełożyła wizytę u Sinclairów. Wszyscy cię kochamy, Amelio.

- Helene nie powinna się o mnie martwić. Musi dbać o siebie i dziecko.

- Chciała cię pielęgnować, ale jej nie pozwoliłyśmy. Emily i ja robiłyśmy większość rzeczy, no i oczywiście Martha. Wszyscy starali się, jak mogli, a Lisa wypłakiwała za tobą oczy. Gerard także był tu przez większość czasu, ale dziś ma się spotkać z pewnymi ludźmi. Porucznik Gordon złożył wyczerpujące zeznania, a teraz nasi dżentelmeni, też przecież oficerowie, zastanawiają się, co z nim zrobić. Mogą wysłać go za granicę albo przekazać w ręce sędziów.

Amelia pokiwała głową i zamknęła oczy. Nagle poczuła się strasznie zmęczona.

- Dziękuję, że mi to wszystko opowiedziałaś, ale teraz muszę się trochę przespać.

- Tak, oczywiście. - Susannah pocałowała ją w policzek. - Śpij, kochanie, już wkrótce poczujesz się lepiej...

- No, nareszcie już po wszystkim - powiedział Harry, kiedy zasiedli we trzech w bibliotece. - Jestem zdania, że Gordon dostał odpowiednią nauczkę. Omal nie zemdłał, kiedy się dowiedział, że Marguerite zabiła swoją siostrę. Miał wyraz tak głębokiego obrzydzenia na twarzy... Głowę dam, że już nigdy nie da się wciągnąć w takie afery.

- Nadal uważam, że jednak powinien stanąć przed sądem - powiedział Max. - Byłeś dla niego zbyt pobłażliwy, Gerardzie. Przecież to on organizował porwanie Amelii i panny Barton, a także strzelał pod kościołem, choć twierdzi, że było to tylko ostrzeżenie.

- Ten strzał mógł być przeznaczony dla mnie. Na szczęście Amelii nic się nie stało, Emily też ocalała dzięki Northavenowi. Mamy mu za co dziękować, uważam też, że jesteśmy mu winni przeprosiny.

- Nie jestem wcale tego taki pewny - zaprotestował Harry. - Gdyby nie mówił za dużo po pijanemu, nasi koledzy nie zginęliby w Hiszpanii.

- To prawda, ale nie zdradził nas umyślnie, więc powinniśmy okazać miłosierdzie. Puściłem Gordona wolno, bo jestem przekonany, że szczerze żałuje. Poza tym to Marguerite wszystko zaplanowała, on zaś był tylko narzędziem w jej ręku.

- Mam nadzieję, że sobie również wybaczyłeś, Gerardzie. - Max położył mu rękę na ramieniu. - Lisette wiele w życiu przeszła, straciła ukochanego, została zgwałcona i urodziła dziecko. Nie była przy zdrowych zmysłach, kiedy targnęła się na życie.

- Wiem, wiem... brzmi to tak racjonalnie... Tyle że jej odmówiłem, kiedy błagała mnie o miłość - odparł ponuro. - Może za to tak strasznie karze mnie los. Jeśli stracę Amelię...

- Nie bądź śmieszny! - obruszył się Harry. - To, co spotkało Amelię, nie stało się z twojej winy. Przecież to ona zaprosiła do twojego domu tę wariatkę.

- Gdyby tego nie zrobiła, pewnie bym nie był przy niej w najważniejszej chwili. Mogli ją zaatakować o każdej porze... nawet wiele miesięcy po naszym ślubie. Natomiast Marguerite tu była, więc to, co najgorsze, rozegrało się niemal na naszych oczach, dlatego zdążyliśmy z odsieczą. Oby tylko...

- Amelia wyjdzie z tego - z krzepiącą wiarą pocieszył go Max. - Jest otoczona ludźmi, którzy ją kochają i zrobią wszystko, aby jej pomóc. Po prostu to musi trochę potrwać.

- Tak, wiem... I z serca wam dziękuję. - Gerard uśmiechnął się z wysiłkiem. - Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszych przyjaciół w tak ciężkiej chwili.

Więcej już nic nie mówił, bo jak wytłumaczyć przyjaciołom, że boi się, iż Amelia nie będzie chciała za niego wyjść, kiedy odzyska rozum. Może też nadal będzie skłonna wierzyć w te wszystkie kłamstwa, którymi karmiła ją Marguerite.

Miała straszny sen. Stała w wodzie i coś ciągnęło ją w głąb. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła wpatrzona w nią oczy martwej kobiety. Jej kościste szpony próbowały ściągnąć ją na dno. Czuła, jak powietrze ucieka jej z płuc...

- Amelio... - Ktoś delikatnie potrząsnął jej ramieniem. - To tylko sen, kochanie. Tak mi przykro, że zrobiła ci krzywdę. Wybacz mi, proszę.

Otworzyła oczy. Przez chwilę wszystko wokół było zamazane, lecz gdy wzrok się wyostrzył, zobaczyła Gerarda. Jego twarz wydawała się taka blada w blasku świec, i łzy płynęły mu po policzkach. Ten twardy mężczyzna płakał... z jej powodu. Gdy się nad nią nachylił, uniosła z trudem rękę i pogłaskała go po twarzy.

- Nie płacz, kochany - powiedziała. - Już mi lepiej... To był tylko sen... koszmary sen...

Gerard usiadł na brzegu łóżka i wziął ją za rękę, jakby była z delikatnej porcelany.

- Kiedy zobaczyłem, co Marguerite wyprawia, omal nie umarłem z przerażenia. Bałem się, że może już być za późno. Moi ludzie zatrzymali się, bo nie zorientowali się w jej zamiarach. Była twoim gościem, a nie kimś obcym, więc się zawahali, i naprawdę niewiele brakowało... - Wzdrygnął się na samą myśl.

- Kto mógł przypuszczać, że zrobi coś takiego? Owszem, zauważyłam pewne drobne dziwactwa, ale myślałam, że cierpi na melancholię. Może przyczynił się do tego jej ojciec? Skarżyła się, że pan Ross bardzo ograniczył jej swobody...

- To ma ją usprawiedliwiać? Próbowала cię zabić, Amelio. Leżałaś tam nieruchoma... Myślałem, że nie żyjesz. - Głos mu się załamał.

- Masz rację, niewiele brakowało... - Uśmiechnęła się smętnie. - Gdybyście nie przyszli... ty, Northaven i cała reszta... Markizowi winna jestem przeprosiny. Obwiniłam go za śmierć Lucindy, byłam pewna, że ją uwiódł, lecz teraz już wiem, że nie miał z tym nic wspólnego. Wiem też, kto był kochankiem Lucindy i zostawił ją samą z jej hańbą.

- Markiz ma na sumieniu niejednen grzech, ale tu jest czysty jak łza... - Gerard nagle zmrużył oczy. - Nie myślisz chyba, że to ja...? - Gdy Amelia przecząco potrząsnęła głową, spytał: - No to kto?

Wzięła go za rękę.

- Marguerite, zanim się na mnie rzuciła, powiedziała mi, że to Michael.

- Twój brat... przecież on mnie oskarżył... tego dnia, kiedy tu przyjechał... oskarżył mnie...

- Że ją uwiódłeś i porzuciłeś. Tak powiedział. A rozdzielił nas dlatego, Gerardzie, że oszalał z zazdrości. Zwariował na punkcie Lucindy, teraz wreszcie to zrozumiałam. Boże, jak wiele umykało mojej uwadze. Byłam pewna, że Lucinda przychodzi do mnie z wizytą jak przyjaciółka do przyjaciółki, a ona chciała zobaczyć się z Michałem. Kupował jej różne rzeczy, obiecywał, że się rozwiedzie z Louisą, aż tu nagle zobaczył Lucinę w twoich ramionach, całujecie się... Kochał ją i pragnął jej, choć się kłócili. Gdyby nie

umarła, może dotrzymałby słowa. Michael byłby do tego zdolny i myślę, że Lucinda czuła to, więc jej plany na przyszłość wcale nie były palcem na wodzie pisane. Dlatego też nie mogła odebrać sobie życia.

- Jesteś pewna, że Marguerite nie kłamała?

- To wszystko ma sens, Gerardzie. Musisz też wiedzieć, że po tym wszystkich Michael bardzo się zmienił. W miarę upływu lat stawał się coraz bardziej nieznośny, choć przecież nie był taki za życia Lucindy. A jego małżeństwo... W ogóle nie dba o żonę, ona o niego też. Ot, dwoje obcych sobie ludzi żyjących pod jednym dachem. Mój brat przemienił się w zrezygnowanego, zgorzkniałego człowieka.

- Lucinda pocałowała mnie, a ja jej na to pozwoliłem. W ten piękny letni dzień wyglądała tak ślicznie, jakby była rozświetlona niebiańskim światłem... Lecz kiedy zaczęła mnie kusić, namawiać, bym się z nią położył, zdecydowanie odmówiłem. Amelio, nigdy jej nie ośmielałem, nie zachęcałem... Marguerite też nie... Widywałem je rzadko, to były takie nieważne okazje towarzyskie. A myślami błąkałem się gdzie indziej, przecież byłem zakochany w tobie. Wierzysz mi? - zapytał, ściskając delikatnie jej rękę.

- Tak, Gerardzie. Myślę, że dlatego Marguerite chciała mnie zabić. Powiedziała mi też, że Lucinda wyśmiewała się z niej, złośliwie powiedziała, że chcesz się ze mną ożenić. Wtedy się na nią rzuciła... i tak naprawdę nie wiemy, co było dalej. Mógł to być wypadek, ale Marguerite była przekonana, że zabiła siostrę, i ciążyło jej to na sumieniu. Ojciec uczynił ją więźniem w rodzinnym domu, nic więc dziwnego, że skupiła się na rozpamiętywaniu swoich krzywd. Nie chciałeś jej, więc zrobiła z ciebie mordercę Lucindy, bo chciała cię ukarać. A kiedy dotarło do niej, że po latach rozłąki pewnie jednak weźmiemy ślub, wpadła w szal i namówiła porucznika Gordona, żeby jej pomógł się zemścić.

- Cóż, tak było... - Gerard w zadumie pokiwał głową. - A wiesz, dziś rano przyszła do mnie Alice Horton. Przeprosiła za to, co się stało, a ja przeprosiny przyjąłem, bo uważam, że tak należało. Panna Horton powiedziała, że kilka miesięcy temu matka Marguerite miała udar i straciła mowę. Ponieważ była tak ciężko chora, ojciec pozwolił Marguerite pomagać w jej pielęgnacji. Wtedy ukradła środki nasenne i dosypała ojcu do piwa, a kiedy zasnął, uciekła z domu i przyjechała do nas. Ojciec nie wiedział, gdzie jej

szukać, a twój list do jej matki ukradła, bo się bała, że ojciec natychmiast po nią przyjeżdżie.

- Podejrzewałam, że w jej domu coś jest nie tak, kiedy się zorientowałam, że list zniknął. Mam straszne wyrzuty sumienia - wyznała Amelia. - Przecież Marguerite mogła zrobić krzywdę Lisie.

- Skąd miałabyś wiedzieć, co się dzieje w jej głowie? Choć wiesz, akurat tego by nie zrobiła. Alice powiedziała mi, że Marguerite rozpaczliwie pragnęła mieć dziecko. Myślę, że gdyby jej się udało nas pozbyć, porwałaby Lisę. Znaleźliśmy srebro z jej pokoju w Ravenshead, a także twoje brylantowe kolczyki. Pewnie wzięłyby wszystko, co miało jakąś wartość, a potem zniknęłyby z moją córką. Wyobrażasz sobie, jak potoczyłyby się losy Lisy? Dzieciństwo i dorastanie z taką kobietą... z taką matką...

- Wolę o tym nie myśleć. - Amelia zamknęła na moment oczy. Gdy Gerard ścisnął mocniej jej rękę, spojrzała na niego. - Wybacz mi, nie miałam pojęcia, że była niezrównoważona. Jej listy były takie smutne... takie przejmujące...

- Dzieło bystrego, choć chorego umysłu. Ojciec ją rozszyfrował, wiedział, do czego jest zdolna, przecież podejrzewał Marguerite o zabójstwo siostry, choć nie miał na to żadnych dowodów. Próbował trzymać ją pod kluczem, ale nie na wiele to się zdało. Kiedy Gordon przyjechał z Francji, Marguerite powiedziała mu o śmierci Lisette, bo zaplanowała, że użyje go jako narzędzia, by się na mnie zemścić. Choć niechętnie, lecz jednak się zgodził, bo ją kochał od dziecka i miała na niego wielki wpływ. Obiecała mu, że zostanie jego kochanką, ale najpierw musi zabić nas oboje. Amelia zadrżała.

- A ja zaprosiłam ją do tego domu.

- Skąd mogłaś wiedzieć, co jej chodzi po głowie?

- Co będzie z porucznikiem Gordonem?

- Wyjedzie z Anglii. Dałem mu listy polecające do pewnego plantatora na Jamajce. Poznałem go we Francji. Powiedział, że zawsze mogę na niego liczyć.

- Czy Gordon nie powinien iść do więzienia? - zapytała Amelia. - Na twoim miejscu wielu szukałoby rewanzu, Gerardzie.

- To nieszczęśliwy człowiek. Myślę, że wycierpiał swoje. Stracił ukochaną kobietę.

- Czy on wie, że Lisa jest jego córką?

- Nie, nie wie. Może to z mojej strony okrutne, ale uważam, że z nami będzie jej najlepiej. Nie mogłaby być już bardziej kochana niż teraz.

- Cieszę się ze względu na nią. Przecież to ty jesteś jej prawdziwym ojcem, Gerardzie.

- Tak, a ty jej mamą. Będziemy ją kochać i troszczyć się o nią, i pozostanie naszą córeczką, nawet kiedy doczekamy się własnych dzieci.

- Tak, zawsze będziemy ją kochali. - Uśmiechnęła się. - Czy możesz mi wybaczyć, że na moment w ciebie zwątpiłam? Przepraszam cię, Gerardzie... ale byłam w takim szoku, że nie potrafiłam myśleć logicznie. Potem jednak zrozumiałam, że ich oskarżenia są fałszywe, a ty jesteś niewinny.

- A ty wybaczysz mi, że cię naraziłem na takie niebezpieczeństwo? Byłaś bliska śmierci, Amelio.

- To była wyłącznie moja wina. Wyszłam z domu tak bardzo roztrzęsiona, że zapomniałam o całej reszcie. Poza tym, Gerardzie, było, minęło, prawda? Już nic nam nie grozi? - Uniosła głowę i z niepokojem spojrzała mu w oczy.

- Tak, najdroższa. Jestem pewny, że tak.

- Więc już nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy wzięli ślub?

- Twój brat... mam mu powiedzieć, co o nim wiesz?

- Ja mu wszystko powiem, Gerardzie. Ty byłeś bez winy. Jego zazdrość i gniew były bezpodstawne. Może też czuł się w jakiś sposób winny śmierci Lucindy? Myślę, że wiadomość, iż nie popełniła samobójstwa, uspokoi nieco jego sumienie.

- Tak, może to być dla niego pewną pociechą - zgodził się Gerard. - Nie mamy jednak żadnej pewności, czy nam wybaczy.

- Jeżeli Michael chce pozostać dla mnie obcym człowiekiem, to cóż, jego decyzja, jego wola. Może również przeprosić, kładąc kres tej waśni. - Amelia pokręciła głową. - Choć wiesz, o prawdziwie serdecznych stosunkach raczej nie może być mowy. Nie potrafiłabym zapomnieć, jak Michael potraktował młodą dziewczynę, która była moją przyjaciółką. Poza tym tak bardzo mnie unieszczęśliwił, gdy cię odesłał, Gerardzie. Lecz nie czyni mnie to kobietą wiecznie zboląłą. - Uśmiechnęła się promiennie. - Zły czas minął, i teraz mam ciebie, Lisę i moich przyjaciół. Nikt więcej nie jest mi do szczęścia potrzebny.

Dzwony na wieży były radośnie. Amelia stała w drzwiach kościoła, wsparta na ramieniu Gerarda.

Tłum przyjaciół i tutejszych mieszkańców zebrał się przed świątynią, by entuzjastycznie powitać parę młodą. Gdy nowożeńcy wśród powiewów zimnego wiatru biegli do białej karety, spadł na nich deszcz ryżu i wysuszonych płatków róż.

W ciepłym wnętrzu karety Gerard przyciągnął Amelię do siebie i delikatnie ją pocałował. W jego oczach malowało się pytanie.

- O co chodzi?

- Jesteś szczęśliwa? Tak naprawdę szczęśliwa?

- Przecież wiesz, że tak. W takim dniu! Jesteśmy już małżeństwem i mamy wokół siebie przyjaciół. Mam wszystko, czego pragnęłam.

- Twojego brata nie było na ślubie.

- Nie, ale przyjechał mój bratanek, John, i przywiózł mi ślubny prezent od Michaela. - Amelia dotknęła prostej, lecz pięknej barokowej perły, zwisającej ze złotego łańcuszka na szyi. - To wisiołek, który miała moja matka w dniu ślubu. Brat mi go przysłał. Myślę, że to gest najbliższy przeprosin, na jaki go stać.

- Wisiołek twojej matki... - Gerard pokiwał ze zrozumieniem głową. - Zastanawiałem się, dlaczego wybrałaś coś tak skromnego, chociaż to piękna perła.

- Po śmierci mamy jej biżuteria została podzielona pomiędzy nas oboje. Michael miał wybierać pierwszy. Dopiero później zdałam sobie sprawę, że bardzo chciałabym mieć ten wisiołek, a wtedy on mi powiedział, że dostanę go w dniu ślubu. To, że mi go przysłał, jest wyrazistym gestem pojednania, niczym gałązka oliwna. A ja założyłam tę perłę na dowód, że przyjąłam tę oliwną gałązkę. Będę jeszcze miała mnóstwo okazji, żeby nosić brylanty od ciebie, najdroższy.

- Niepotrzebne ci brylanty. - Znów ją pocałował. - Cokolwiek na siebie włożysz, cokolwiek zrobisz, zawsze będziesz piękna, moja najukochańsza.

- Tak bardzo cię kocham...

- Szczęściarz ze mnie, że spotkałem ciebie. - Ujął ją za rękę, bo kareta zatrzymała się przed domem. - Tylko ty potrafiłaś poprosić o to, żebyśmy zabrali Lisę w podróż po-

ślubną do Paryża. Jesteś perłą wśród innych kobiet, Amelio. Podarunek twojego brata był jak najbardziej stosowny.

- Dziękuję ci za wyrozumiałość. Po tym, co zrobił, miałeś prawo na zawsze znie-
nawidzić Michaela... ale ty nie, prawda?

- Nie wiem, czy tak do końca kiedykolwiek mu wybaczę. Złamał mi serce, chcia-
łem wtedy umrzeć, szukałem śmierci na polu bitwy... Cóż, tak było, ale pragnę twego
szczęścia, Amelio, i nie chciałbym, abyś z mojego powodu zrywała kontakty z bratem
czy rodziną. Wyrzuciłem z serca nienawiść, będę uprzejmy wobec twojego brata, ale
nigdy się nie zaprzyjaźnimy. Wybacz, na więcej mnie nie stać. Czy to wystarczy, kocha-
nie?

- To wystarczy - szepnęła wzruszona Amelia, gdy otworzyły się drzwi pojazdu i stan-
gret podstawił schodki. Spojrzała na zewnątrz, uśmiechnęła się szeroko i zawołała: - Nie
każmy gościom czekać, Gerardzie!

Gerard patrzył na żonę, która krążyła wśród przyjaciół na weselnym przyjęciu.
Świadomość, że była lubiana, szanowana i kochana przez wszystkich, napawała go du-
mą. Jej hojność, godność i kryształowy charakter czyniły z niej wielką damę, i czuł się
wybrańcem losu, mogąc ją kochać i chronić do końca życia.

Z kontemplacyjnego nastroju wyrwał go kapitan John Royston, który powiedział
do Gerarda:

- Ojciec bardzo chciał przyjechać na wasz ślub. Często wpada w gniew i mówi, co
mu ślina na język przyniesie, ale był bardzo przygnębiony, kiedy się dowiedział, co się
stało. Amelia wygląda jednak świetnie, mimo wszystko.

- Dzięki Bogu, w pełni wróciła do zdrowia - odparł Gerard. - Powiedz ojcu, że mo-
że nas odwiedzić na Hanover Square, kiedy tylko będzie miał ochotę. Amelia latem za-
mierza wydać bal. Miło byłoby zobaczyć twojego ojca, twoją matkę i brata, no i rzecz
jasna ciębie, o ile dostaniesz urlop.

- Dziękuję, przekażę to ojcu.

Uścisnęli sobie ręce, po czym John odszedł.

- Więc jesteśmy już wszyscy trzej żonaci - powiedział Harry Pendleton, podchodząc do Gerarda. - Myślę, że wyszło nam to na dobre. A przecież był taki czas w Hiszpanii, kiedy myślałem, że żaden z nas nie dożyje tego dnia.

- Mieliśmy szczęście, że uszliśmy z życiem. - Gerard w zadumie pokiwał głową. - Wiele też przeszliśmy od tamtej pory, ale najważniejsze, że wszyscy możemy już z optymizmem patrzeć w to, co przed nami.

- I to nie tylko wtedy, kiedy myślimy o naszych rodzinach. Sądzę, że Anglia może liczyć na pokój, skoro Napoleon siedzi w więzieniu na tej swojej wyspie. - Harry przerwał na moment. - Gerardzie, podjąłem decyzję, że jednak napiszę do Northavena i podziękuję mu za to, co ostatnio dla nas zrobił. Masz rację, co było, minęło. Trzeba zamknąć pewien rozdział, uznać go za historię i podążać w przyszłość.

- Tobie trudniej było mu wybaczyć, mając na względzie to, co spotkało Susannah, ale ten nieszczęśliwy wypadek całkiem go odmienił. Sam mi to powiedział. Trzeba dać mu szansę, może już zawsze będzie się lepiej prowadził.

Harry wzruszył ramionami, a potem się uśmiechnął.

- Susannah nalega, żebym napisał ten list. - Z przesadną powagą pokiwał głową. - Czegóż to człowiek nie zrobi z miłości, prawda, Gerardzie?

- Prawda, święta prawda - powiedział Gerard ze śmiechem. - Wybacz mi, przyjacielu, ale zaczęli grać walca, a chciałbym na swoim weselu choć raz zatańczyć z moją żoną...

Amelia odwróciła się w ramionach męża. Myślała, że śpi, i czubkiem palca obwiodła jego usta, uśmiechając się czule. Czasami wyglądał tak surowo, nawet groźnie, ale we śnie wydawał się młodszy i bardziej pogodny, jak ten młody mężczyzna, w którym zakochała się przed laty. Poprzedniej nocy kochał się z nią namiętnie i zachłannie, a zarazem tak delikatnie, że uroniła łzę szczęścia. Nachyliła się nad nim i gdy całowała go w usta, poczuła, że obejmują ją silne ramiona.

- Myślałam, że śpisz - powiedziała z uśmiechem.

- Chciałaś mnie wykorzystać? - zapytał z żartobliwym błyskiem w oku.

- Ty głuptasie... - Spróbowała się oswobodzić, ale zagarnął ją pod siebie i spojrzał na nią z góry. Rozpuszczone włosy otaczały jej twarz w malowniczym nieładzie, cerę

miała różaną i gładką jak perła. Nie mógł się wręcz na nią napatrzeć. - Gerardzie... chyba pora wstawać.

- To nasz miesiąc miodowy, więc mogę nie wychodzić z łóżka przez cały tydzień.

- Czy to groźba, czy obietnica? - W jej oczach migotały wesołe iskierki. - Wiedz tylko, że mogę tu zostać tak długo, jak zechcesz.

- Pozwolisz, że potraktuję to jako zaproszenie - mruknął, biorąc do ust różowy czubek jej piersi, który natychmiast stwardniał pod jego dotykiem. - Jesteś taka piękna. Nigdy się tobą nie nasycę.

Amelia czuła, jak narasta w niej pożądanie. Powiodła rękami po plecach Gerarda, zachwycając się aksamitną gładkością jego skóry i twardością mięśni. Jej pieszczoty stawały się coraz śmielsze, mąż też nie był jej dłużny, aż wreszcie wszedł w nią jednym silnym pchnięciem, wywołując okrzyk rozkoszy.

Zaczęli się powoli poruszać w zgodnym rytmie, który wyniósł ich na szczyty znane jedynie prawdziwym kochankom.

- Jestem w rajku... - szepnęła Amelia po jakimś czasie, wtulona mocno w Gerarda. - Teraz już wiem, co to prawdziwe szczęście, mój kochany.

- Wobec tego oboje trafiliśmy do rajku - odparł z uśmiechem. - Bo jestem w miejscu, w którym miało mnie nigdy nie być.

Amelia przewróciła się na wznak, zadowolona, że czuje męża obok siebie. Myślała, że zasnęła. A może znów udawał?

- Wiesz, co sobie pomyślałam? - powiedziała. - Dano nam tak wiele, Gerardzie, dlatego uważam, że musimy znaleźć jakiś sposób, by się z innymi podzielić. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że w przypadku Marguerite popełniłam błąd, ale jest pewna młoda panna, która naprawdę potrzebuje odrobiny szczęścia. Na imię ma Jane, i myślę, że moglibyśmy ją zaprosić na sezon do Londynu tego lata.

Gerard nie odpowiedział. Tym razem chyba rzeczywiście zasnęła.

Amelia uśmiechnęła się. Gdzieś w głębi domu usłyszała bicie zegara. Była śpiąca i pogodzona ze sobą. Nie musiała się nigdzie śpieszyć. Po powrocie do Anglii napisze do tej młodej osoby i zaprosi ją do ich domu na Hanover Square.